TAK PRACUJE ROSYJSKI SZPIEG

CIEMNA STRONA JANA PAWŁA II

NAPIÓRKOWSKI: NAUCZYMY SZKOŁĘ UCZYĆ

Kraków 6 listopada 2022 nr 45 (3826) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Jak uniknąć wojny pokoleń

W WYDANIU DODATEK
ARS CAMERALIS

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Żeby nie ględzić*

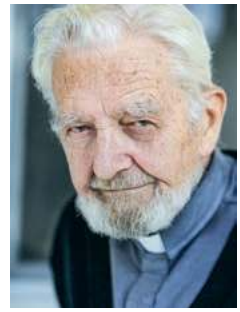

Co jakiś czas pojawia się wiadomość, że na lekcje religii chodzi mało młodych ludzi lub – prawie nikt nie chodzi. Nie przepisuję tu tych danych, bo są wciąż fragmentaryczne, ale przecież wiem, że sytuacja jest – mówiąc oględnie – kiepska. Wiem, że z „chodzenia na religię" rezygnuje wielu i nawet jeśli wiadomości złe dla Kościoła są w mediach częściej eksponowane, to i tak pokazują one tendencję dość powszechną – niezadowolenia z lekcji religii. Nie pomoże tu żadne oburzenie biskupa na uczniów ani środki administracyjne używane dla powstrzymania odpływu. Oczywiście kontekst kulturowy i miejsce w nim religii dynamicznie się zmieniają, a młodzież – sekularyzuje. Zajmuję się tu wyłącznie tymi, którzy może by i poszli, ale... No właśnie, jakie jest to „ale"?

Nawet jeśli odgrywa tu rolę stosunek do przedmiotu nieobowiązkowego i chęć uwolnienia się od niekoniecznego ciężaru, to trudno nie spytać, czemu jest, jak jest. Moje wspomnienia z lekcji religii, a miałem ją przez całe gimnazjum w szkole, to przeplatanka tych dobrych i złych. Uczniowie, pokolenie powojenne, czasem nieco przerośnięte, na pewno nie było pokoleniem łatwym. Pamiętam dobrze: uczniowie wzorowi na jednej lekcji, na innej byli nieznośni. I nie strach tu decydował, lecz osoba profesora. Odnosiło się to także do lekcji religii. Dlaczego jeden jezuita (u Reytana w Warszawie uczyli jezuici) miał spokój w klasie, a inny – bałagan? Z jakiego powodu u kolejnych dwóch katechetów było cicho i spokojnie, choć nigdy się specjalnie nie zajmowali utrzymywaniem ładu, a u trzeciego (wciąż się zmieniali) odrabialiśmy inne lekcje lub po prostu robili cokolwiek innego? Odpowiedź jest zaskakująco prosta. Wykład pierwszych dwóch był fascynująco ciekawy. Trzeci nudził. Był w zakonie – jak się znacznie później dowiedziałem – ważną postacią, cieszył się autorytetem i nie umiał uczyć. Potem miałem jeszcze jednego katechetę, księdza diecezjalnego. Jako dobry i religijnie nastawiony uczeń bardzo się starałem uważać na jego lekcjach i było to po prostu niemożliwe. Ględził.

Nie wiem, czy mam rację, ale podejrzewam, że dzisiejsze trudności z lekcjami religii polegają na tym samym. Kiedyś rozmawiałem z kolegą, który został biskupem. Twierdził, że z założenia święceń kapłańskich udziela się ludziom przygotowanym do uczenia religii. Rozmawialiśmy wiele lat temu, a ja nie mogę zapomnieć tego twierdzenia, właściwie przekonania. Tak jak nie wszyscy uczeni są w stanie uczyć w szkole, tak nie wszyscy księża są w stanie prowadzić lekcji religii. Trudno, tak jest. Nie mówię o profesjonalnym przygotowaniu nauczycielskim, choć i tu pewnie można by sporo zrobić, lecz o talencie do nauczania. Dla jednych uczenie – także religii – jest fascynującą przygodą, terenem poszukiwań i własnych doświadczeń, dla innych wieczną torturą.

Nie chcę się rozwodzić nad rzeczami oczywistymi, ale nie wiem, czy oczywiste jest twierdzenie, że nie każdy ksiądz jest dobrym katechetą, a szkody wyrządzone przez tego niedobrego idą dalej w życie. Niestety, wysłanie księży na to pole nie przyniosło dobrych rezultatów. Przygotowanie katechetów musi być specjalne i co więcej, musi eliminować ludzi, którzy się do tego nie nadają.

Pisałem o katechetach z moich czasów. Nie wiem, jak jest teraz w szkołach podstawowych, nigdy w nich nie uczyłem, choć słyszę, że zdarzają się w nich rzeczy i straszne, i śmieszne. Jednego jestem pewien, na pewno sam fakt bycia księdzem nie daje gwarancji talentów ani kwalifikacji nauczycielskich. Na pewno program nauczania można udoskonalić, może gruntownie zmienić, ale to nic nie da wobec słabości tych, którzy uczą religii. Nie tylko w szkole. ©℗

Wracam do siebie

Ks. Adam Boniecki: „Wiara to wiara. Nie da się jej do końca obronić albo udowodnić. Patrząc na to, jak byłem formowany w seminarium i jak myślę dzisiaj, widzę, że pewne sprawy wcale nie są takie łatwe i oczywiste. Proste sformułowania, które wypowiadałem, już się nie sprawdzają. Stara teologia była bardzo rygorystyczna i pewna siebie. A przecież właściwie wszystko to, o czym rozmawiamy, sprowadza się do rzeczy bardzo ludzkiej: jak najlepiej odpowiedzieć na oczekiwania Pana Boga".

Na powszech.net/wracam rozmowa z naszym Redaktorem Seniorem po ponad półrocznej nieobecności na łamach pisma.

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Szkoła potrzebuje opowieści
ROZMOWA Z MARCINEM NAPIÓRKOWSKIM, SEMIOTYKIEM KULTURY:
Gdybym miał doradzić politykom wybór najważniejszej rzeczy, którą trzeba się zająć, odpuściłbym ochronę zdrowia, a wybrał edukację. Chirurg uratuje kilku nauczycieli, nauczyciel wychowa stu chirurgów.

40 Nielegałowie są wśród nas
ROZMOWA Z GEN. RADOSŁAWEM KUJAWĄ, BYŁYM SZEFEM SŁUŻBY WYWIADU WOJSKOWEGO:
Rosyjska armia nie wraca do koszar. Myślenie w kategoriach dywersji jest trwałym elementem funkcjonowania jej zaplecza. Także w Europie.

30 Bezruch
ROZMOWA Z MARCINEM GUTOWSKIM, DOKUMENTALISTĄ:
Za dobrze poznaliśmy Jana Pawła II przez te lata, by widzieć w nim jedynie cynicznego gracza. Musi więc być jakieś wyjaśnienie jego niewrażliwości wobec ofiar.

52 Światło i cień latarni morskich
PIOTR OLEKSY
Najpiękniejsze z nich powstały w XIX i na początku XX wieku, gdy rodził się globalny świat. Dziś straciły na znaczeniu, lecz wciąż pobudzają wyobraźnię.

70 Gdyby Polska
ROZMOWA Z ZIEMOWITEM SZCZERKIEM, PISARZEM:
Piszę dużo? Często to słyszę. Ale pisanie jest moją jedyną robotą. Nie wyobrażam sobie, żeby wydać jedną książkę na pięć lat.

85 Praduszki
ANDRZEJ MUSZYŃSKI
W budce zrobiłem autoportret, który miał pokazać, jak wyglądałbym jako neandertalczyk. Nie widziałem żadnych różnic. Obsługa uznała, że mam neandertalską urodę.

DANIEL DMITRIEW / FORUM // BEN STANSALL / AFP / EAST NEWS // ARTUR KUBASIK // ENTRESSANGLE / E. DAYNES / EAST NEWS // MIKOŁAJ STARZYŃSKI / FORUM // FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

6 Klimat: pierwsza nadzieja
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Szkoła potrzebuje opowieści
ROZMOWA Z MARCINEM NAPIÓRKOWSKIM

24 Zapierająca dech zima
PIOTR WÓJCIK: *Najbliższe miesiące cofną nas o lata w walce ze smogiem*

26 Możesz spać spokojnie
MARCIN CHODUŃ: *Kilkanaście lat temu we Włodowie doszło do samosądu*

WIARA

30 Bezruch
ROZMOWA Z MARCINEM GUTOWSKIM

34 Otwarte serce Afryki
EDWARD AUGUSTYN *o szkole muzycznej, która zmienia rzeczywistość*

37 Płótno ciałem się stało
DOMA MATEJKO: *Postać z Całunu Turyńskiego odtworzono w formie figury 3D*

ŚWIAT

40 Nielegałowie są wśród nas
ROZMOWA Z GEN. RADOSŁAWEM KUJAWĄ

44 Cała władza w ręce wodza
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO *o Chinach po kongresie partii komunistycznej*

FILIP RADWAŃSKI / FORUM

TEMAT TYGODNIKA

12 Jak uniknąć wojny pokoleń
PAWEŁ MARCZEWSKI

Najgłębszy podział przebiega dziś nie między zwolennikami rządu i opozycji, ale między starszymi i młodszymi Polakami. Partie już go wykorzystują. Jest jednak pewien sposób na odejście od tej przepaści.

14 Demografia na wyborach

DODATKI

56 MUZEUM DOM RODZINY PILECKICH
65 ARS CAMERALIS

FELIETONY

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI **39** WOJCIECH BONOWICZ
64 JACEK PODSIADŁO
82 OLGA DRENDA **83** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: JOANNA RUSINEK DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

46 Rycerz Jedi na Downing Street
PATRYCJA BUKALSKA *o nowym premierze Wielkiej Brytanii*

48 Ukraińcy integrują się nad Bałtykiem
TOMASZ OTOCKI Z ŁOTWY

51 Pomoc, niemoc i wybory
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU *o zbliżeniu Izraela i Ukrainy*

HISTORIA

52 Światło i cień latarni morskich
PIOTR OLEKSY

NAUKA

58 Życie na krawędzi
ROZMOWA Z PETEREM BRANNENEM *o masowych wymieraniach*

61 Bananowa dedukcja
ŁUKASZ KWIATEK: *Czy zwierzęta myślą logicznie?*

KULTURA

70 Gdyby Polska
ROZMOWA Z ZIEMOWITEM SZCZERKIEM

74 Kapitanie, mój kapitanie
DARIUSZ KOSIŃSKI *o teatrze Eugenia Barby*

77 Obrazy pochodzenia
PIOTR KOSIEWSKI: *Dlaczego w sztuce „skąd jestem" jest ważniejsze od „kim jestem"*

80 Obcy pod parasolem
ANITA PIOTROWSKA *o innej Japonii w filmie*

81 Wskrzeszenie czarodzieja
LEKTOR *o powieści „Czarodziej" Colma Tóibína*

ZMYSŁY

85 Praduszki
ANDRZEJ MUSZYŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend

W internetowym cyklu „Tygodnika" **ANITA PIOTROWSKA** poleca filmy i seriale, dziś recenzuje „Na zachodzie bez zmian" Edwarda Bergera oraz „W świetle dnia" Dénesa Nagya | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

Sztuka bycia poza mainstreamem

Spotkałem Łukasza i miałem poczucie, że to jest to. I tak to trwa, prawie osiemnaście lat – opowiada **KATARZYNIE KUBISIOWSKIEJ EDWARD PASEWICZ** | **powszech.net/podkast**

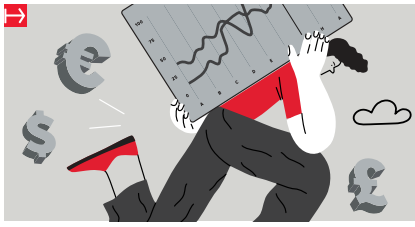

Serwisy specjalne: patrz szerzej
GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KLIMAT: PIERWSZA NADZIEJA

Katastrofa wciąż nam grozi, widać jednak drobne zmiany na lepsze – w cieniu wojny na Ukrainie trwa walka ze skutkami globalnego ocieplenia.

MARCIN ŻYŁA

Zbiory soi w Amance we wschodniej Francji, 12 października 2022 r.

Nowe, pilne problemy – bliska wojna i największy od lat kryzys cen energii – przykryły w Europie ten, który siedem lat temu w Paryżu państwa świata uznały za strategiczny: walkę z wywołaną przez człowieka zmianą klimatu. Na kilka dni przed szczytem COP27 w egipskim Szarm el-Szejk mamy więc dwie wiadomości. Zaczniemy od dobrej.

Ogłoszony właśnie raport Międzynarodowej Agencji Energetycznej, instytucji afiliowanej przy OECD, przewiduje, że wojna ukraińsko-rosyjska przyspieszy przejście na odnawialne źródła energii (OZE). Intuicja podpowiadałaby coś innego, gdyż surowcowy szantaż Rosji sprawił, że niektóre państwa zachodnie, z Niemcami na czele, spowolniły np. proces rezygnacji z energetyki węglowej (emisja dwutlenku węgla ma w efekcie wzrosnąć w tym roku o 1 proc). To jednak, według OECD, zmiana tymczasowa, która nie wpłynie na globalny trend: lada rok, pierwszy raz od początku rewolucji przemysłowej, globalne zapotrzebowanie na paliwa kopalne zacznie spadać. Są też sektory gospodarki, w których transformacja w kierunku OZE wyszła poza etap deklaracji i zobowiązań. Przykładem transport – ponad połowa nowych autobusów sprzedanych na świecie w 2021 r. miała napęd elektryczny (w przypadku samochodów osobowych wskaźnik ten wynosi 9 proc., ale i tu tempo sprzedaży „elektryków" podwoiło się w ciągu roku).

Nadzieję na zmianę na lepsze przynosi też spadek cen energii odnawialnej (słoneczna od 2010 r. potaniała o 85 proc., wiatrowa o 55 proc.) oraz ambitniejsze strategie polityki klimatycznej deklarowane przez kluczowe państwa. Chiny i Indie zwiększyły swoje cele w zakresie energii odnawialnej i jądrowej. Stany Zjednoczone wróciły do porozumień paryskich; latem Kongres zatwierdził 370 mld dolarów – niemal 10 razy więcej niż warta jest dotychczasowa pomoc wojskowa USA dla Ukrainy – na wsparcie i rozwój turbin wiatrowych, paneli słonecznych, paliwa wodorowego czy pojazdów elektrycznych.

A teraz zła wiadomość. Ciągle jesteśmy bardzo daleko od wypełnienia zobowiązań z Paryża, czyli zatrzymania globalnego ocieplenia na poziomie wzrostu o 1,5 stopnia Celsjusza. Według dokumentu opublikowanego w minionym tygodniu przez Program Środowiskowy ONZ (UNEP) nie ma żadnej „wiarygodnej drogi" do osiągnięcia tego celu, a podjęte od ubiegłorocznego szczytu w Glasgow działania na rzecz zmniejszenia emisji dwutlenku węgla są – to też cytat – „żałośnie nieadekwatne". O dyskusje nad zmianą klimatu „w szkolnych klasach, salach posiedzeń zarządów, lokalach wyborczych i podczas obiadów z rodziną" zaapelowała Inger Andersen, szefowa UNEP.

Przed konferencją w Egipcie eksperci wytykają też rządom państw uprzemysłowionych, że nie dostrzegają skali wpływu zmian klimatu i związanych z nimi ekstremalnych zjawisk pogodowych. Po sześciu wyjątkowo gwałtownych jak na ten region frontach burzowych, które przeszły w tym roku nad Wielką Brytanią, specjalna komisja parlamentu ostrzegła, że same tylko osunięcia gruntu i lokalne powodzie mogą w przyszłości zakłócać 8 proc. przewozów pasażerskich i towarowych w tym kraju. Nawet ekstremalna pogoda odgrywa jednak w dyskusji o klimacie rolę „motywującą" – już 84 proc. pytanych o to w sondażu Brytyjczyków jest zaniepokojonych skutkami globalnego ocieplenia.

Jest więc i nowa nadzieja, i – wciąż – ostatni moment na działanie. Po to, aby okładka ostatniego raportu ONZ – przedstawiająca wypełniony zanieczyszczeniami pokój, zamykające się okno do „zielonego świata" i prowadzącą do niego drabinę, wciąż stojącą, lecz z połamanymi szczeblami – się nie ziściła. ©℗

PATRICK HERTZOG / AFP / EAST NEWS

Szansa dla pacjentek z rakiem piersi

MAŁGORZATA SOLECKA

Od początku listopada refundacją zostały objęte nowe substancje leczące dwa typy raka piersi występujące najczęściej u młodych kobiet. To wiadomość, na którą pacjentki onkologiczne czekały od bardzo dawna. Sacytuzumab gowitekan, alpelisyb, talazoparyb – te nazwy brzmią dla osób postronnych jak magiczne zaklęcia, ale w rzeczywistości mają kluczową moc: wydłużania życia.

To kolejne nowoczesne leki, które Ministerstwo Zdrowia obejmuje finansowaniem. W ostatnich latach pacjenci mogą wręcz mówić o rewolucji, bo jeszcze nigdy tak szybko nowe terapie nie wchodziły na listy refundacyjne. Nowoczesne metody sprawiają, że nawet agresywne typy nowotworów – a do takich zalicza się potrójnie ujemny rak piersi – można leczyć o wiele lepiej. Leczenie zaś jest na tyle komfortowe, że pozwala pacjentkom normalnie lub niemal normalnie żyć.

Jak to jednak w Polsce bywa – beczka miodu nie może się obyć bez łyżki dziegciu. I nawet nie chodzi o to, że pod względem dostępu do nowoczesnych terapii (nie tylko w onkologii) ciągle jesteśmy w tyle w stosunku nie tylko do bogatych krajów Europy Zachodniej, ale nawet naszych sąsiadów z regionu. To jeden z wniosków płynących z opublikowanego w maju raportu Access Gap autorstwa Infarmy.

W Polsce decyzje o refundowaniu leków zapadają (zwykle) później niż w innych krajach, a naszą pozycję (a tak naprawdę – sytuację pacjentów) pogarsza fakt, że refundacja jest skomplikowana i obwarowana licznymi warunkami. Na ich straży stoją zaś urzędnicy, kontrolujący realizację programów lekowych. Mówiąc najprościej – o tym, czy pacjent jest objęty programem czy nie, decydują ściśle określone kryteria. Gdy chory ich nie spełnia, nie dostanie się do programu lub jest z niego wykluczany, nawet jeśli lekarz oceni, że terapia przynosi efekty. Medycy wskazują również na inny problem – często z najnowocześniejszych i najbardziej skutecznych leków pacjenci mogą korzystać dopiero, kiedy choroba już się rozwinie. Świat idzie w tym kierunku, by skuteczne terapie stosować wtedy, gdy jest największa szansa na opanowanie choroby i wydłużenie czasu remisji, w Polsce natomiast nowe leki są wprowadzane nawet nie w drugiej, ale w trzeciej i dalszych liniach leczenia.

Nie za wszystko jednak można obwiniać decydentów. Onkolodzy i organizacje zrzeszające chorych onkologicznie mówią jednym głosem: pacjenci, którzy korzystają z badań profilaktycznych oraz nie lekceważą niepokojących sygnałów wysyłanych przez organizm, tylko zgłaszają się do lekarzy, badają się i wcześnie zaczynają leczenie – mają większe szanse na życie. Fakt, że kończy się październik, któremu tradycyjnie towarzyszy różowa wstążka, przypominająca o profilaktyce raka piersi, nie znaczy, że o tej ostatniej można zapomnieć na jedenaście miesięcy. ©

Jak wypieramy pandemię

AKCJA SZCZEPIEŃ stoi więc niemal w miejscu – zwłaszcza że chodzi tu w większości o dawki przypominające. Pula osób niezaszczepionych (40 proc.) od dawna właściwie się nie zmniejsza. Jest to o tyle groźne, że ani jednej dawki nie przyjęła duża grupa seniorów: czwarta część osób powyżej 60. roku życia i prawie trzecia część tych powyżej 80. roku życia. Z kolei wielu zaszczepionych z tych grup nie przyjmowało już boosterów – tymczasem eksperci przypominają, że po 6-8 miesiącach od przyjęcia preparatu odporność spada. A w przypadku seniorów mówimy o grupie ryzyka: infekcja grozi poważnym przebiegiem choroby i powikłaniami. W trzecim roku pandemii mamy tendencję do wypierania faktu, że ona wciąż trwa, co nie sprzyja profilaktyce – nie tylko szczepieniom, ale też noszeniu masek w środkach komunikacji lub częstej dezynfekcji rąk.

15 730

szczepień przeciw covidowi wykonano w Polsce 27 października. Tygodniowa średnia dziennych wkłuć od początku października sukcesywnie spada.

©℗ MAM

Polsko-ukraiński Słownik Wyrazów Ratujących Życie

BYŁY TE NAJBARDZIEJ dosłowne, jak „gaśnica", „piwnica", „telefon", „woda" czy „plecak" – podawane choćby przez ukraińskich uczniów przebywających w Polsce od dnia ucieczki przed rosyjską inwazją. Np. 14-letnia Irina napisała czerwonym mazakiem (po ukraińsku, ale dodając w nawiasach polskie tłumaczenia): „powietrzny alarm", „pomoc humanitarna", „schowek". Kilkoro innych Ukraińców napisało po prostu „Polska". Zdarzały się przekleństwa, w tym sensie ratujące życie, że redukujące napięcie w sytuacji nie do zniesienia, albo zwroty autoterapeutyczne („nie zawiniłaś", „to nie twoja wina") czy też te odwołujące się do wiary („Mój Boże", „Bóg Cię prowadzi").

Dr Michał Paluch, pedagog z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, zakończył 31 października przyjmowanie haseł do polsko-ukraińskiego Słownika Wyrazów Ratujących Życie. Podawane zwroty, zdania, maksymy pochodzą od ukraińskich i polskich uczniów, nauczycieli, rodziców, psychologów oraz terapeutów pracujących interwencyjnie z uchodźcami przybywającymi do Polski. – Chodzi o uzmysłowienie sobie, jak wielkie mamy zasoby słów i stojących za nimi czynów: pomocy, serdeczności, skupienia, wzruszenia itd. O znalezienie człowieczeństwa w sobie i innych w czasach wojennych, czyli nieludzkich, dzięki słowom, których znaczenia mogą się zacierać – mówi dr Paluch, prowadzący również, razem z psychologiem Aleksandrem Tereszczenką, „Program wsparcia psychologiczno-pedagogicznego dla uczniów, nauczycieli i rodziców" w czasie pandemii i wojny.

Kolejny etap prac to już przygotowywanie słownika – zarówno w wersji ukraińskiej, jak i polskiej. Powołany przez pedagoga UKSW komitet redakcyjny, złożony m.in. z językoznawców, antropologów i pedagogów, planuje usystematyzować zebrany materiał, nadając hasłom definicje i konteksty. Wydanie słownika planowane jest najpóźniej na luty 2023 roku, czyli rocznicę rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

POSTĘP
Polski konflikt polityczny przeniósł się na kwestie transportowe. „Jak patrzę czasem, jak o 7.00 zmarznięci ludzie wożą dzieci na rowerach do szkół, to trochę się uśmiecham, bo jednak postęp technologiczny powinien być" – powiedziała w Radiu Zet europosłanka PiS Beata Kempa, akurat kiedy prezydent Rafał Trzaskowski rozpoczął kampanię nakłaniającą mieszkańców Warszawy do rezygnacji z samochodów na rzecz ekologicznych form podróży.

ŁUKASZ KŁOS / REPORTER

WZROST
À propos podróży: 40 proc. Polaków badanych przez firmę United Surveys na zlecenie Wirtualnej Polski uważa, że wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego podczas objazdu Polski działają na niekorzyść jego partii; podobnie myśli 15 proc. osób deklarujących się jako wyborcy PiS.

OBNIŻKA
À propos sondaży: z ostatnich badań CBOS wynika, że zwolennikami rządu Mateusza Morawieckiego jest 26 proc., a do jego przeciwników zalicza się 47 proc. Polaków. Tak złych notowań obecny gabinet jeszcze nie miał.

BRAK
À propos przeciwników rządu: sejmowa Komisja Edukacji, Nauki i Młodzieży skierowała do dalszych prac tzw. ustawę lex Czarnek 2.0 – podczas kluczowego głosowania, w którym projekt można było zablokować, zabrakło czterech posłów opozycji.

Nie będzie bezpiecznej przystani

MAREK KĘSKRAWIEC

PiS wycofał z Sejmu projekt ustawy tworzącej radę ds. bezpieczeństwa strategicznego. Miała ona decydować o losach szefów ok. 30 ważnych polskich spółek, m.in. Orlenu, Gaz-Systemu, Polskich Sieci Elektroenergetycznych, PERN-u i Polfy Tarchomin. Powoływano by ją na sześcioletnie kadencje, co umożliwiłoby PiS kontrolę nad potężnymi firmami, nawet gdyby w przyszłorocznych wyborach partia poniosła klęskę.

Projekt złożony został jako poselski, by uniknąć konsultacji publicznych i szybko przepchnąć go przez Sejm, bez szumu i zbyt wielu ekspertyz prawnych. A byłyby one zapewne miażdżące, gdyż uzasadnienie projektu jest kuriozalne. Nowe prawo miało rzekomo chronić spółki Skarbu Państwa „przed negatywnymi następstwami utraty ciągłości sprawowania funkcji nadzorczych i zarządczych", co eksperci zrozumieli jako: „nawet jeśli zmieni się rząd, stołki dla kolegów zostaną, a tym samym źródło pieniędzy dla partii i zaprzyjaźnionych mediów".

W ubiegłym tygodniu doszło do nagłego zwrotu w sprawie. Rzecznik PiS Radosław Fogiel poinformował o rezygnacji z projektu z uwagi na „wątpliwości natury konstytucyjnej". Decyzję podjął rzekomo osobiście Jarosław Kaczyński (wcześniej miał zaaprobować ustawę za namową Daniela Obajtka), obawiający się kolejnego hałasu w mediach oraz gniewu we własnej partii, gdzie projekt odebrano jako kapitulację w obliczu wyborów. Prezes bał się również, że takiego kuriozum prawnego nie podpisze Andrzej Duda. ©℗

Stracić jak w banku

SZEŚĆ Z OŚMIU największych banków w Polsce skończyło ostatni kwartał stratą. Łącznie cała branża może być pod kreską nawet na 8 mld zł.

Przyczyną strat są wakacje kredytowe, które rząd wymusił na bankach z chwilą rozpoczęcia agresywnych podwyżek stóp procentowych. Działania NBP nie przyniosły efektu w postaci wyhamowania inflacji, za to niemal doprowadziły do zamrożenia podaży kredytów hipotecznych. Od stycznia do końca września udzielono ich o ponad 44 proc. mniej niż w analogicznym okresie rok wcześniej. Blisko o jedną trzecią wzrosła za to liczba zakupów ratalnych.

Branża bankowa w Polsce ma zatem wciąż zdrowe podstawy i nie ma obaw o bezpieczeństwo depozytów klientów. Tąpnięcie, jakie odczuły one w wynikach finansowych, ma charakter incydentalny. Narodowy Bank Polski oszacował, że w pierwszych ośmiu miesiącach tego roku same przychody odsetkowe sektora bankowego wyniosły 70,1 mld zł, co oznaczało wzrost o 18 proc. miesiąc do miesiąca – i 119 proc. rok do roku. ©℗ MR

ONUR DOGMAN / SOPA IMAGES / GETTY IMAGES

W IRANIE nie słabną antyrządowe protesty, które wybuchły po śmierci 22-letniej Mahsy Amini. Dziewczyna zmarła w połowie września, pobita przez policję obyczajową za zbyt luźny hidżab. Fala protestów z ulic rozlała się na uczelnie i licea, przyłączają się pracownicy przemysłu i sklepikarze. Władza reaguje brutalnie, według różnych źródeł zginęło już 220-250 osób, a tysiące aresztowano. Wywiad USA twierdzi, że w tłumieniu protestów Iranowi doradza Rosja. Demonstracje poparcia dla protestujących Irańczyków odbywają się na całym świecie. Na zdjęciu: taki protest w Stambule, 24 października 2022 r. ©℗ JT

Brudne strachy Kremla

PO RAZ KOLEJNY Rosja gra na lękach świata. Kolportując rewelacje o zamiarze użycia przez Ukrainę „brudnej bomby", próbuje szantażować Zachód, eskalować konflikt i zmusić Kijów do kapitulacji.

Według rosyjskich enuncjacji Ukraina z pomocą Wielkiej Brytanii przystąpiła w co najmniej dwóch zakładach do produkowania ładunku konwencjonalnego wzmocnionego komponentem radioaktywnym, powodującym skażenie (stąd nazwa „brudna bomba"). W ciągu kilku dni minister obrony Siergiej Szojgu zatelefonował do swych odpowiedników w USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Turcji, Chinach i Indiach. Celem było przekonanie rozmówców, że Ukraina szykuje się do takiej prowokacji: detonacji na swoim terytorium, by oskarżyć o ten barbarzyński akt Rosję. To metoda stosowana już w rosyjskiej grze dezinformacyjnej: rzucanie bezpodstawnych oskarżeń pod adresem przeciwników, by wywołać chaos i strach, a siebie wybielić.

Na wniosek Rosji zwołano też posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ – Kreml miał na nim przedstawić dowody. Dyplomaci się zjechali, bo gdy stały członek Rady w trybie alarmu wzywa, trzeba go wysłuchać. Rosyjska delegacja wyłuszczyła swoje fałszywe racje, a pytany o dowody jej przewodniczący odparł, że one owszem są, ale zapoznać mogą się z nimi tylko osoby uprawnione, bo to dane wywiadowcze. Dyplomaci przetarli oczy i uszy. „To strata czasu" – podsumował przedstawiciel Wielkiej Brytanii. Szef MSZ Ukrainy Dmytro Kułeba zaprosił ekspertów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej do kontroli obiektów wskazanych przez Rosję.

Cała ta akcja o rzekomej ukraińskiej „brudnej bombie" adresowana była głównie do państw Europy. Eksperci amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną są zdania, że chodziło o zastraszenie Zachodu w celu zatrzymania pomocy wojskowej dla Ukrainy i wywołania w NATO rozbieżności co do dalszych działań.

Równolegle z tą akcją w Rosji odbyły się drugie w tym roku ćwiczenia strategicznych sił jądrowych (wcześniej odbywały się zwykle raz do roku). Miały sprawdzić możliwość „dokonania zmasowanego uderzenia atomowego" na przeciwnika – i bez wątpienia były też odpowiedzią na wcześniejsze natowskie ćwiczenia „Steadfast Noon", w ramach których sprawdzana jest sprawność sił jądrowych Sojuszu. Ta zaś wypadła, jak słyszymy, pozytywnie – jasny sygnał dla Kremla, że NATO nie da się zastraszyć.

©℗ ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

S. AGNIESZKA GUGAŁA CSA (KONGO):

Leczymy na linii frontu

MAREK RABIJ: Gdzie teraz jesteście?

SIOSTRA AGNIESZKA GUGAŁA CSA: W Demokratycznej Republice Konga, kilkanaście kilometrów od granicy z Rwandą, na terenach opanowanych już przez siły ugrupowania M23, które od wiosny walczą z wojskami rządowymi. Kilka dni temu front przebiegał dokładnie przez naszą miejscowość. W niedzielę pociski spadały już pomiędzy zabudowaniami szpitala, który tu prowadzę. Obecnie walki toczą się kilka kilometrów na południowy zachód od nas. Nawet w tej chwili słyszę eksplozje.

Dużo macie rannych?

W szpitalu leży obecnie ponad stu chorych, wśród nich kilkudziesięciu z ranami postrzałowymi lub od odłamków. Trzydzieści osób wymaga pilnej ewakuacji i specjalistycznego leczenia, ale żeby ich dokądś wywieźć, musiałabym wiedzieć, gdzie jest bezpiecznie, a od kilku dni nie mogę nawet wystawić nosa poza wieś. Personel szpitala, prócz mnie i dwóch sióstr z Konga i Rwandy, to jeszcze pięciu miejscowych pielęgniarzy. A na naszym terenie przebywa w tej chwili ok. 5 tys. ludzi, głównie kobiet i dzieci. Kontaktowała się z nami ONZ, ale zaproponowali, że ewakuują tylko nas. A nam chodzi o ratunek dla miejscowych. Jesteśmy tutaj dla nich. W tej części Demokratycznej Republiki Konga od połowy lat 90. co kilka lat wybuchają rebelie. Kiedy w marcu znów zaczęły się walki, ludność wiedziała, czym to grozi, i zaczęła uciekać. Aż dogonił ich front.

Jak traktują Was żołnierze?

Obie strony na razie zachowują się wobec nas neutralnie, ale też nie przejmują się cywilami w trakcie walk.

A co z żywnością i lekami?

Zapasy się kończą, bo nie byliśmy przygotowani na pobyt tysięcy ludzi na terenie szpitala. Wczoraj na obiad był tylko ryż i trochę pomidorów. Dzięki pomocy polskiej fundacji Dobra Fabryka mamy instalacje fotowoltaiczne i dostęp do wody pitnej, ale to nie rozwiązuje głównego problemu, jakim jest brak bezpieczeństwa pacjentów. ©℗

DOBRA FABRYKA / MAT. PRAS.

S. AGNIESZKA GUGAŁA *ze Zgromadzenia Sióstr od Aniołów od 2009 r. prowadzi szpital w Demokratycznej Republice Konga.*

Więcej na **powszech.net/kongo**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MISJA

Nasze duszpasterstwo przemawia do człowieka, którego już nie ma. Musimy sprawić, by Ewangelia stała się zrozumiała dla ludzi, a to oznacza dla Kościoła gotowość do poddania się przemianie – mówił kard. Jean-Claude Hollerich w rozmowie z Vatican News. Arcybiskup Luksemburga jest sprawozdawcą generalnym synodu o synodalności.

POMNIK

Obrażająca Żydów średniowieczna płaskorzeźba „Judensau" pozostanie na fasadzie kościoła w Wittenberdze – zdecydowała rada parafialna. Zdaniem członków rady rzeźba wraz z tablicą informacyjną stała się pomnikiem ostrzegającym przed antysemityzmem.

PORNOGRAFIA

„Jest to nałóg, który ma tak wielu ludzi, tak wielu świeckich, tak wiele świeckich kobiet, a także księży i zakonnic" – mówił Franciszek podczas spotkania z seminarzystami i księżmi studiującymi w Rzymie, przestrzegając przed korzystaniem z pornografii w sieci.

FAUX PAS

Nuncjusz apostolski w Polsce abp Salvatore Pennacchio złamał nieformalną zasadę ignorowania dyplomatów rosyjskich w czasie trwającej agresji Rosji na Ukrainę i zaprosił ambasadora Siergieja Andriejewa na przyjęcie do Nuncjatury w Warszawie. Inni zaproszeni nie zostali o tym uprzedzeni.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Nadzór państwa nad diecezją Buffalo

PO RAZ PIERWSZY lokalny Kościół w USA trafi pod kuratelę państwa. W wyniku pozasądowej ugody z prokuraturą stanu Nowy Jork katolicka diecezja Buffalo zgodziła się na co najmniej trzyletni zewnętrzny nadzór nad postępowaniem w sprawach dotyczących wykorzystywania seksualnego nieletnich przez duchownych. Corocznego audytu dokumentów diecezji dokonywać będzie była agentka FBI, a stały nadzór nad procedurami diecezjalnymi sprawować będzie była prokurator. Diecezja zobowiązała się ujawniać nazwiska księży oskarżonych o przestępstwa seksualne oraz publikować i wdrażać zalecenia świeckiej komisji rewizyjnej.

W 2019 r. z urzędu biskupa diecezjalnego zrezygnował Richard Malone, a rok później jego biskup pomocniczy Edward Grosz. Obaj oskarżeni byli o tuszowanie przypadków pedofilii wśród księży. W wyniku setek pozwów diecezja Buffalo ogłosiła upadłość. Obecna umowa zabrania im sprawowania jakiejkolwiek funkcji w organizacjach charytatywnych.

„Przez zbyt długi czas diecezja Buffalo i jej rządcy nie zapewnili podstawowego obowiązku ochrony i przewodniczenia naszym dzieciom" – powiedziała prokurator generalna stanu Nowy Jork Letitia James po podpisaniu porozumienia. Śledztwo przeciwko diecezji rozpoczęła ona w 2020 r. ©℗ ASK

Kobiece wspólnoty

W ŁODZI odbyło się pierwsze Ogólnopolskie Forum Liderek i Duszpasterzy Wspólnot Dla Kobiet. Pod hasłem „Charyzmat i apostolstwo kobiet w Kościele" spotkało się 98 osób z 32 wspólnot. Uczestniczki wysłuchały m.in. wykładów o charyzmacie kobiecości i o apostołce apostołów Marii Magdalenie.

Gospodarza spotkania ks. Pawła Gabarę zaskoczyła liczba wspólnot i obszary ich działalności. „Istnieje np. wspólnota »Ogród Maryi«, która działa na rzecz kobiet przebywających w zakładach karnych – zauważył duszpasterz kobiet w archidiecezji łódzkiej. – Inna wspólnota »Młode wdowy« zrzesza kobiety, które utraciły mężów, kolejna zrzesza byłe siostry zakonne, które pragną żyć nadal charyzmatami życia zakonnego »w świecie«. Jest wspólnota dla młodych mam z małymi dziećmi »Macierzanki«, są »Perły Maryi«, wspólnota »Miriam« czy działająca w Łodzi »OlaBoga« – wspólnota Odnowy w Duchu Świętym".

Wspólnoty pełnią rolę grup wsparcia, pomagają też rozwijać relację z Bogiem. Zwykle zawiązują się w mediach społecznościowych. ©℗ ASK

Światowe konsultacje katolików

PIOTR SIKORA

W OSTATNI CZWARTEK PAŹDZIERNIKA w Watykanie zaprezentowano podsumowanie lokalnych syntez synodalnych. Dokument, którego tytuł (zaczerpnięty z Księgi Izajasza) brzmi: „Rozszerz przestrzeń swojego namiotu", przedstawia główne wątki, które pojawiły się w konsultacjach synodalnych w niemal wszystkich częściach globu.

Z dokumentu jednoznacznie wynika, że wśród katolików na całym świecie wyraźne jest pragnienie Kościoła bardziej inkluzywnego, niż był (jest) do tej pory. Samo uczestnictwo w procesie synodalnym było dla wielu pierwszą możliwością wypowiedzenia swojego zdania i bycia wysłuchaną/ /wysłuchanym w kościelnej przestrzeni. Niestety, z synodalnych głosów wynika, że stan Kościoła daleki jest od ideału wspólnoty, w której wszyscy czują się „u siebie", mogąc brać odpowiedzialność za jej kształt i funkcjonowanie.

Jedną z głównych przeszkód w „synodalnym" funkcjonowaniu Kościoła, doświadczaną na całym świecie, jest skandal przemocy seksualnej i sposobu, w jaki ofiary tej przemocy były i są traktowane we wspólnocie. Skandal ten wiąże się ściśle z „piramidalną", klerykalną strukturą Kościoła. Struktura ta musi się zmienić.

Równie uniwersalne jest doświadczenie, iż w tej klerykalnej strukturze szczególnie dyskryminowane są kobiety. Włączenie kobiet w procesy decyzyjne czy dopuszczenie do święceń diakonatu – to także niemal powszechnie obecne postulaty. Bardziej kontrowersyjna okazuje się propozycja dopuszczenia kobiet do święceń prezbiteratu.

Kontrowersji i napięć jest w Kościele więcej. Okazuje się, że idea (i praktyka) synodalności wzbudza lęk. Świadectwa tego odnaleźć można w zaprezentowanym dokumencie. Widać to także w reakcjach, jakie wzbudził on sam i inne synodalne syntezy. Wielu katolików (dotyczy to chyba bardziej hierarchów niż świeckich) boi się Kościoła, w którym o wszystkim można dyskutować, lęka się także procesu zmiany utrwalonych struktur. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

NAGRODY

Dokument „Silent Love" Marka Kozakiewicza otrzymał MDR Film Prize dla Najlepszego Filmu z Europy Wschodniej na festiwalu DOK Leipzig, a „Koniunkcja" Marty Magnuskiej – statuetkę Złotego Gołębia dla najlepszej krótkometrażowej animacji.

NEWSY

Tymczasem cztery lata po premierze „Zimnej wojny" Paweł Pawlikowski przygotowuje film pt. „Wyspa", w którym wystąpią Joaquin Phoenix (zdobywca Oscara za kreację w „Jokerze" Todda Phillipsa) oraz Rooney Mara (dwukrotnie nominowana do Oscarów).

NINATEKA

Pięć filmów ze Zbigniewem Cybulskim w roli głównej będzie można oglądać przez cały listopad na darmowej platformie Ninateka.pl: „Do widzenia, do jutra..." Janusza Morgensterna, „Milczenie" Kazimierza Kutza, „Zbrodniarz i panna" Janusza Nasfetera, „Rękopis znaleziony w Saragossie" Wojciecha Jerzego Hasa i „Sam pośród miasta" Haliny Bielińskiej.

NOC

Na „I Wrocławskiej Nocy Dziadów" w Muzeum Pana Tadeusza pokazana zostanie instalacja „Serce ustało" w reż. Marzeny Sadochy na podstawie fragmentów z Mickiewicza. Do udziału w projekcie zaproszono zarówno aktorów słyszących, jak i głuchych, a „Dziady" zostaną przełożone na polski język migowy.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
www.tokfm.pl

PIOTR KRAJEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE BXB STUDIO

POLSKA ZAGRODA – najpiękniejszym domem na świecie. Projekt autorstwa zespołu z krakowskiego BXB Studio Bogusława Barnasia zyskał uznanie w międzynarodowym konkursie Architecture Master Prize w Los Angeles. Tradycyjne, wiejskie gospodarstwo zamieniono na nowoczesny kompleks mieszkalny składający się z pięciu przenikających się brył. Projekt inspirowany drewnianym budownictwem podcieniowym odzwierciedla filozofię studia. Projektanci za cel stawiają sobie tworzenie architektury nowoczesnej, ale mocno zakorzenionej w zabudowie tradycyjnej. Takim był też poprzedni, wielokrotnie nagradzany projekt tej pracowni „Chata podcieniowa", który i tym razem otrzymał wyróżnienie. Zwycięzcy tegorocznej edycji Architecture Master Prize zostaną uhonorowani na gali 5 listopada 2022 r. w Muzeum Guggenheima w Bilbao w Hiszpanii. ©℗ JT

Pyłki dużo obiecujące

BADANIA NIEPOZORNYCH drobinek zagnieżdżonych w spadłych niedawno na ziemię meteorytach zakończyły się interesującym wynikiem. Pod mikroskopem – i spektroskopem – znalazły się trzy kamienie z kosmosu: Aguas Zarcas z Kostaryki, Mukundpura z Indii i Kolang z Indonezji – wszystkie świeżutkie, należące ponadto do tzw. chondrytów węglistych: najstarszych meteorytów w Układzie Słonecznym. Stanowią więc niezłe okno na to, z jakiej materii ulepiła się 4,5 mld lat temu nasza planeta.

Naukowców interesowało, skąd pochodzą rozsiane w tych skałach drobinki materii organicznej. Wygląda na to, że nie powstały tu, w naszym własnym Układzie Słonecznym, lecz przybyły do nas z Galaktyki. Oznacza to, że przestrzeń międzygwiazdowa opływa w związki chemiczne, które przy odrobinie szczęścia mogą stanowić zaród życia. To kolejna drobna wskazówka, która być może pozwoli nam kiedyś odpowiedzieć na pytanie, skąd właściwie wywodzi się wyjątkowość naszej planety i występującego na niej życia?

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Nowa metoda produkcji tlenu w organizmie

KAŻDA KOMÓRKA naszego ciała zużywa energię, a żeby wydobyć ją ze zgromadzonych przez organizm zasobów, potrzebuje tlenu. Bez niego możemy przeżyć tylko kilka minut. Nie znaczy to jednak, że im więcej tlenu w organizmie, tym lepiej – jego zbyt wysoki poziom powoduje biochemiczne uszkodzenia w komórkach i może być śmiertelnie niebezpieczny.

Nauka ani medycyna nie dysponowały dotąd metodą, która pozwalałaby na manipulowanie ilością użytecznego biologicznie tlenu bezpośrednio w komórkach zwierząt, w konkretnym czasie i miejscu organizmu. Vamsi K. Mootha z Harvard Medical School i jego zespół właśnie ogłosili, że taka metoda powstała.

Badacze zaprojektowali narzędzie genetyczne nazwane SNORCL – to skrót od „suplementowany tlen uwalniany przez chloryn". Jego głównymi składowymi jest zapożyczony od bakterii enzym, zdolny rozkładać związek chemiczny zwany chlorynem, w wyniku czego uwalniany jest tlen, a także transporter pozwalający na aktywację całego systemu „na żądanie".

Na razie twórcy SNORCL celują w zastosowania naukowe – ich narzędzie pozwoli lepiej badać to, jaką rolę tlen odgrywa w metabolizmie rozmaitych substancji czy przekazywaniu informacji o stanie komórki na zewnątrz. Ale na horyzoncie są także zastosowania ściśle medyczne. ©℗ ŁK / PNAS

TEMAT TYGODNIKA

JAK UNIKNĄĆ WOJNY POKOLEŃ

Najgłębszy podział przebiega dziś nie między zwolennikami rządu i opozycji, ale między starszymi a młodszymi Polakami. Partie już go wykorzystują.

PAWEŁ MARCZEWSKI

FILIP RADWAŃSKI / FORUM

Wiec wyborczy w Wieliczce, lipiec 2020 r.

Podział na Polskę „liberalną" i „solidarną" oraz jego kolejne wcielenia – PO kontra PiS czy „rząd dobrej zmiany" kontra „totalna opozycja" – organizuje naszą wyobraźnię polityczną co najmniej od 2005 r. Wtedy to fiaskiem zakończyły się negocjacje koalicyjne między dwiema największymi partiami postsolidarnościowymi. Trwa zatem dłużej niż wcześniejszy podział, przebiegający przez polską politykę według stosunku do okresu przed 1989 r.

Początkowo uchodził za użyteczną politycznie grę pozorów, która pozwalała mobilizować zwolenników i zogniskować debatę publiczną na sporze między dwiema największymi partiami. Jednak z czasem stał się dla wielu Polek i Polaków fundamentem nie tylko ich tożsamości politycznej, ale i kluczem do rozumienia świata.

Prawda lub fałsz

To, jak narracja o dwóch Polskach z politycznego spinu przekształcała się w opis autentycznego, głębokiego podziału, najlepiej prześledzić na danych z sondaży CBOS, które pozwalają na uchwycenie zmian w poglądach elektoratów PO i PiS w ostatnich dwudziestu latach. W 2001 r. odsetek wyborców PO deklarujących się jako prawicowi wynosił 50 proc., a wśród zwolenników PiS – 60 proc. Dwadzieścia lat później jako prawicowi określało się jedynie 14 proc. głosujących na PO i 73 proc. wyborców PiS.

Partie, których elektoraty nie były początkowo tak bardzo odmienne, nagle stały się formacjami skupiającymi ludzi należących do wykluczających się światów. Wśród wyborców PiS odsetek osób regularnie uczestniczących w praktykach religijnych pozostał na niemal niezmienionym, wysokim poziomie (powyżej 60 proc.), wśród wyborców PO zmniejszył się zaś o ponad połowę (z 60 do poniżej 30 proc.). Partii Jarosława Kaczyńskiego znacząco przybyło zwolenników wśród mieszkańców wsi i emerytów, Platforma zyskiwała wśród przedstawicieli zawodów twórczych i specjalistek z wyższym wykształceniem, choć zyski nie były aż tak duże jak w przypadku PiS.

Po dwóch dekadach podział PO-PiS przestał zatem wyznaczać oś rywalizacji politycznej, stał się zaś opisem rzeczywistości społecznej, a nawet więcej – symboliczną ↦

MACIEJ GOCŁOŃ / FOTONEWS / FORUM

Wybory prezydenta Rzeszowa, 13 czerwca 2021 r.

Demografia na wyborach

STARZENIE SIĘ społeczeństwa, migracje między miastem a wsią oraz imigracja – to czynniki demograficzne, które w najbliższych latach będą najsilniej zmieniać naszą politykę.

WYNIKI ostatniego spisu powszechnego przyniosą zapewne tylko korektę, bo trend jest wyraźny i od lat niezmienny. Polskie społeczeństwo się starzeje. Osoby w wieku do 14 lat stanowią dziś 15 proc. mieszkańców kraju – a w grupie wiekowej powyżej 65. roku życia mieści się aż 14 proc. populacji (w ciągu ostatniej dekady ten odsetek wzrósł o punkt procentowy). Ujmując rzecz inaczej, na stu mieszkańców Polski w wieku do 14 lat przypada dziś już 92 seniorów powyżej 65 lat. Ten stosunek, zwany indeksem starości demograficznej, oddaje zdolność populacji do reprodukcji, ale jednocześnie wskazuje na potencjalne problemy gospodarcze i społeczne, które mogą stać się podglebiem ostrych sporów politycznych. Zwłaszcza w obliczu niemal pewnego zmniejszenia się populacji kraju do 33 mln osób w 2050 r. oraz dalszego wzrostu przewagi liczebności starszych nad młodszymi (na stu Polaków do 14. roku życia przypadać będzie wtedy aż 140 obywateli w wieku powyżej 65 lat).

OD LAT 90. XX WIEKU stałym wątkiem niemal wszystkich opracowań demograficznych było także zmniejszanie się liczebności mieszkańców wsi na rzecz miast. Wstępne dane z najnowszego spisu powszechnego wskazują jednak zmianę tego trendu. W latach 2011-21 populacja polskich miast zmalała bowiem o 3 proc., czego jednak nie należy wiązać z różnicami między dzietnością w miastach i na wsi, które mniej więcej od pięciu lat nie są aż tak duże na korzyść tej ostatniej. Demografowie tłumaczą to raczej zjawiskiem suburbanizacji, czyli przenosin części mieszkańców miast na obszary formalnie poza ich granicami administracyjnymi, ale de facto tworzące wraz z miastem jeden organizm.

NIEWYKLUCZONE JEDNAK, że zaobserwowane wahnięcie statystyczne na rzecz wsi zostanie błyskawicznie zniwelowane za sprawą trzeciej potężnej siły, która właśnie zmienia, być może w sposób nieodwracalny, demografię i politykę Polski. Od rosyjskiej agresji 24 lutego Ukrainę opuściło blisko 7 mln mieszkańców. Straż Graniczna szacuje, że około 1,4 mln zdecydowało się pozostać w Polsce na dłużej. Część z nich zapewne powiększy wkrótce i tak liczną już, bo złożoną z około miliona osób, społeczność Ukraińców mieszkających w Polsce na stałe. ©℗ MR

↦ linią odgradzającą prawdę od fałszu, propagandę od faktów. Badania z ostatnich dwóch lat pokazują, że Polki i Polacy deklarujący poparcie dla rządu oraz ci, którzy wspierają opozycję, odmiennie doświadczyli pandemii i inaczej oceniają kryzysową rzeczywistość postpandemiczną. W sondażu CBOS z lutego 2022 r. 63 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej stwierdziło, że obowiązujące restrykcje pandemiczne nie są wystarczające, a 68 proc. wyborców PiS uznało je za adekwatne do sytuacji i zagrożenia. Pytani o przyczyny wzrostu cen zwolennicy KO winią głównie politykę rządu (80 proc. wskazań), wyborcy PiS – czynniki niezależne od rządu (także 80 proc.). Dwie dekady temu podziały na scenie politycznej ograniczały się do preferencji partyjnych – dziś dyktują postrzeganie rzeczywistości. Czy zatem przez kolejne lata będziemy wciąż patrzeć na świat przez okulary PO-PiS i ich kolejnych wcieleń?

Podział postkomunistyczny, nadając ton polskiemu życiu publicznemu aż do 2002 r., też długo wydawał się bezalternatywny. A jednak jego użyteczność w opisywaniu współczesności i porządkowaniu chaotycznej rzeczywistości czasu transformacji wyczerpała się niemalże z dnia na dzień. Tak się przynajmniej wydawało, kiedy rozpoczęły się obrady sejmowej komisji śledczej ds. afery Rywina. W rzeczywistości jednak koniec nastąpił wcześniej. Procesy społeczne podkopujące podział między „postsolidarnościowcami" a „postpezetpeerowcami" toczyły się od dłuższego czasu, tylko pozostawały przysłonięte przez bieżącą grę polityczną.

Tak samo jest z podziałem PiS-PO, patrioci-ojkofobowie, ciemnogród-lemingi. Jeszcze jest uważany za użyteczny, porządkuje bowiem chaotyczne i drastyczne zmiany, jakie zachodzą w społeczeństwie od dwóch dekad, np. jego postępującą sekularyzację czy proces przekształcania się Polski z kraju eksportującego pracowników w kraj migracji docelowych, przyciągający ludzi nie tylko z dawnych republik postradzieckich, ale z całego świata. Wszystkie te wielkie zmiany dają się jeszcze na razie wpisać w starą narrację o „konieczności obrony narodowych wartości i dawnego stylu życia", któremu przeciwstawiana jest równie zużyta narracja o „konieczności zapewnienia warunków dla indywidualnej realizacji" czy „otwierania rynku pracy".

Ale dni użyteczności tej opowieści są policzone. Najlepiej świadczy o tym fakt, że wśród najmłodszych wyborców poparcie

dla PO i PiS nie przekracza 10 proc. Prawdziwy, głęboki podział przebiega dziś nie między zwolennikami rządu i opozycji, ale między starszymi a młodszymi Polkami i Polakami. To on wyznaczy przyszły kształt polskiej debaty publicznej.

Pułapka niedojrzałości

Dekadę temu Instytut Obywatelski, think tank PO, opublikował raport pod znamiennym tytułem „Dojrzewający obywatele dojrzewającej demokracji". Poświęcony „stylowi politycznej obecności młodych" i napisany przez prof. Krystynę Szafraniec, niedawno tragicznie zmarłą znawczynię socjologii młodzieży, był swoistym podsumowaniem miejsca młodych w polskiej polityce po dwudziestu latach od zmiany ustroju.

Autorka nie dawała się w nim ponieść narzekaniom na niskie zaangażowanie społeczne i polityczne młodych. Pokazywała, że ten niski poziom zaangażowania i koncentracja na samorozwoju to cechy „obecności publicznej" młodych w społeczeństwach o długoletnich tradycjach demokratycznych, i że młodzi w Polsce, podobnie jak w innych demokracjach, z czasem – z wiekiem – będą w sferze publicznej bardziej obecni. Kiedy? Gdy zaczną dostrzegać w tej obecności, podobnie jak wcześniej ich rodzice czy dziadkowie, istotną wartość.

W tej interpretacji, popartej m.in. badaniami zrealizowanymi w odstępie 14 lat na tej samej grupie młodych obywateli Wielkiej Brytanii, niskie zaangażowanie tłumaczono tzw. efektem cyklu życiowego. Chodziło o moment, w którym sprawy osobiste liczyły się bardziej niż problemy zbiorowości, postrzegane jako mniej istotne lub niedotyczące młodych bezpośrednio. Z czasem to nastawienie miało ustępować większej świadomości obywatelskiej, pod warunkiem jednakże zapewnienia młodym możliwości mobilności społecznej i usamodzielnienia. Skazani na wieloletnie mieszkanie z rodzicami, z kiepskimi perspektywami na pracę, młodzi mogli zostać uwięzieni w pułapce wiecznej, wymuszonej niedojrzałości obywatelskiej. Pracując na umowie niezapewniającej stabilnych warunków zatrudnienia i za stawkę niedającą perspektywy usamodzielnienia, bardzo trudno dostrzec własną sprawczość jako obywatela.

Czas zweryfikował diagnozę Szafraniec na kilka sposobów. Choć bezrobocie wśród młodych jest dziś w Polsce wyższe niż wśród ogółu społeczeństwa, pozostaje na poziomie o wiele niższym niż dziesięć lat temu. Kiedy ukazywał się raport Instytutu Obywatelskiego, bezrobotnych młodych było 27 proc. (dane Banku Światowego), do sierpnia 2022 r. wskaźnik ten spadł do poziomu 8 proc. To częściowo zasługa emigracji zarobkowej, ale też procesu, który brytyjscy ekonomiści Charles Goodhart i Manoj Pradhan nazwali „wielkim demograficznym odwróceniem". To globalny trend, polegający na coraz większym udziale osób starszych w społeczeństwie i rosnącej dysproporcji między seniorami a osobami aktywnymi zawodowo.

> Po 2020 r. młodzi zaczęli coraz bardziej odróżniać się w swoich wyborach od reszty społeczeństwa. Postępuje wśród nich polaryzacja, ale jej rezultatem jest przewaga lewicy.

Polska od jakiegoś czasu jest częścią tego trendu. Na 100 osób w wieku produkcyjnym przypada dziś u nas 30 osób w wieku poprodukcyjnym (w 2050 r. będzie ich aż 60). Ponieważ dzietność pozostaje na niskim poziomie, a zwiększa się liczba osób starszych, maleje liczba rąk do pracy i młodym łatwiej znaleźć zatrudnienie – nawet pomimo barier i niepewności.

Niższy próg usamodzielnienia nie przełożył się jednak na większą satysfakcję z funkcjonowania demokracji. Przeciwnie: poziom zadowolenia z instytucji demokratycznych jest dziś wśród młodych bardzo niski. W badaniu CBOS z września 2022 r. dobrze pracę parlamentu oceniło tylko 21 proc. badanych w wieku 15-24 lat (wśród najstarszych badanych aprobatę wyraziło 36 proc.).

To oczywiście samo w sobie nie przeczy jeszcze tezie, że niezadowoleni z demokracji młodzi z czasem mogą stać się bardziej zaangażowanymi obywatelami (tak prognozuje efekt cyklu życiowego). Rzecz w tym – i to już wyraźna zmiana w stosunku do pokolenia ich rodziców – że u młodych niskie zadowolenie z funkcjonowania demokracji idzie w parze z rosnącym zainteresowaniem polityką i deklaracjami udziału w wyborach oraz bardzo wysokim odsetkiem wskazań, że demokracja jest najlepszym z możliwych ustrojów. Młodzi obywatele i obywatelki nie czekają już na usamodzielnienie, ↦

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że w dniu 21 października 2022 roku
odszedł do Pana, w 96. roku życia,
nasz kochany Tata, Brat, Teść, Dziadek i Pradziadek

Ś.†P.

Olgierd Baehr

Doktor nauk prawnych

urodzony w ziemiańskiej rodzinie kresowej, wierny Bogu i Polsce, oddany Rodzinie
członek Prymasowskiej Rady Społecznej w latach 1981-1984
prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Poznaniu w latach 1984-1991
wiceprzewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" w Poznaniu
sędzia Trybunału Stanu w latach 1991-1993
współinicjator i pierwszy prezes Fundacji Poznań – Ille-et Villaine

Pogrzeb odbył się na cmentarzu Górczyńskim w Poznaniu.

RODZINA

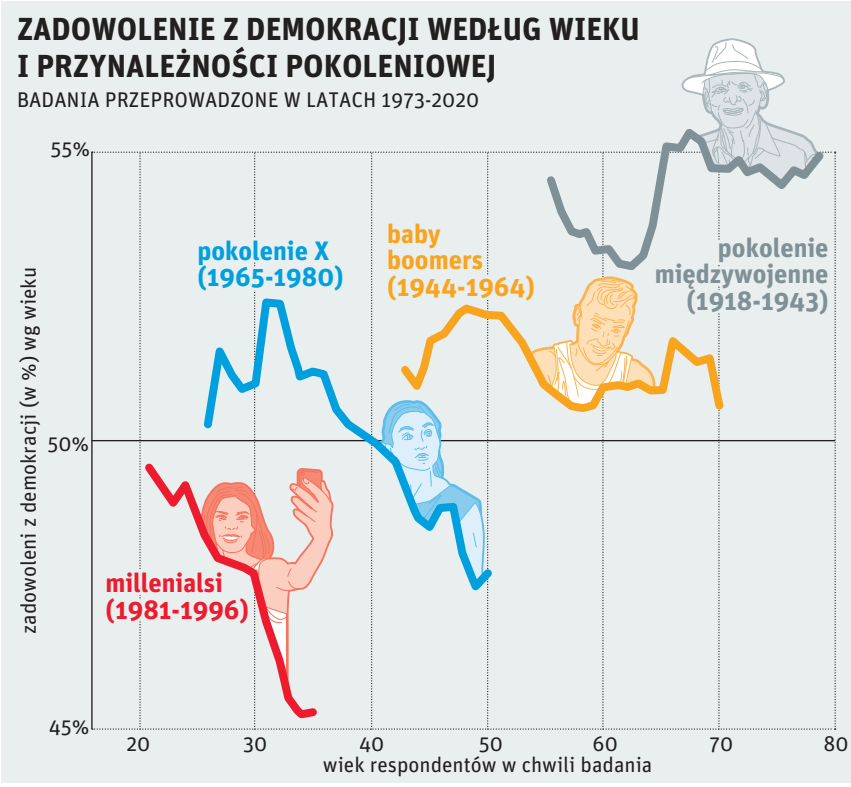

ŹRÓDŁO: „YOUTH AND SATISFACTION WITH DEMOCRACY" (2020), CENTRE FOR THE FUTURE OF DEMOCRACY, BENNETT INSTITUTE FOR PUBLIC POLICY, CAMBRIDGE

zanim się zainteresują polityką i życiem publicznym. Interesują się nimi już teraz – i niezbyt im się podoba to, co widzą.

Droga do nowego podziału

Realizowane od 1990 r. badania CBOS pokazują wyraźny wzrost zainteresowania polityką wśród najmłodszych badanych (18-24 lata) w ciągu ostatnich kilku lat. W 2020 r. odsetek młodych deklarujących „bardzo duże zainteresowanie" polityką wyniósł 14 proc. i wzrósł o rekordowe 5 puktów procentowych w stosunku do poprzedniego roku objętego badaniem. Tym samym niemal przestał się odróżniać od ogółu obywateli, podobnie jak odsetek deklarujących „średnie zainteresowanie" sprawami politycznymi. Dziś trudno twierdzić, że młodzi nie interesują się polityką i koncentrują na sobie – własnym ego czy indywidualnym rozwoju – w dużo większym stopniu niż starsze pokolenia.

Prawdziwe pęknięcie między pokoleniami nie przebiega pomiędzy mało zainteresowanymi sferą publiczną młodymi a starszymi, bardziej zaangażowanymi obywatelami. Polega na tym, że młodsze i starsze pokolenia widzą politykę zupełnie inaczej. Odsetek zainteresowanych, podobnie jak odsetek deklarujących udział w wyborach, nie różnią się już znacząco, jeśli porównamy najmłodszych z ogółem badanych. Wyraźne różnice widać jednak w autoidentyfikacjach badanych z prawicą, lewicą i centrum.

W 2020 r. młodzi obywatele i obywatelki najczęściej deklarowali się jako lewicowi (30 proc. wskazań) – to gwałtowny skok z 17 proc. w poprzednim badaniu CBOS. Wśród ogółu badanych odsetek tych deklarujących się jako lewicowi był znacząco niższy i wynosił 20 proc. Wśród młodych widać też wzrost popularności prawicy, ale był on znacząco mniejszy niż w przypadku poglądów lewicowych. W 2020 r. odsetek młodych badanych deklarujących się jako lewicowi był najwyższy od czasu, kiedy 30 lat wcześniej CBOS zaczął zadawać to pytanie. Jednocześnie wyraźnie zmalał odsetek osób deklarujących się jako niezdecydowane (z 31 do 18 proc.) lub centrowe (z 28 do 22 proc.). Wśród młodych obywatelek i obywateli postępuje zatem polaryzacja, tak jak wśród ogółu społeczeństwa – ale jej rezultatem, inaczej niż w przypadku ogółu Polek i Polaków, jest nieznaczna przewaga lewicy.

Fakt, że co trzeci młody Polak i Polka określają się jako lewicowi, można by oczywiście próbować wyjaśnić „efektem cyklu życiowego", podobnie jak robiono to w przypadku niskiego zaangażowania obywatelskiego. W tym ujęciu lewicowość byłaby pewną młodzieńczą naiwnością, wiarą w sprawiedliwy społecznie świat, która z czasem ustąpi bardziej realistycznemu oglądowi sytuacji.

Przeciwko tej interpretacji świadczy jednak fakt, że wzrost identyfikacji lewicowych nastąpił bardzo szybko, rok do roku. Jeszcze w 2019 r. wyraźną przewagę miały poglądy centrowe, niezdecydowane i prawicowe. Czy oznacza to zatem, że młodzi nagle stali się naiwni, a wcześniej tacy nie byli? Perspektywa cyklu życiowego zakłada dochodzenie do dojrzałości, nie ma w niej miejsca na nawroty naiwności, okazuje się więc niezbyt użyteczna w wyjaśnieniu przyczyn rosnącej popularności lewicowych autoidentyfikacji wśród młodych. O wiele bardziej prawdopodobne jest, że to niedawne zmiany polityczne sprawiły, iż młodzi zaczęli zmieniać swoje orientacje i coraz bardziej odróżniać się w swoich wyborach od reszty społeczeństwa.

Dwa światy

Od wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, ograniczającego możliwość legalnego wykonywania aborcji w Polsce, minęły dwa lata. Mogłoby się wydawać, że z tamtej energii społecznej, jaka wybuchła podczas protestów ulicznych przeciwko wyrokowi, nie pozostało wiele. Drakońskie prawo jak obowiązywało, tak obowiązuje nadal i jedyną perspektywą na jego zmianę jest zwycięstwo opozycji, wszystko jedno – zjednoczonej czy nie. Tymczasem nadal rządzi PiS i choć jego poparcie spadło, to trudno powiedzieć, by dołował w sondażach.

A jednak przeorientowanie autoidentyfikacji politycznych, które dokonało się jesienią 2020 r., miało daleko poważniejsze konsekwencje, niż można zauważyć śledząc wyłącznie międzypartyjne rozgrywki. To wówczas nastąpiło definitywne rozejście się młodego pokolenia z pokoleniami starszymi, nie ma bowiem kwestii równie polaryzującej obywateli z różnych grup wiekowych niż kwestia aborcji.

Wśród najstarszych respondentów w badaniach CBOS z grudnia 2020 r.

56 proc. najstarszych respondentów, czyli w wieku 65 plus, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, opowiedziało się za zaostrzeniem prawa. 25 proc. poparło dotychczasowy tzw. kompromis aborcyjny. Wśród najmłodszych badanych 45 proc. kobiet i 30 proc. mężczyzn było za liberalizacją prawa, za zaostrzeniem zaś 27 proc. kobiet i 44 proc. mężczyzn. Największe różnice poglądów na dopuszczalność aborcji są zatem pomiędzy młodymi a starszymi kobietami. Udział w protestach przeciwko wyrokowi TK deklarowało 41 proc. najmłodszych kobiet i tylko 1 proc. kobiet w grupie 65 plus.

Polaryzacja w kwestii aborcji nabiera dodatkowego wymiaru, kiedy zestawimy ją z faktem, że w badaniu CBOS z 2013 r. 36 proc. kobiet w wieku 65 plus deklarowało, że co najmniej raz w życiu dokonało aborcji. W grupie najmłodszych respondentek ten odsetek wyniósł 10 proc. Z tych danych wyłaniają się dwa światy: starszych respondentek, dla których aborcja była dostępna, i więcej niż jedna trzecia z niej skorzystała, a dziś opowiadają się za jej niemal całkowitą penalizacją; oraz młodszych, dla których aborcja jest w zasadzie niedostępna, ale traktowane jest to jako poważne naruszenie prawa do decydowania o sobie.

Kiedy przeforsowano wyrok TK, słychać było głosy, że jest to próba podgrzania konfliktu społecznego mająca na celu odwrócenie uwagi od złego zarządzania kryzysowego w czasie pandemii. To wyjaśnienie brzmi przekonująco, ale jest z dzisiejszej perspektywy niewystarczające. Utrzymując prawo antyaborcyjne PiS, mniej lub bardziej świadomie, utrwalił głęboki podział pokoleniowy w polskiej polityce.

> PiS wie, że jedyną rosnącą liczebnie grupą wyborców są seniorzy. Polaryzując pokolenia wokół światopoglądowej kwestii aborcji, wyraźnie postawił na tę grupę wiekową i wygrał ją przeciwko młodym.

Politycy partii rządzącej wiedzą, że jedyną rosnącą liczebnie grupą wyborców w Polsce są seniorzy. Polaryzując pokolenia wokół fundamentalnej kwestii światopoglądowej, jaką jest stosunek do aborcji, PiS wyraźnie postawił na jedną grupę wiekową i wygrał ją przeciwko drugiej.

Odejście od przepaści

Kompromisu w sprawie aborcji – światopoglądowego, niekoniecznie ustawowego – zapewne nie będzie nigdy. Ta sprawa zawsze będzie dzielić, tak jak dzieliła do tej pory. Można więc albo ją zideologizować i uczynić podstawą wojny kulturowej i pokoleniowej, jak to uczynił PiS, albo wypracować rozwiązania, które nie będą doskonałe dla żadnej ze stron, za to zgodne z wiedzą medyczną i społeczną na temat efektów legalnej aborcji w określonych warunkach.

Z punktu widzenia spójności społecznej kluczowe jest jednak, żeby kwestia aborcji została odklejona od podziałów pokoleniowych, by przestała wyznaczać oś podziału między młodszymi a starszymi obywatelkami i obywatelami. W relacjach młodszych i starszych nie brakuje punktów spornych, ale w zaskakująco wielu trudnych kwestiach, jak choćby stosunek do przechodzenia na odnawialne źródła energii, myślą zbieżnie i mają podobną świadomość wagi problemu. Żeby jednak o nich wspólnie decydować, czy to w konsultacjach społecznych, czy przy urnie wyborczej, młodsi i starsi muszą uciec z pułapki zastawionej przez nałożenie podziałów światopoglądowych na pokoleniowe.

W przeciwnym razie czeka nas wojna pokoleń, wzmocniona przez rosnącą dysproporcję w liczebności młodszego i starszego pokolenia. Wobec tego konfliktu i jego wyniszczającego wpływu na polskie życie publiczne wszystkie wcześniejsze podziały – postkomunistyczny czy na Polskę liberalną i solidarną – będą wydawały się błahe. © PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu „Obywatele" w Forum Idei, think tanku Fundacji Batorego.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Ekologia

Kiedy Żydzi przygotowywali się do święta *Simchat Tora* (hebr. Radość Tory), zarazem kończącego i rozpoczynającego roczny cykl odczytywania Pięcioksięgu, młodziutkie członkinie grupy Just Stop Oil snuły plany nośnego medialnie protestu przeciw używaniu paliw kopalnianych. Mam – płonną? – nadzieję, że aktywistki wiedziały o tym, że „Słoneczniki" van Gogha były chronione szybą. Tak czy inaczej, „spuśćmy zasłonę miłosierdzia" na formę młodzieńczego krzyku rozpaczy, mając otwarte serca na ostateczną treść ich przekazu.

Zobaczmy, czy nie słyszeliśmy go już wcześniej ze zgoła innych ust. Może – zmyleni starożytnością słów – nie wychwyciliśmy jego znaczenia dla naszego pokolenia? Początek Księgi Rodzaju: stworzenie świata, a jako zwieńczenie dzieła – stworzenie ludzkości. Zaślepieni chęcią zysku, czepiamy się Bożego błogosławieństwa: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie, i napełniajcie ziemię, i zawładnijcie nią" (Rdz 1, 28; Cylkow). Czynienie sobie Ziemi poddaną wychodzi nam niezgorzej, kiedy rabunkowo korzystamy z zasobów planety. Nie chcemy pamiętać, że „wziął Wiekuisty Bóg człowieka i osadził go w ogrodzie Eden, aby go uprawiał i dozorował" (2, 15). Ostatnie dwa czasowniki można bardziej dosłownie przetłumaczyć jako „by nad nim pracował i strzegł go". Skoro „Boga jest ziemia i wszystko, co ją napełnia" (Ps 24, 1) – Najwyższy udostępnia nam planetę, tak samo zresztą, jak nasze ciało, w czasowe użytkowanie.

Midrasz stawia sprawę jasno: Kiedy Święty, Błogosławiony On stworzył pierwszego człowieka, wziął go i pokazał mu wszystkie drzewa ogrodu Eden. Powiedział mu: „Spójrz na Moje dzieła, jakie są piękne i godne pochwały! Wszystko, co stworzyłem, stworzyłem dla ciebie. Pilnuj się, byś nie zepsuł i nie zniszczył Mojego świata: jeśli go zepsujesz, nie będzie nikogo, kto by go po tobie naprawił". Rzecze Kohelet: „Nie zna wszak człowiek i czasu swojego: jako ryby łowione w sieci złowrogiej, i jako ptaki uwikłane w sidle – tak pojmani bywają i synowie ludzcy w czasie niedoli, gdy przypada na nich nagle" (Koh 9, 12). Ryby i ptaki ginące od wyrzucanych przez nas ton plastiku. A ludzie? Wszak to my sami zarzuciliśmy na siebie „złowrogą sieć"! Wprawdzie nie mamy w Polsce topniejących lodowców, ale zdajemy sobie sprawę, że naszej „małej Holandii" – Żuławom Wiślanym – grozi to samo, co Niderlandom i setkom oceanicznych wysp. W naszym kraju odczuwamy zmianę klimatu, deszcze bywają dużo bardziej ulewne niż jeszcze niedawno, pojawiają się u nas coraz częściej rzadkie zjawiska pogodowe. Jako odpowiedzialnym dzieciom Bożym nie wolno nam – mimo szalejącej drożyzny – palić, czym popadnie. Nie stać na to ludzkości – przecież nie ma nikogo, kto by po nas ten świat naprawił. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Puste groby

Raczej wcześniej niż później każdy grób opustoszeje. Próbujemy ten proces pustoszenia jakoś powstrzymać, fundując zmarłym masywne grobowce i drogie nagrobki, stawiając pomniki, tworząc z ich ciał biżuterię, a nawet relikwie i wierząc, że zawierają one w sobie jakieś nadprzyrodzone moce. Tęskniąc za zmarłymi, szukamy ich w tych grobach, co daje przynajmniej chwilowe pocieszenie. I jeśli w tym w gruncie rzeczy beznadziejnym poszukiwaniu kontaktu ze zmarłymi coś może przynieść pocieszenie, to owa tęsknota i związane z nią marzenie o życiu bez śmierci. Marzenie różnie przeżywane i w różny sposób przedstawiane, ale wspólne wszystkim bez względu na światopogląd, religijny czy niereligijny.

Na początku listopada obchodzimy uroczystość Wszystkich Świętych i Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych (swoją drogą, dlaczego tylko wiernych, przecież „niewierni" też są ludźmi, dziećmi Boga?). Otóż w tych dniach szczególnie mocno daje o sobie znać, a nawet boleśnie doskwiera pragnienie i marzenie życia bez końca, czyli wieczne, które liturgia Kościoła potwierdza i daje swoją, chrześcijańską odpowiedź, przypominając opustoszały grób Jezusa z Nazaretu. Przypomina też, że to nie pusty grób daje nadzieję na spełnienie niemożliwego, ale wiara w Boga, w Jego miłość.

Również osiągnięcia współczesnej nauki coraz mocniej problematyzują wszelkie paradygmaty i dogmaty również. Owszem, jeśli z góry założy się, że śmierć unicestwia człowieka, to rzeczywiście wszelkie marzenia i wierzenia jawią się jako produkt chorej wyobraźni, nieliczącej się z racjami rozumu i praktyki. Do nie tak dawna panowało przecież powszechne przekonanie, że istnieją bogowie i w związku z tym istnieje życie pośmiertne, o które troszczono się tak samo, albo jeszcze bardziej, jak o doczesne. Dzisiaj tak już nie jest, dla wielu owa tęsknota, jeśli się zjawia, to jak dalekie, ciche i zniekształcone echo, które przypomina, że *non omnis moriar*.

W Biblii, wśród negujących możliwość powrotu zmarłych do życia, przeżycia śmierci, byli saduceusze, próbujący pogodzić, powiedzielibyśmy dzisiaj, teologię z nauką, wiarę z rozumem. Stąd pytanie, co prawda podstępne, mające skompromitować Jezusa: „Gdy nastąpi zmartwychwstanie", czyją żoną będzie kobieta, która miała po kolei siedmiu mężów? Jezus im odpowiedział, że po pierwsze: „Bóg nie jest Bogiem umarłych, ale żywych. Wszyscy bowiem dla Niego żyją", a ci, „którzy zostają uznani za godnych osiągnięcia wieczności i powstania z martwych (...), są równi aniołom i jako uczestnicy zmartwychwstania są synami Bożymi". Stąd jeśli o coś mamy się martwić, to nie o śmierć, ale o życie – nieodwoływalny i niewyzbywalny dar Ojca. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Poddani sobie

Każdy tekst Biblii trzeba czytać w kontekście – najlepiej w kontekście całej Biblii. Wyrwanym z kontekstu zdaniem Pisma można wytłumaczyć wszystko – aż po karykaturę biblijnego przesłania.

Tę podstawową zasadę interpretacyjną (i jej rangę) przywiódł mi na myśl początek mszalnej Liturgii Słowa z ubiegłego wtorku. Czytaliśmy w nim fragment piątego rozdziału Pawłowego Listu do Efezjan: „Bądźcie sobie wzajemnie poddani w bojaźni Chrystusowej. Żony niech będą poddane swym mężom, jak Panu" (Ef 5, 21-22). Przyznają wszyscy, że wzięty sam w sobie, wypreparowany z większej całości, to zgoła niewygodny tekst – niewygodny do medytacji, jeszcze bardziej – do przepowiadania, najbardziej – do otwartego dialogu z ewentualnym dzisiejszym rozmówcą.

Tymczasem przy medytacyjnej lekturze mojej Biblii okazało się, iż pierwszy werset, do którego odsyła ona koniecznie każdego, kto chce zrozumieć powyższe zalecenie („Bądźcie sobie wzajemnie poddani"), zapisany jest przez św. Pawła w jego „Liście do Galatów" i brzmi: „Wy zatem, bracia, powołani zostaliście do wolności. Tylko nie bierzcie tej wolności jako zachęty do hołdowania ciału, wręcz przeciwnie, miłością ożywieni służcie sobie wzajemnie" (Ga 5, 13).

Tak więc prawdziwe „wzajemne poddanie się sobie" nie może się w życiu uczniów Chrystusa przejawiać inaczej niż tylko w pełnej wolności.

Wszędzie tam, gdzie „poddanie się" drugiemu nie jest aktem wolnego ludzkiego wyboru, posłuszeństwo przestaje być (tak naprawdę, nigdy nie zaczęło być) cnotą (a przecież ma nią być, i to w wymiarze kardynalnym).

Wolność, która wypowiada się posłuszeństwem, przekracza samą siebie i staje się najważniejszą cnotą i postawą, a mianowicie – cnotą miłości.

„Poddanie się" drugiemu w Kościele – mówi Paweł – nie jest dopustem Bożym, czy bierną rezygnacją – jest pozytywnym wyborem; jest wolnością „ku" (w miejsce wszechobecnej wolności „od") – jest oddaniem siebie drugiemu w miłości.

W ostatecznym rozrachunku jest nie do pozazdroszczenia los człowieka, który nie ma dla kogo rezygnować z... samego siebie! ©

Umysł zaciemniony gwałtownymi namiętnościami traci właściwą sobie wrażliwość.

DIADOCH Z FOTYKI

Żadne położenie nie jest aż tak straszne, żeby człowiek będący w równowadze ducha nie znalazł jakiejś pociechy.

SENEKA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 XI)

32. niedziela zwykła: 2 Mch 7, 1-2. 9-14; Ps 17; 2 Tes 2, 16 – 3, 5; Łk 20, 27-38;
Poniedziałek: Tt 1, 1-9; Ps 24; Łk 17, 1-6;
Wtorek: Tt 2, 1-8. 11-14; Ps 37; Łk 17, 7-10;
Środa: Ez 47, 1-2. 8-9. 12; Ps 46; 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; J 2, 13-22;
Czwartek: Flm 7-20; Ps 146; Łk 17, 20-25;
Piątek: 2 J 4-9; Ps 119; Łk 17, 26-37;
Sobota: 3 J 5-8; Ps 112; Łk 18, 1-8;
33. niedziela zwykła: Ml 3, 19-20a; Ps 98; 2 Tes 3, 7-12; Łk 21, 5-19.

KRAJ

SZKOŁA POTRZEBUJE OPOWIEŚCI

MARCIN NAPIÓRKOWSKI, SEMIOTYK KULTURY:

Gdybym miał doradzić politykom wybór najważniejszej rzeczy, którą trzeba się zająć, odpuściłbym nawet ochronę zdrowia, a wybrał edukację. Chirurg uratuje kilku nauczycieli, nauczyciel wychowa stu chirurgów.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI: Może być tutaj, na rogu?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Bardzo proszę. Ale właściwie dlaczego?

Liczące już kilkadziesiąt lat badania Roberta Sommera sugerują, że takie rozmowy jak nasza najlepiej prowadzi się właśnie przez narożnik stołu [*siadamy przy konferencyjnym blacie w siedzibie redakcji „TP" – dopisek PW*]. Gdy sadowimy się naprzeciwko siebie, stajemy się „pozycyjni", co pasuje np. do negocjacji. Kiedy chcemy współpracować, najlepiej siedzieć po tej samej stronie stołu. Dla nas najlepszy będzie róg.

Skoro już Pan zepsuł plan początku rozmowy, pociągnijmy ten temat. Nic tak wiele nie mówi o polskiej edukacji niż to, jak względem siebie siedzą uczniowie i nauczyciel.

To jest układ tworzący jasną sytuację komunikacyjną: jedna osoba ma prawo głosu i umieszczona jest w punkcie centralnym – dawniej często na podwyższeniu. Pozostali muszą być z tego punktu widoczni. To ucieleśnienie benthamowskiego Panoptykonu, idei stałej kontroli. Ten układ ma jeszcze jedną cechę. Uczniowie siedzący w rzędach ławek nie mają możliwości organizacji poziomej, czyli komunikowania się ze sobą z pominięciem nauczyciela.

Kiedyś to się dobrze sprawdzało.

Bo gdy ten model szkoły – pruskiej szkoły – powstawał, tak wyglądał komunikacyjny model świata. Wąsaty profesor ogłaszał coś z wysokości katedry, a inni mogli najwyżej burczeć pod nosem. Dziś profesor mówi, a następnego dnia na Twitterze ktoś mu odpowiada, zadaje pytania, dyskutuje. To oczywiście bywa denerwujące z punktu widzenia profesora, nawet takiego niewąsatego jak ja, ale ogólnie to wspaniałe, że świat stał się znacznie bardziej usieciowiony i demokratyczny.

Niestety, szkoła tej zmiany jeszcze nie zauważyła. Wciąż wygląda niemal tak samo, jak dwieście lat temu. Można się o tym przekonać odwiedzając dowolny skansen. Wszystko jest dziwne i obce. Idziemy i mówimy: „Tak kiedyś uprawiano pole!" albo „Niesamowite, jak w dawnych czasach robili mąkę!". Aż nagle wchodzimy do szkoły, która mogłaby spokojnie dzisiaj działać w takim samym kształcie jak wtedy. Tylko czekamy, aż rozlegnie się dzwonek.

Wprowadźmy teraz postaci, które miały być z nami od początku. „Dla Adasia, Tosi i Julka, do których należy przyszłość" – pisze Pan na wstępie nowej książki „Naprawić przyszłość. Dlaczego potrzebujemy lepszych opowieści, żeby uratować świat".

Julek ma osiem miesięcy, Tosia cztery lata, a Adaś dziewięć, więc chodzi do trzeciej klasy.

Najzwyklejszej, publicznej podstawówki.

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Rozpoczęcie roku szkolnego w Szkole Podstawowej nr 3 w Lublińcu, 1 września 2022 r.

Moim znajomym zdarza się pytać ze zdumieniem: „Co się stało? Nie stać was na prywatną?". Trochę mnie te pytania martwią. Jeśli wszyscy, którzy mają trochę więcej szczęścia, pieniędzy lub kompetencji, wyprowadzą dzieci do prywatnych czy społecznych placówek, to skażemy oświatę publiczną na pustynnienie. Zmarnujemy mnóstwo talentów...

Trudno wymagać od rodziców, by w imię społecznej spójności wysłali swoje dzieci do szkół, o których źle myślą.

Nie ośmieliłbym się od nikogo tego domagać. Zresztą czasem sam słucham o tych alternatywnych szkołach z podziwem. Tymczasem nasza rejonowa placówka, choć nie jest to obowiązkowe ani nawet zalecane, hurtowo wystawia dzieciom z klas 1-3 tradycyjne, numeryczne oceny. Mamy mnóstwo badań potwierdzających, że te cyferki na dzieci w tym wieku źle działają.

Tosia do szkoły pójdzie za trzy lata.

Ale już ją lubi! Gdy odprowadzamy Adasia, zdarza nam się razem wchodzić do jego klasy. Wtedy uczniowie i uczennice ją na chwilę przygarniają, a Tosia udaje, że jest jedną z nich. W domu też czasami bawią się razem w szkołę.

W pruską czy w jakąś inną?

Z jednej strony tak, bo Adaś przekazuje wiedzę, potem ją egzekwuje, a następnie nawet ocenia. Ale z drugiej strony zdecydowanie nie, gdyż w ich szkole mowa jest tylko o tym, co ich fascynuje, a nie czego „trzeba" się nauczyć. No i w zabawowej szkole wiedzę przekazuje się w sposób bardzo atrakcyjny.

Proszę udostępnić za darmo choć jeden pomysł.

Gdy Tosia zainteresowała się państwami Europy, to ich dialogi wyglądały mniej więcej tak: „Widzisz ten kształt na górze? Przypomina buzię i łyżkę". „Tak, buzia i łyżka!". „Ta postać je serek Danio, państwo nazywa się Dania". „A widzisz na dole włochaty but?". „No pewnie, włochaty but jak nic!". „To są Włochy".

Pana dzieci intuicyjnie wyczuły coś, czemu m.in. poświęca Pan swoją książkę. Do przyswojenia wiedzy na jakiś temat nie wystarczą nam dane. Potrzebujemy opowieści.

↦

↦ W „Naprawić przyszłość…” staram się przekonać, że ludzie nie są komputerami, którym wystarczy załadować dane.

Opowiem panu o rozczarowaniu, jakie spotkało mnie dosłownie kilka dni temu. Prowadzę ze studentami czwartego roku – a więc już wyselekcjonowanymi – proseminarium magisterskie. Analizujemy film nagrany przez oszusta, który wciska ludziom skonstruowane przez siebie urządzenie leczące rzekomo raka, odciągając ich tym samym od terapii onkologicznej. Naszym zadaniem jest rozbrojenie jego przekazu. Z punktu widzenia fizyki facet opowiada oczywiste dyrdymały, ale na wszelki wypadek sprawdzam, ile z tego wyłapuje grupa. Nic. „No, z czego jest zbudowany atom, proszę państwa?” – pytam. Odpowiada mi cisza…

Otóż jestem pewien, że ktoś kiedyś tym fajnym, inteligentnym młodym ludziom „załadował dane” o protonach i elektronach, ale te dane nie pozostały w „systemie”. To było coś obcego. Studenci mieli przekonanie, że jako humaniści nigdy z nich nie skorzystają. Szkoła nie potrafiła zbudować sensownych opowieści, natomiast analizowany na zajęciach szarlatan niestety potrafił. Tyle że jego opowieści były puste.

Pozostaje pytanie, jak zmienić szkołę, żeby uczyła prawdziwych informacji w sposób sensowny i atrakcyjny. Moje ulubione matematyczne zadanie brzmi: ile trzeba złapać larvitarów, żeby jednego pupitara wyewoluować w tyranitara.

Bardzo bym chciał, żeby stało się też moim ulubionym, tylko nic nie rozumiem.

Wymieniłem nazwy stworów z bardzo popularnej wśród dzieci gry Pokemon Go. Złapanie każdego z nich daje określoną liczbę „cukierków”, które służą do transformacji.

Zamiast zadania: „Rybak złowił piętnaście ryb, kot zjadł jedną, ile ryb zostało?”, podczas którego śmiertelnie znudzony 10-latek i tak myślałby o pokemonach, nie tylko dajemy mu te jego ulubione stwory, ale też sposób na skuteczniejszą naukę.

Oczywiście, istnieje tu pewne ryzyko, ale ryzyko także można wykorzystać do nauki. Adaś spędzał w wirtualnym świecie pokemonów tyle czasu, ile tylko mógł, a ja do pewnego momentu nie bardzo wiedziałem, co to jest i czy mu na to pozwalać. Zwłaszcza że zauważyłem, jak wiele w tej grze jest mechanizmów uzależniających. Ustalaliśmy limity zabawy, ale zawsze, gdy czas upływał, Adaś wykrzykiwał: „Tato, ale właśnie pojawił się nowy pokemon!”. „Stary – odpowiadałem – a nie zauważyłeś, że zawsze, jak mija nasz czas, to pojawia się jakiś nowy pokemon?”. Świetna okazja, żeby porozmawiać o tym, jak tworzone są algorytmy – nie tylko pokemonów, ale też YouTube’a czy TikToka.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

DR HAB. MARCIN NAPIÓRKOWSKI jest semiotykiem kultury, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Zajmuje się mitologią współczesną, pamięcią zbiorową i kulturą popularną. Prowadzi bloga mitologiawspolczesna.pl, jest stałym współpracownikiem „TP”. Autor „Mitologii współczesnej” (2013), „Władzy wyobraźni” (2014), „Powstania umarłych” (2016), a także opublikowanej niedawno przez Wydawnictwo Literackie książki „Naprawić przyszłość”.

Ciekawy i zagadkowy świat istnieje też poza ekranami.

Niedawno szliśmy z Tosią przez park, przypominając sobie, dlaczego na zimę drzewa zrzucają liście. Ja mówię, że jakby na nie napadał śnieg, toby się gałęzie połamały. A ona na to, że ma dobry pomysł: niech drzewa w ogóle nie mają liści. Była okazja porozmawiać, co i w jaki sposób drzewa „jedzą”, i do czego służą im w tym procesie liście.

Pamięta Pan ze swojej szkoły jakiegoś dobrego opowiadacza?

Pamiętam najlepszego opowiadacza! To pan profesor Witold Andrzej Łucznik, fizyk, który uczył moich rodziców, uczył mnie, a że wierzę w jego nieśmiertelność, to ufam, iż będzie też edukował kolejne pokolenia.

Prof. Łucznik wchodzi pewnego razu na katedrę i nakazuje nam założyć maski spawalnicze, po czym gasi światło i zaczyna puszczać prąd przez szklany pręt… Szkło jest dobrym izolatorem, ale napięcie było naprawdę wysokie. Pręt zaczął się nagrzewać, a wreszcie świecić.

Przerywam, żeby uplastycznić czytelnikom sytuację. Profesorowi Napiórkowskiemu, gdy opowiada, świecą się oczy. Przy tym gestykuluje, a nawet uderza w uniesieniu dłonią w stół, na którego narożniku siedzimy…

W pewnym momencie pręt zaczął się topić. Świecące kule spadały z brzękiem na metalową tacę. Wreszcie na środku pręta zrobiła się dziura, prąd przestał płynąć. Profesor zapalił światło. „Kochane dzieci – tak się do nas zwracał, pomimo że byliśmy już prawie dorośli – możecie sobie zabrać do domu po szklanej kulce, zasłużyliście”.

Wstaliśmy, zaczęliśmy bić brawo. I dlatego dla mnie do dziś napięcie czy opór elektryczny nie są abstrakcyjnymi wartościami.

Przywołuje Pan świetnego opowiadacza-ścisłowca, a nie humanistę. W Pana książce wiele jest o tym, że przedstawiciele tych dwóch grup muszą zacząć ze sobą współpracować.

Ci pierwsi powinni zrozumieć, że technologia to nie wszystko; że napisanie czytelnej instrukcji obsługi, stworzenie opisu jakiegoś skomplikowanego procesu czy mądre zarządzanie ludźmi – to wszystko są zadania dla humanistyki. I że im bardziej cyfrowe mamy społeczeństwo, tym lepszych potrzebujemy humanistów.

Z kolei humaniści muszą swoje narzędzia zacząć stosować w obszarach innych niż literatura, historia i zgadywanie, „co autor miał na myśli”.

Skoro Pan o myślach autora, to czas opowiedzieć kolejną historię. Obiegła ona kilka tygodni temu media, a Pan był jej głównym bohaterem.

Koniec września, siedzę sobie w pracy, gdy nagle zaczynają do mnie napływać dziwne wiadomości. Okazało się, że mój opublikowany w „Tygodniku” tekst został użyty na próbnej maturze z języka polskiego.

Tekst dotyczył zjawiska sequelozy, czyli dostrzeżonej przez Pana inwazji filmowych i serialowych sequeli,

z jaką mamy do czynienia w ostatnim czasie.

Pisałem też o tym, że korzenie tego zjawiska możemy namierzyć aż w starożytności, gdzie mity tworzyły coś na kształt połączonych uniwersów. Np. historia wojny trojańskiej została opowiedziana w bardzo różnych dziełach, a w „Iliadzie" mamy jakiś jej wycinek.

Tu zaczyna się napięcie, bo na próbnej maturze padło pytanie, czy Marcin Napiórkowski zgadza się, że sequeloza jest zjawiskiem współczesnym.

Maturzyści, którzy nie znali odpowiedzi, znaleźli mnie na Twitterze. Odpisałem im zbiorczo, że życzę im wszystkiego najlepszego, ale odpowiedzi tak w zasadzie nie znam.

Nie zdałby Pan.

Okazało się, że w tym akurat przypadku obie odpowiedzi były dopuszczalne, pod warunkiem, że zostały rozsądnie uzasadnione.

Ale prawdziwym problemem nie jest sequeloza, tylko testoza. Ślepe podporządkowanie całej edukacji testom i sprowadzanie nauki do tego, co da się łatwo sprawdzić i porównać. Naprawdę chcemy, by najważniejszy państwowy egzamin sprawdzał, czy maturzyści wiedzą, z czym zgadza się autor tekstu? A może ja się z niczym nie zgadzam? Może jestem cyniczny i piszę wyłącznie dla pieniędzy?

Zgadzamy się, że pytania były nieprecyzyjne. Ale to chyba dobrze, że matura sprawdza nie tylko wiedzę, ale też rozumienie tekstu?

Z pewnością dobrze. Tylko czy na pewno potrzebujemy do tego oddzielnego egzaminu opartego na specjalnie wybranych tekstach? Przecież to znowu sztuka dla sztuki.

Co w zamian?

Umiejętności mają znaczenie dopiero w praktycznym kontekście. Czytanie ze zrozumieniem sprawdzałbym na egzaminie z matematyki, fizyki czy biologii, w zależności od tego, co kto zdaje. Tekst naukowy z jednej z tych dziedzin sprawdzałby wiedzę merytoryczną, a przy okazji właśnie wyciąganie wniosków i rozumowanie na podstawie lektury. Ale to się nie mieści w naszym wyobrażeniu szkoły podzielonej na klasy, lekcje i przedmioty.

W „Naprawić przyszłość..." wysuwa Pan jeszcze inny wywrotowy postulat. Książka opowiada o dyktaturze dwóch opowieści: technooptymistycznej, zgodnie z którą postęp jest jedyną receptą na uratowanie świata, a także technopesymistycznej, wedle której ten postęp wiedzie nas wyłącznie do zguby. Oba te mity są według Pana szkodliwe, ale to zwolennicy drugiego z nich szukają często prawdy w pseudonauce. A tymczasem Pan chce ją zaprzęgać do szkolnych programów.

Niech dzieci uczą się na biologii, jak rozbroić absurdalne diety czy głodówki, których autorzy za nic mają bilans kaloryczny. Bo jeśli o tym nie będziemy mówić, to ci sami ludzie jako dorośli kupią książki obiecujące, że głodówka odbuduje ich DNA.

Niech na historii poznają opowieści o kosmitach, którzy zbudowali piramidy, albo o starożytnym imperium Wielkiej Lechii. Zwłaszcza że to może też być dobra lekcja matematyki.

Matematyki?

Tak, bo takiemu panu Bieszkowi, czyli autorowi bestsellerowych książek o Wielkiej Lechii, mylą się czasy geologiczne z historycznymi. Podaje on choćby, że pewne ważne historyczne zdarzenia miały miejsce przed wypiętrzeniem się Himalajów...

Zresztą inne pseudonaukowe teorie też dobrze nadają się na ciekawe lekcje matematyki. Ruchy antyszczepionkowe podawały np. swego czasu dane, zgodnie z którymi w ciągu nieco ponad dekady wzrosła w Polsce o ponad 50 proc. liczba hospitalizowanych dzieci. I faktycznie, w latach 2003-2016 wzrost przyjęć do szpitali miał miejsce. Tyle że odpowiadały zań nie szczepionki, a radykalna poprawa opieki neonatalnej, dzięki której zawczasu wykrywano znacznie więcej wad i schorzeń. Sama liczba brzmiała strasznie. Gdy zrozumieliśmy jej sens, okazywała się świetną wiadomością.

Tego wszystkiego powinna uczyć szkoła, byśmy później nie byli bezradni w zderzeniu z różnymi absurdalnymi teoriami.

O jakiej szkole przyszłości marzy Pan dla Adasia, Tosi i Julka?

Gdybym miał doradzić politykom wybór jednej, najważniejszej rzeczy, którą trzeba się zająć, odpuściłbym nawet ochronę zdrowia, a wybrał edukację. Chirurg uratuje kilku nauczycieli, nauczyciel wychowa stu chirurgów. Edukacja uświadamia nam także, że egoistyczne strategie nie są na dłuższą metę skuteczne w globalnym świecie.

W interesie moich dzieci jest nie tylko to, żeby same odebrały jak najlepsze wykształcenie, ale także to, by został odkryty i rozwinięty potencjał geniuszek spod Białegostoku, z Somalii czy Iranu. A do tego potrzebujemy szkoły dostępnej i atrakcyjnej.

Czy pana dzieci jedzą M&M'sy? Takie draże kolorowe.

Niestety tak.

To bardzo dobrze, bo one podwyższają współczynnik inteligencji.

Jasne. O ile?

Kilkanaście punktów. I nie jest to żart. W badaniu Calvina Edlunda mierzono inteligencję dzieci losowo podzielonych na dwie grupy. Dzieciaki z pierwszej po prostu rozwiązywały nudny test. Dzieciaki z drugiej za poprawne odpowiedzi dostawały cukierki. Dzieci z nagradzanej grupy osiągały średnio wynik o 12 punktów wyższy. Ten eksperyment był wielokrotnie powtarzany. Dla dzieci „trudnych", uznawanych za mniej inteligentne, M&M'sowy bonus był jeszcze wyższy!

Wyjaśnienie jest proste: dzieci, które miały motywację i poczucie sensu wykonywanych zadań, wypadały lepiej. A wynik popularnego testu IQ, o którym kiedyś myśleliśmy, że bada coś obiektywnie, okazał się tak naprawdę iloczynem dwóch współczynników: inteligencji oraz motywacji do rozwiązywania testów.

Zanim przyczynimy się do plagi próchnicy, wyjaśnijmy jedną rzecz: M&M'sy faktycznie podawano, ale służą raczej jako symbol.

Chodzi o to, że szkoła nie karmi uczniów motywacją, zaciekawieniem, poczuciem sensowności. Nie ma tu wielu świecących prętów, pokemonów, opowieści czy dyskusji.

A gdyby tak się pojawiły?

To uciszą się dzwonki, a ławki dostaną nóg. Zaczną przeszkadzać, więc ktoś je wyniesie.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ART SERVICE 2 / PAP

Pomnik „kopciucha" powstał z inicjatywy urzędników w Skawinie. Ma przypominać o obowiązku wymiany takich pieców do końca 2022 r.

Zapierająca dech zima

PIOTR WÓJCIK

Najbliższe miesiące cofną nas o lata w walce ze smogiem. Przepisy zmieniono odgórnie nawet tam, gdzie lokalne społeczności wprowadziły specjalne prawo, by chronić zdrowie zagrożonych chorobami mieszkańców.

Kłopoty z zakupem węgla oraz jego wysokie ceny skłonią wielu Polaków do korzystania z paliwa gorszej jakości. Tej zimy będzie to zgodne z prawem, gdyż rząd zawiesił obowiązywanie norm, wcześniej wypracowanych z wielkim trudem. Jedyną nadzieję dają długoterminowe prognozy pogody, według których przełom roku będzie raczej ciepły. Jeśli się nie sprawdzą, czekają nas długie tygodnie z toksycznym powietrzem za oknem.

Trujący, ale legalny

Decyzje władzy układają się w serię działań wymierzonych w jakość powietrza w Polsce. Już w czerwcu, na mocy rozporządzenia minister klimatu Anny Moskwy, zawieszono na 60 dni stosowanie wymagań jakościowych dla paliw stałych. W sierpniu przedłużono je o kolejne dwa miesiące (do 26 października). We wrześniu przegłosowano zaś ustawę o dopłatach do źródła ciepła, która przy okazji zawierała możliwość zawieszenia norm jakości węgla na dwa lata. Skorzystano z niej szybko. Według najnowszego rozporządzenia Ministerstwa Klimatu i Środowiska od 27 października normy jakości paliw stałych zostaną zawieszone aż do 30 kwietnia 2023 r.

Oznacza to m.in. dopuszczenie do sprzedaży detalicznej miału węglowego oraz węgla brunatnego. Ten pierwszy szybko pojawił się w sklepie Polskiej Grupy Górniczej, cena tony wynosiła 1,1 tys. zł, była więc niższa o 600-700 zł od tony ekogroszku. Węgiel brunatny można z kolei nabyć w sklepie Polskiej Grupy Energetycznej. „Już teraz możesz ogrzać dom ciepłem pochodzącym z węgla brunatnego" – radośnie informuje reklama na stronie PGE. Cena to zaledwie 300-500 złotych za tonę, zależnie od jakości.

Miał węglowy charakteryzuje się większą wilgotnością oraz wysokim udziałem popiołu i siarki. Jego kaloryczność jest niższa od ekogroszku o jedną piątą. Ale i tak jest całkiem „ekologiczny" w porównaniu do węgla brunatnego, który potrafi zawierać do 50 proc. popiołu oraz dziesięć razy więcej siarki niż węgiel kamienny. Wartość energetyczna węgla brunatnego może być zarazem dwukrotnie niższa nawet od najgorszego miału węglowego.

– Jeśli połowa węgla to wilgoć, a jedna piąta to popiół, to taki węgiel ma niską wartość kaloryczną, za to emituje ogromną ilość zanieczyszczeń pyłowych, dwutlenku siarki czy rakotwórczego benzopirenu. I trzeba go spalić więcej, żeby ogrzać takie samo pomieszczenie – wyjaśnia Anna Dworakowska, współzałożycielka Stowarzyszenia Krakowski Alarm Smogowy.

Andrzej Guła, lider Polskiego Alarmu Smogowego, zrzeszającego wszystkie lokalne organizacje, uważa wręcz, że Polakom należy się jasny komunikat od władz, że węgiel, który właśnie kupują, nie ma wartości 28 MJ, tylko czasem mniej niż 10 MJ. – Ludzie często nie zdają sobie sprawy, że tego paliwa będą musieli kupić trzy razy tyle.

Na dodatek węgiel brunatny nie może być spalany w urządzeniach najnowszej generacji, które spełniają wyśrubowane normy środowiskowe. „Przed kupnem sprawdź możliwości techniczne swojego pieca" – przypomina więc reklama ze strony PGE.

Dla władz nie jest to jednak wielki problem, bo instalacje najwyższej jakości stanowią zaledwie 2 proc. kotłów na paliwo stałe zarejestrowanych w Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków. Łącznie pieców jest 6,5 mln, z czego przeszło połowa to instalacje poniżej trzeciej klasy lub w ogóle bezklasowe.

Nowe prawo szczególnie mocno uderzy w społeczności najbardziej zagrożone lub najbardziej świadome niebezpieczeństw, które doprowadziły do całkowitego zakazu palenia węgla brunatnego w domowych kotłach – na mocy regionalnych uchwał antysmogowych. Tak jest w województwach mazowieckim, łódzkim, śląskim i podkarpackim. Kraków ogłosił nawet zakaz spalania każdego węgla, chociaż władze wojewódzkie zabroniły używania surowca o udziale ziarna powyżej 15 proc. Przyjęta przez Sejm we wrześniu ustawa czyni te różnice zdań bezprzedmiotowymi. Odwołuje obie uchwały do 30 kwietnia 2023 r., przy okazji znosząc też kary.

Gorzej niż Mieszkanie Plus

Działania wymierzone przeciw czystemu powietrzu pojawiają się nie tylko na szczeblu rządowym. Małopolska uchwała antysmogowa zakładała, że od 1 stycznia 2023 r. zakazane będzie używanie kotłów niespełniających norm żadnej klasy. Od 2027 r. przepis miał objąć też kotły o klasie trzeciej i czwartej. Jednak we wrześniu zdominowany przez PiS Sejmik Województwa Małopolskiego zdecydował o przesunięciu terminu wymiany kotłów bezklasowych na maj 2024 r. Kotły najniższej jakości będą więc dymić jeszcze przez dwa sezony grzewcze. Sejmik zlekceważył przy tym wyniki konsultacji społecznych, podczas których aż trzy czwarte głosów sprzeciwiło się zmianom w uchwale.

Tymczasem kotłów najstarszej generacji są w gęsto zaludnionej Małopolsce tysiące. Chociaż gminy stopniowo je wymieniają, robią to stanowczo zbyt wolno. Według danych Stowarzyszenia Metropolia Krakowska w gminach położonych wokół Krakowa, skąd dym spływa do niżej położonej metropolii, w ubiegłym roku wymieniono prawie 2,5 tys. kotłów pozaklasowych. Na koniec zeszłego roku wciąż jednak pozostało ich prawie 20 tys. W Wieliczce wymieniono zaledwie 7 proc. starych instalacji, w Niepołomicach 8 proc.

Wymiana starych kotłów niespecjalnie wychodzi też państwu. Rządowy program Czyste Powietrze wzięła ostatnio pod lupę NIK. Z kontroli wynika, że rząd jest bardzo daleki od osiągnięcia swych celów. W ramach programu w ciągu 11 lat planowano wymianę 3 mln źródeł ciepła oraz poprawę efektywności energetycznej 3 mln budynków. Po trzech latach działań, czyli do października 2021 r., ocieplono zaledwie 73 tys. budynków i wymieniono 66 tys. kotłów starej generacji. Osiągnięto więc nieco ponad 2 proc. zakładanego celu. Budżet całego programu obliczono na 103 mld zł, tymczasem po trzech latach podpisano umowy warte jedynie 4,2 mld. Czyste Powietrze można więc na razie ocenić niewiele lepiej niż niesławne Mieszkanie Plus.

– Kiedyś do programu Czyste Powietrze wpływało 5 tys. wniosków tygodniowo, co i tak było niewystarczające dla realizacji jego celów. Obecnie wpływa ok. 3 tys. wniosków – wylicza Anna Dworakowska. – Ten program przestał być po prostu atrakcyjny. Ceny, od których liczy się wartość dotacji, pochodzą z 2018 r. To się ma nijak do dzisiejszych warunków. Np. ceny styropianu poszły w górę od tamtego czasu nawet o sto procent.

Zdaniem Andrzeja Guły, chociaż program Czyste Powietrze oferuje wyższe dotacje ludziom o niskich dochodach, to faktycznie wyklucza ich z powodu swojej konstrukcji. Beneficjent musi najpierw wyłożyć tysiące złotych, a dopiero później otrzyma refundację. Mniej zamożni takich pieniędzy nie mają. Nawet zmiana w programie na obecny system, czyli prefinansowanie połowy dotacji na rachunek wykonawcy, niezbyt działa, gdyż firmy nie garną się do wykonywania tego typu zleceń – do tej pory podpisano zaledwie 3 tys. takich umów.

Módlmy się o pogodę

Mimo powolnych postępów jakość powietrza w Polsce w ostatnich latach systematycznie się poprawiała. Rząd co roku publikuje odczyty wskaźnika narażenia na pyły PM2,5 w aglomeracjach oraz miastach powyżej 100 tys. mieszkańców. W 2012 r. na 30 badanych miast tylko w siedmiu średnioroczne stężenie pyłów nie przekraczało normy – były to m.in. Koszalin, Elbląg i aglomeracja bydgoska. W ubiegłym roku normę przekraczały już tylko cztery ośrodki. Mowa o aglomeracji krakowskiej, górnośląskiej, rybnicko-jastrzębskiej oraz o Bielsku-Białej. W Krakowie, gdzie wymieniono tysiące pieców, średnioroczne stężenie pyłów PM2,5 spadło z 38 do 23 mikrogramów na metr sześcienny. Większość tego osiągnięcia zanotowano od momentu wprowadzenia uchwały antysmogowej. Według analiz dr. Karola Dąbrowskiego z AGH w samym Krakowie od momentu wprowadzenia uchwały liczba dni w roku z przekroczonymi normami pyłów spadła ze 112 do 66.

– Wszystkie dane pokazują, że jakość powietrza w Krakowie się poprawiła – uzupełnia Anna Dworakowska. – Stężenie pyłów spadło nawet o 40-50 proc. O ok. 40 proc. zmalało stężenie benzopirenu, czyli rakotwórczej substancji, która w Polsce bije rekordy na tle Europy.

Powietrze się poprawia, ale w większości miast średnie roczne natężenie pyłów jest niewiele niższe od normy, więc w poszczególne dni jakość powietrza bywa w nich fatalna. W tym roku zanotujemy znaczny regres, zwłaszcza jeśli ludzie wezmą sobie do serca słowa Jarosława Kaczyńskiego, by palić, czym się da (oprócz opon). W Nowym Sączu już zaobserwowano zastanawiający spadek ilości odbieranych śmieci. Spółka komunalna wywozi o kilkaset ton odpadów miesięcznie mniej niż w zeszłym roku, chociaż w poprzednich latach tendencja była wzrostowa. Miasto obawia się, że ludzie palą odpadami w piecach. Straż miejska otrzymała polecenie zintensyfikowania kontroli i pobierania próbek popiołów do badań.

– Jakość powietrza zależy obecnie tylko od tego, czy będzie wiało i czy będzie ciepło – wskazuje Anna Dworakowska.

Na szczęście wiele wskazuje na to, że pogoda okaże się łaskawa. Według Centrum Modelowania Meteorologicznego najbliższe pięć tygodni będzie wyraźnie cieplejszych niż średnia dla analogicznych okresów z lat 2004-2020. Na początku grudnia anomalia średniej temperatury w Małopolsce będzie na plusie o ponad dwa stopnie, a na Śląsku o niecałe dwa. Nie powinno nas to jednak uspokajać. Pogody nie da się zaplanować, zwłaszcza długoterminowo.

Wygląda na to, że mimo fatalnych danych na tle Europy, mimo apeli społeczeństwa i ekologów przespaliśmy ostatnie lata. Dziś aż 30 proc. domów jednorodzinnych w Polsce nie ma żadnego ocieplenia ścian zewnętrznych. Gdybyśmy na poważnie je modernizowali, to dziś gospodarstwa domowe spalałyby nie 10 mln ton węgla, tylko być może dwa razy mniej. Odczulibyśmy to w kieszeni i w płucach. ©

TOMASZ WASZCZUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jagoda Rybak, Włodowo, lipiec 2005 r.

Możesz spać spokojnie

MARCIN CHODUŃ

Nikt o tym już nie wspomina. Co tu mówić? Pewnie, że się źle stało – zginął człowiek. Ale to była sytuacja niezawiniona.

Po lewej stronie drogi rozciąga się łąka. Z domu 60-letniej Jagody Rybak widać wszystko – w głębi łąki rośnie kilka brzózek, za nimi – krzaki tarniny. Czyli tam się to stało? Jagoda odsłania firankę w oknie. – Tak, tam właśnie wbiegł Ciechanek i nigdy już z tych krzaków nie wyszedł – potwierdza.

Włodowo to maleńka wieś – dwa sklepy, nieczynny budynek straży pożarnej, kościół. Od głównej ulicy odchodzą dwie boczne drogi, pełne wybojów, piachu i resztek bruku. Oprócz kilku zadbanych, dostatniejszych domów, w uliczkach tłoczą się raczej biedne domostwa – nadal dość powszechny widok w warmińskich, popegeerowskich wioskach. Za tablicą z nazwą miejscowości duży, zryty bruzdami, stary krzyż.

Wszędzie pusto. Dopiero po kilku minutach pod sklepem spożywczym pojawiają się dwie osoby. Zapytać je od razu o wydarzenia sprzed lat? Nie umiem. O śmierci mówi się z trudem, a co dopiero o zabójstwie, nawet takim sprzed 17 lat.

Źródło utrzymania

Wszystko stało się w piątek, pierwszego lipca 2005 r. Pod domem braci Wodzickich – Tomasza, Mirosława i Krzysztofa – pojawił się Józef Ciechanowicz, nazywany Ciechankiem (mieszkał w pobliskim Brzydowie). Ciechanka wszyscy znali, nie tylko we Włodowie, ale w całej okolicy. I wszyscy się go bali. Sześćdziesiąt lat, chudy, niski, żylasty. Połowę życia przesiedział w więzieniu (wyroki głównie za pobicia z użyciem ostrych narzędzi). Na jego widok ludzie zamykali drzwi, zabierali dzieci z podwórek, ostrzegali sąsiadów. Każdy wiedział, że jak Ciechanek wypił, to stawał się nieobliczalny, wykrzykiwał groźby, wdawał się w bójki. Okoliczni mężczyźni – tak wynika z akt sądowych – po jego stroju potrafili odgadnąć, czy ma nóż (był wtedy ubrany w garnitur), czy też siekierę (wówczas trzymał na ramieniu torbę).

Ciechanek we Włodowie bywał często – głównie pod sklepem spożywczym, gdzie wyłudzał pieniądze na alkohol. Choć, według Jagody, niełatwo było się zorientować, kiedy był pijany, bo nigdy się nie zataczał. Ale też prawdopodobnie nigdy nie był do końca trzeźwy, właściwie zawsze widywano go z butelką wina.

W ostatnich dniach czerwca 2005 r. Ciechanek pojawiał się jednak w wiosce z innego powodu. Chodziło mu o konkubinę – mieszkankę Brzydowa, która przebywała wówczas we Włodowie u córki,

Jagody Rybak. Jagoda zabrała do siebie matkę ze szpitala, ponieważ nie chciała, żeby wróciła do swojego mieszkania – do szpitala trafiła bowiem po pobiciu przez Ciechanka. Mężczyzna traktował ją jak swą własność i zarazem źródło utrzymania – żył z jej niewysokiej emerytury. Żądał więc, by Jagoda „zwróciła mu" matkę. Bezustannie ją nachodził, nocami krążył koło jej domu, groził, czasem krzyczał: „Oddaj Basię!", „Oddaj ją i będzie po temacie!".

Kilka dni przed tamtym lipcowym popołudniem Ciechanek wszedł do ogródka Jagody i uderzył ją butelką w głowę. Kobieta pamięta wszystko dokładnie: butelka na szczęście się nie rozbiła, ale rozcięła głowę. Jagoda upadła. Syn powiedział potem: „Mamo, ja myślałem, że on cię zabił". Krew trysnęła z jej głowy jak fontanna.

Jagoda nadal mieszka we Włodowie. Od strony kościoła idzie się do niej kilkanaście metrów w dół, po lewej stronie mijając dom Wodzickich – aż do rozstajów dróg. Jej dom stoi na niewielkim wzgórku – ładny, zadbany; ostatnio odnowiła elewację, zrobiła dach, wymieniła centralne ogrzewanie, wyremontowała piętro. Wszystko sama – z mężem rozwiodła się kilka lat temu. Wszystko dla wnuków – bo trzeba coś po sobie zostawić. A poza tym, przecież trumna nie ma kieszeni, na tamten świat nic z sobą nie weźmie. Po śmierci syna (umarł osiem lat temu) zupełnie nie wiedziała, co ze sobą począć, uciekła więc w pracę. Mimo swych sześćdziesięciu lat jest teraz zatrudniona na dwóch etatach: jako opiekunka medyczna w szpitalu miejskim w Olsztynie i w domu opieki. Codziennie dwanaście godzin w robocie, nie ma czasu na myślenie.

Tasak, kij, sztacheta

Tamten lipcowy dzień to był pierwszy piątek miesiąca. Jagoda pracowała wtedy jako kościelna w parafii, o godz. 16 była na mszy świętej. Po niej poszła do Wodzickich pożyczyć aparat fotograficzny od Marleny, żony najstarszego z braci, Tomka. W jej ogrodzie wyrosła piękna niebieska róża, chciała ją sfotografować.

Koło domu Wodzickich zobaczyła leżącego w trawie Ciechanka. Na jej widok natychmiast wstał i ruszył za nią. Przed dom akurat wyszli gospodarze. Ciechanek krzyknął do nich: „Co ta kurwa tutaj robi?".

Tomek Wodzicki zareagował od razu: „Człowieku, dlaczego obrażasz kobietę? Wyjdź z mojej posesji!". Mężczyźni zaczęli się kłócić, ale w końcu Tomek wyrzucił natręta z podwórka. Po kilku minutach mężczyzna wrócił z tasakiem do buraków; wymachiwał nim na wszystkie strony. Tomek złapał gruby kij i ruszył w stronę Ciechanka. Po chwili obaj mężczyźni znaleźli się na ulicy, szamocząc się. Ciechanek, próbując uderzyć Tomka w głowę, trafił go tasakiem w ramię. Na pomoc rannemu przybiegł sąsiad, sztachetą wytrącił Ciechankowi tasak z ręki. Ten ponownie go złapał i uciekł, krzycząc, że „jeszcze tu wróci i wszystkich pozabija".

Zakrwawiony Tomek Wodzicki pojechał z żoną na komisariat policji w Dobrym Mieście. Z późniejszych zeznań Marleny Wodzickiej, żony Tomka, wynika, że przyjmujący interwencję funkcjonariusz powiedział, iż nie ma kogo wysłać, bo na komisariacie jest sam z kolegą. A w ogóle to jest zmęczony, rana Tomka zaś nie jest znowu taka duża – niech Wodziccy idą najpierw na pogotowie.

Tak też zrobili. Po opatrzeniu rany wrócili na komisariat. Tym razem przyjął ich inny policjant, obiecał, że jeśli sytuacja się powtórzy, to w miarę możliwości wyśle radiowóz do Włodowa. Wtedy też – to wiadomo z akt postępowania – z ust policjanta miało rzekomo paść stwierdzenie, że „są gorsze sprawy, a tu cała wieś nie da rady jednemu mężczyźnie".

Nie dla niego wolność

Pod sklepem „U Felasia" spotykam kilku mężczyzn. Tłumaczą sprawców: co niby mieszkańcy wsi mieli przed laty zrobić – łapać Ciechanka i go uspokajać? Przetrzymywać go gdzieś do przyjazdu policji? Niby jak? Pamiętają np. jedno zdarzenie z tamtych czasów: Ciechanek stał sobie pewnego dnia pod sklepem i coś mu się nie spodobało. Nagle wyciągnął nóż i wbił go sąsiadowi w ramię. Oceniają: „to był psychopata".

Według Jagody Ciechanek w ogóle nie nadawał się do życia na wolności – gubił się w normalnym świecie. Tu trzeba się było o wszystko postarać, a w więzieniu rytm jest uporządkowany. Jagoda uważa, że on bardzo do tego uporządkowanego świata chciał wrócić. Twierdzi, że to nie był żaden niechluj. Gdy szedł do opieki społecznej po zasiłek, potrafił być bardzo grzeczny i elegancki. Koszula, marynarka, wszystko zawsze wyprasowane. Tylko te oczy – rozbiegane, złe.

Tamtego lipcowego dnia Wodziccy wrócili z Dobrego Miasta około osiemnastej. Tomek z kolegą, Rafałem Wroną, zabrał się znów za remont domu. Po godzinie pojawił się jak bumerang Ciechanek. Według zeznań świadków (wokół domu Wodzickich stało po wcześniejszym incydencie nadal sporo ludzi) krzyczał, że „jak nie da rady starszym, to dzieci poczęstuje kosą".

Na podwórku bawił się wtedy w piaskownicy 4-letni syn Wodzickich i dzieci sąsiadów. Mężczyźni – Tomek Wodzicki i kilku innych – tego już nie wytrzymali: chwycili w ręce kije i ruszyli w stronę Ciechanka. Ten, widząc wielu przeciwników, zaczął uciekać w stronę pobliskiego cmentarza. Tomasz Wodzicki i Rafał Wrona wsiedli do poloneza i pojechali za nim. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymali się, widząc, że Ciechanek ukrywa się w przydrożnych krzakach. Gdy po chwili wybiegł z nich, przeskoczył przez płot i ruszył dalej przez pole, obaj mężczyźni pobiegli za nim. Pierwszy dogonił go Rafał Wrona – uderzył łomem w lewą nogę. Ciechanek jednak się nie przewrócił, ale biegł co sił. Do pościgu dołączyli pozostali dwaj bracia Wodziccy – Krzysztof i Mirosław, którzy pracowali na pobliskim polu. Ciechanek uciekał dalej, aż dotarł do wąwozu.

Tam dopadli go Mirosław i Krzysztof – bili go szpadlami i kopali po całym ciele. Po chwili na miejscu byli też Rafał i Tomasz. Ten pierwszy krzyknął, żeby nie bili leżącego po głowie, bo go zabiją. W pewnym momencie Tomek Wodzicki – tak wynika z akt – wziął od Mirka szpadel i zaczął uderzać Ciechanka w okolice głowy. Następnie podniósł opuszczony przez pokrzywdzonego nóż i co najmniej raz uderzył nim w pobliżu barku i głowy rannego.

Gdy Tomek Wodzicki wrócił do domu, powiedział do Jagody Rybak: – Dziś możesz już spać spokojnie. Ciechanek na pewno do ciebie nie przyjdzie.

Jagoda Rybak wraca do siebie i dzwoni na komisariat w Dobrym Mieście. Mówi: – Teraz możecie już przyjechać i posprzątać.

Zmowa milczenia

Dziś kobieta żałuje tych słów. Przyznaje, że była wtedy zła na policjantów – za zbagatelizowanie zagrożenia, za opieszałość. Przecież gdyby przyjechali wcześniej – po pierwszym zgłoszeniu przez ↦

Tomasza Wodzickiego – nie doszłoby do tego wszystkiego. Nie wiedziała jednak wtedy, że Ciechanek nie żyje. A Tomek, jest o tym przekonana, też tak nie myślał. – Pobiegłam na miejsce, gdy Wodziccy już stamtąd odeszli. Stanęłam na ogrodzeniu i widziałam Ciechanka. Był pochylony, jakby czegoś szukał. Nie leżał, tylko jakby czegoś szukał. Ja od razu stamtąd uciekłam, nie chciałam tam zostać.

Z akt sprawy wynika, że do chwili przybycia policji w miejscu pobicia Ciechanka było wielu mieszkańców. Prokurator stwierdził, że we Włodowie panował tego wieczoru zamęt, a ludzie byli poruszeni tym, co się stało. Dlaczego szli w to miejsce? Z ciekawości? I czy radowali się z zemsty na dręczycielu? Czy wszyscy zaakceptowali lincz? Tego w toku śledztwa nie ustalono. Nie stwierdzono także, ile osób mogło być na miejscu zdarzenia. Mieszkańcy solidarnie nabrali wody w usta – nikt nie mógł sobie niczego przypomnieć.

Prokuratorom udało się ustalić tylko jedno: że na miejscu zdarzenia do chwili przybycia policji były z całą pewnością jeszcze dwie osoby, dwaj mieszkańcy Brzydowa: ojciec Marleny Wodzickiej i jego kolega.

Około godz. 20.45 do Włodowa przyjeżdża policja. Wkrótce na miejsce dociera również lekarz pogotowia ratunkowego i stwierdza zgon Józefa Ciechanowicza.

W czasie śledztwa wyłoniono trzech podejrzanych o zabójstwo – Krzysztofa, Mirosława i Tomasza Wodziccy. Mężczyźni konsekwentnie odmawiali zeznań. Zarzuty postawiono jeszcze trzem podejrzanym: Rafałowi Wronie o udział w pobiciu oraz ojcu Marleny i jego koledze – o znieważenie zwłok. Wszyscy mężczyźni trafili do aresztu. 7 listopada 2005 r. zostali zwolnieni do domu. W dalszym toku postępowania odpowiadali z wolnej stopy, niektórzy udzielali wywiadów. Po dwóch procesach i oddalonej przez Sąd Najwyższy kasacji, w styczniu 2009 r. Krzysztof, Mirosław i Tomasz Wodziccy otrzymali karę czterech lat pozbawienia wolności z zawieszeniem na trzy lata, Rafał Wrona został skazany na karę jednego roku więzienia, pozostali na sześć miesięcy – także z warunkowym zawieszeniem na trzy lata.

Na kary sześciu miesięcy więzienia w zawieszeniu – za niedopełnienie obowiązków, czyli zlekceważenie sygnałów od mieszkańców i zbyt późną interwencję we Włodowie – w lutym 2008 r. skazani zostali także dwaj policjanci z komisariatu w Dobrym Mieście.

Najbardziej przerażające w historii linczu jest to, że społeczność Włodowa zostawiono samą sobie. **Państwo zawiodło.**

Nikt już nie wspomina

W grudniu 2009 r. prezydent Lech Kaczyński podpisał akt ułaskawienia dla skazanych za zabójstwo Józefa Ciechanowicza. Jego ministrowie argumentowali, że w tej sprawie zawiodło państwo: jego funkcjonariusze zlekceważyli ludzi, których mieli chronić. Jednocześnie urzędnicy podkreślali, że decyzja głowy państwa nie jest usprawiedliwieniem dla samosądu. I dlatego okres próby wyznaczono na 10 lat. Jeśli sprawcy w tym czasie popełniliby przestępstwo, akt zostałby cofnięty. Nie popełnili.

Jagoda jest przekonana: to była słuszna decyzja. Tym bardziej że w sprawie pojawiły się niejasności. Marlena Wodzicka zeznała w sądzie, że tak naprawdę Ciechanka zabił jej ojciec z kolegą. Pobiegli rzekomo do wąwozu, przeciągnęli Ciechanka „w brzózki" (jego ciało faktycznie tam znaleziono) i dobili go łomem. Tego jednak nie dało się udowodnić podczas procesu.

Jagoda mówi, że Wodziccy to fajni, normalni faceci. Nigdy od nikogo nie usłyszała na nich słowa skargi. Dzieci Tomka wyszły na ludzi. Syn w tym roku zdał maturę, córka chodzi jeszcze do liceum, dobrze się uczy. Oprócz Tomka w ich domu rodzinnym mieszka jeszcze najmłodszy z braci, Krzysiek. Trzeci brat, Mirek, mieszka ze swoją życiową partnerką w Boguchwałach.

Długo trwało, zanim Jagoda mogła spojrzeć ludziom w oczy. Wie, że była postrzegana jako osoba, z powodu której doszło do zbrodni. Nikt jej tego w oczy nie powiedział, ale wiedziała to doskonale, słowa były zbędne.

Jak się jej teraz żyje? Jak żyje się ludziom z Włodowa?

– Normalnie. Nikt o tym już nie wspomina. Co tu mówić? Pewnie, że źle się stało, zginął człowiek. Ale to była sytuacja niezawiniona – usprawiedliwia sprawców. Jagoda od lat stara się wyprzeć tamte zdarzenia z pamięci. Czasami myśli, że się jej udało, że będzie spała spokojnie. Ale wtedy znowu przychodzą złe sny i wspomnienia.

Najbardziej przerażające w historii linczu jest to, że społeczność Włodowa zostawiono samą sobie. Tak, przyjeżdżali dziennikarze, tak, wielu stawało po ich stronie. Ale państwo zawiodło. Nie tylko dlatego, że nikt w jego imieniu nie stanął w obronie terroryzowanych mieszkańców. Państwo zawiodło, bo do dziś w świadomości mieszkańców tej okolicy nie znalazł się ślad refleksji. Nikt nie pochylił się poważnie nad tą zbrodnią. We wsi nigdy nie pojawił się psycholog, nikt też nie wytłumaczył ludziom tak naprawdę, do czego doszło. A doszło przecież do samosądu. W demokratycznym kraju, posiadającym sądy i policję. Nad tym żywym wyrzutem sumienia zawisła chmura milczenia i wstydu.

© MARCIN CHODUŃ

Nazwiska sprawców linczu zostały zmienione.

POŻEGNANIE

Dr Annie Sycińskiej-Trojniak
i Wojciechowi Trojniakowi

wyrazy wsparcia oraz współczucia z powodu śmierci

Męża i Ojca

składają
Przyjaciele z Klubu „Tygodnika Powszechnego"

TOMASZ

Stawiszyński:
Kłopot z marzeniami

„Nie wybierasz swojego przeznaczenia, to ono wybiera ciebie” – mówi swojemu krnąbrnemu synowi księżniczka Rhaenyra w ostatnim odcinku pierwszego sezonu serialu „Ród smoka” (będącego nader udanym prequelem „Gry o tron”). Chwilę później jej słowa zyskują wymowne, acz przewrotne potwierdzenie. Przeznaczenie bowiem, owszem, dokonuje niezwykle wyrazistego wyboru, ale właśnie w odniesieniu do księżniczki Rhaenyry.

Niezależnie od tego, jak kończy się ten odcinek, i niezależnie od tego, jak skończy się cała opowieść, jedno jest pewne: filozofia, którą wykłada tu główna bohaterka, stoi na antypodach niesłychanie dziś popularnej filozofii, którą esencjonalnie ujął całkiem niedawno pewien polski aktor. Osiągnąwszy niewątpliwy sukces, a mianowicie otrzymawszy rolę w hollywoodzkiej superprodukcji z hollywoodzkim supergwiazdorem w roli głównej, aktor ów opublikował w mediach społecznościowych wpis z wyrazami radości i wdzięczności. Oraz symptomatycznym wezwaniem. Brzmi ono: „wierzcie w swoje marzenia i nie poddawajcie się”. Nawiasem mówiąc, do czegoś podobnego wezwał niedawno także pewien sportowiec, zajmujący się od kilkunastu lat walkami w klatce, kiedy okazało się, że zmierzy się wkrótce z legendą tego sportu. Jeżeli ja mogłem spełnić swoje marzenia, ty też możesz, nie ma, że się nie chce, do roboty – plus minus w ten sposób brzmiał jego przekaz, również reprodukowany obficie w mediach społecznościowych.

Rozumiem wielką radość z powodu sukcesu, okupionego w obu przypadkach wytężoną, niekiedy do granic możliwości, pracą. Rozumiem także towarzyszące temu subiektywne poczucie, że czynnikiem niezwykle w tym wszystkim ważnym były intensywne pragnienia oraz niemniej intensywne fantazje. Rozumiem wreszcie głębokie przekonanie, że to właśnie te pragnienia i fantazje miały największą moc sprawczą – że to tylko dzięki nim, tylko dzięki ich nieustającej, popychającej do działania obecności wydarzyło się to, co się w końcu i nareszcie wydarzyło.

Rozumiem to, bo i mnie – podobnie jak zapewne znacznej liczbie Czytelniczek i Czytelników, którzy teraz właśnie się nad tym razem ze mną zastanawiają – zdarzają się tego rodzaju, nazwijmy to, interpretacyjne odruchy. Ilekroć mi się jednak zdarzają – bez względu na to, czy w związku z jakimiś zaskakującymi koincydencjami marzeń i rzeczywistości, czy też w trakcie lektury tekstów, które uwodzicielsko przekonują (niby przepowiednie Nostradamusa, o których pisałem tu przed dwoma tygodniami), że jest w naszych losach jakaś ukryta struktura – tylekroć przychodzą mi do głowy argumenty wskazujące klarownie i precyzyjnie, że jest to najczystsza iluzja. Czy raczej, że jest to najczystsza iluzja, która w pewnych szczególnych okolicznościach wydawać się może prawdą. Jakich mianowicie? No właśnie w tych niezwykle rzadkich przypadkach, kiedy marzenia naprawdę się spełniają.

Co z tymi jednak, które – pomimo swojej niebywałej intensywności – nigdy nie doczekują się spełnienia? Co z tymi, dajmy na to, tysiącami utalentowanych aktorek i aktorów, którzy permanentnie marząc o Hollywood i wkładając w realizację tego marzenia wszystkie siły, nigdy nawet nie zbliżają się do roli w hollywoodzkiej superprodukcji? Co z tymi – tych wszak jest na świecie większość – których marzenia nie spełniają się nawet w najdrobniejszym stopniu, a wcale nie dotyczą wielkich ról czy laurów, lecz co najwyżej tego, żeby mieć gdzie spać, co jeść i co pić? Czy ich wiara we własne marzenia jest tak wątła, że aż ostentacyjnie wręcz nieskuteczna?

A może jest to raczej kwestia zwykłej arytmetyki? Wystarczy policzyć, ile – plus minus – hollywoodzkich superprodukcji jest kręconych rocznie, ile w nich da się zagrać wiodących ról, a następnie porównać to z liczbą aspirujących i faktycznie pracujących już w zawodzie aktorek i aktorów pragnących międzynarodowej sławy. Wystarczy także policzyć, ile jest metrów kwadratowych w możliwych do zamieszkania okolicach oceanów, a następnie porównać to z liczbą osób z ogromnym zaangażowaniem marzących o willi z widokiem na ocean.

Wbrew pozorom nie żartuję, ani nawet nie ironizuję. Żyjemy dziś w świecie masywnych, powszechnych i nieustannie pobudzanych marzeń. Żyjemy w świecie wielkiej marzeniowej demokracji, niemal wszyscy bowiem – dzięki internetowi i smartfonom – mamy dostęp do nieprzebranej rozmaitości wyobrażeń szczęścia i życiowego sukcesu. Problem polega jednak na tym, że realne zasoby konieczne do realizacji tych wyobrażeń są nader ograniczone – i cały czas się kurczą. „Spełnianie marzeń” jest zatem dobrem niebywale rzadkim, żeby nie powiedzieć: luksusowym, i dostępnym garstce nielicznych. Tak się sprawy mają zarówno z powodu naturalnych ograniczeń świata, jak i z powodu niesprawiedliwego systemu ekonomicznego, który – faktycznie generując coraz większe nierówności – wciąż karmi nas opowieścią o tym, że jednostka, jeśli tylko bardzo tego pragnie, może wszystko. Jest to oczywiście najlepsza metoda, żeby odwracać naszą uwagę od tego, co faktycznie kształtuje nasz los. I dlatego właśnie księżniczka Rhaenyra przestrzegała krnąbrnego syna przed uleganiem marzeniom i zachęcała, żeby spojrzał na rzeczywistość bez złudzeń. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

BEZRUCH

MARCIN GUTOWSKI, DZIENNIKARZ:

Za dobrze poznaliśmy Jana Pawła II przez te lata, by widzieć w nim jedynie cynicznego gracza. Musi więc być jakieś wyjaśnienie jego braku wrażliwości wobec ofiar.

ARTUR SPORNIAK: Pytania, wokół których powstała książka i cykl filmów dokumentalnych „Bielmo", brzmią: czy Jan Paweł II wiedział o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich, a jeśli wiedział, dlaczego nie reagował? Czy potrafimy odpowiedzialnie na nie odpowiedzieć?

MARCIN GUTOWSKI: Tej odpowiedzi trzeba szukać. Dziś więcej jest pytań niż odpowiedzi, a ci, którzy je znają, uparcie milczą. Dowodów na to, że Jan Paweł II wiedział, nie zobaczymy, dopóki zaangażowani w tę sprawę jego współpracownicy nie zechcą mówić. Niektórzy już nie mogą nic powiedzieć, jak zmarły niedawno wieloletni sekretarz stanu kard. Angelo Sodano. Ten sam, który przestrzegał, żeby papieża pochopnie nie ogłaszać świętym. Przed jego śmiercią w maju wielokrotnie próbowaliśmy się z nim skontaktować. Wysłaliśmy też za potwierdzeniem odbioru list z pytaniami – nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Tak samo zachowuje się kard. Stanisław Dziwisz. Jego milczenie też jest wymowne. Te ważne pytania jednak trzeba stawiać.

Mam swoje zdanie na temat tego, czy Jan Paweł II wiedział o tym, co się dzieje z dziećmi w Kościołach na świecie – zdanie wyrobione na podstawie świadectw ludzi, którzy twierdzą, że informowali papieża. A także na temat wiedzy, jak funkcjonował Watykan za czasów Jana Pawła II.

Jakie ono jest?

Obraz jest oczywiście niepełny. Nie mieliśmy np. dostępu do archiwów watykańskich. A nawet gdybyśmy go mieli, wątpliwe, czy udałoby się coś ustalić na pewno, bo wiele spraw działo się poza protokołem, żeby nie zostawiać śladów na papierze. Jednak z tego niepełnego obrazu moim zdaniem jasno wynika, że przynajmniej o niektórych sprawach Jan Paweł II musiał wiedzieć. W końcu kilkanaście razy wypowiadał się na te tematy, reagował retorycznie choćby na skandale w Stanach Zjednoczonych już na początku lat 90. Niektórzy spośród oskarżanych duchownych byli mu dobrze znani. Te sprawy bez wątpienia docierały do papieskiego ucha.

M.in. dzięki sygnaliście – byłemu dominikaninowi Thomasowi Doyle'owi, który pracując w nuncjaturze w Waszyngtonie, już w połowie lat 80. przekazał papieżowi szczegółowy raport o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich przez amerykańskich duchownych.

Doyle stwierdził, że dotarcie jego raportu do rąk adresata potwierdzili mu i ówczesny nuncjusz w USA, i bliski przyjaciel Jana Pawła II – kard. Jan Król z Filadelfii. Zdarzało się, że same ofiary docierały do papieża. Na przykład James Grein – wieloletnia ofiara kard. Theodore'a McCarricka – twierdzi, że w 1988 r. podczas audiencji prywatnej zorganizowanej mu przez jego oprawcę w obecności Stanisława Dziwisza powiedział papieżowi twarzą w twarz o tym, że jest wykorzystywany seksualnie.

Rozumiem, że kard. McCarrick nie był wtedy obecny.

Nie, natomiast kard. Dziwisz nie mówi po angielsku, więc mógł nie wiedzieć, o czym rozmawiają. Jan Paweł II jedyne, co zrobił, to pomodlił się nad Greinem i wręczył mu pudełko z różańcem oraz list do rodziny, o który prosili razem z McCarrickiem. O tym spotkaniu bez podawania nazwiska Greina wspomina raport badający nadużycia seksualne kard. McCarricka zlecony przez papieża Franciszka, zaznaczając w przypisie, że tego spotkania nie udało się potwierdzić. To ciekawe, bo wskazuje, że do papieża mógł wejść ktoś, kogo obecności nie odnotowano. Odnotować ją mógł kard. Dziwisz, który prowadził i zachował papieski kalendarz. Pytaliśmy go o to, ale nam nie odpowiedział. Przypomnijmy, że McCarrick, mimo docierających do papieża sygnałów, został w 2000 r. przez niego mianowany metropolitą Waszyngtonu.

Najważniejsze było dla mnie to, że wiarygodność takich świadectw potwierdzają ludzie przez wiele lat blisko związani z Janem Pawłem II: prof. Karol Tarnowski i dr Anna Karoń-Ostrowska. Mówią, że doświadczali podobnej reakcji papieża na sygnalizowane przez nich skandale w Kościele. Właśnie oni dodali mi najwięcej odwagi.

Karoń-Ostrowska mówi, że poważne problemy Kościoła Jan Paweł II

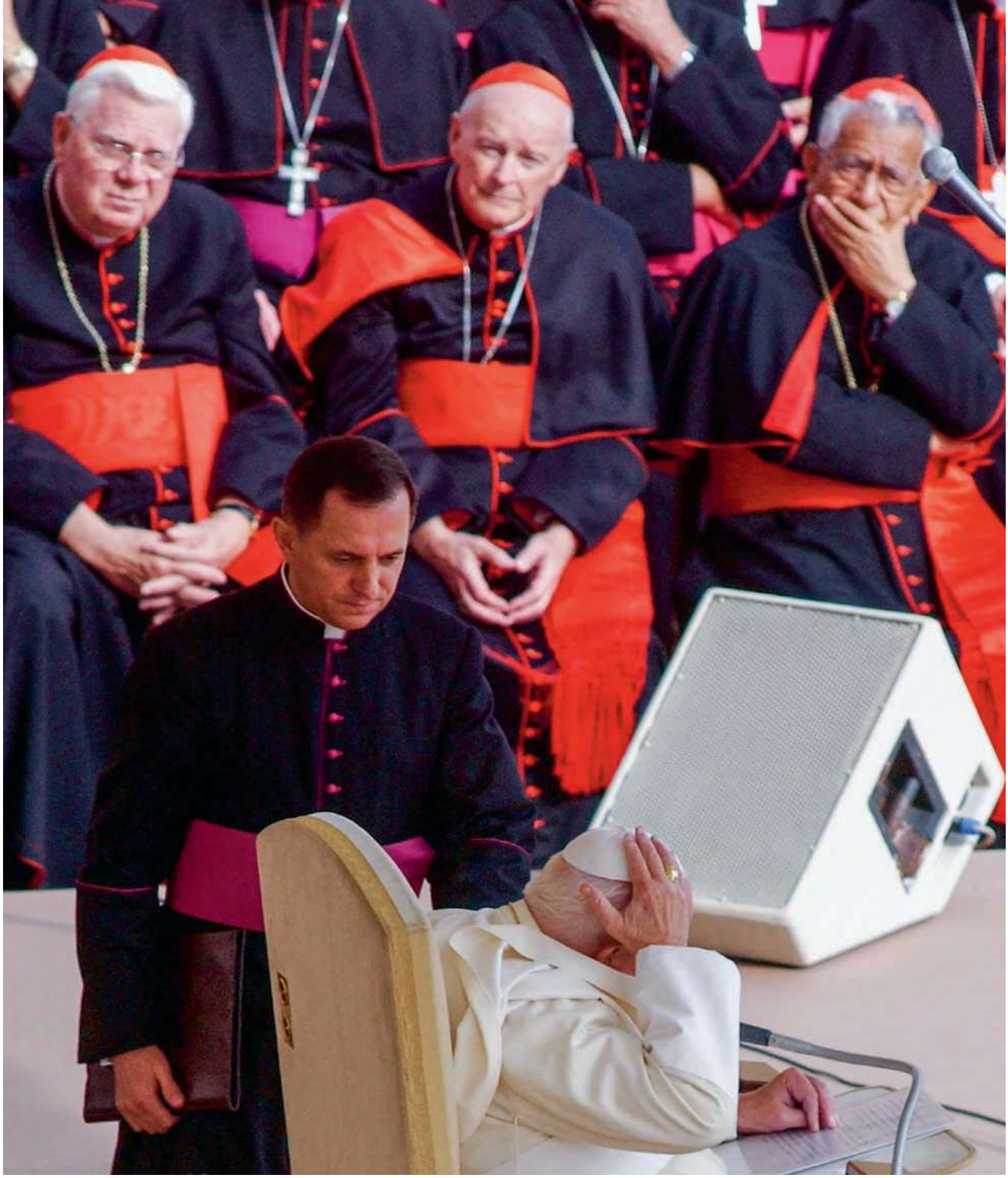

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Jan Paweł II podczas audiencji generalnej na placu św. Piotra. Wśród uczestników kardynałowie Bernard Law (pierwszy z lewej) i Theodore McCarrick (w środku). Watykan, październik 2003 r.

przenosił w wymiar duchowy, kazał się za nie modlić. Czuł się bezsilny wobec machiny, której był przecież władcą absolutnym?

Pytanie, które sobie zadaję od dwóch lat: czy rzeczywiście był bezsilny wobec kościelnej machiny? Na ile to ona kierowała nim, a na ile on miał na nią wpływ? Czy rozumując w ten sposób, że był bezsilny wobec koterii, kliki ludzi zdeprawowanych, pazernych na władzę, którzy go otaczali, przypadkiem go nie usprawiedliwiamy? Na ile wyznaczał linię funkcjonowania Kościoła? Na ile sam umocnił takie funkcjonowanie Kościoła, jego patologie? Sporo wiemy o tym, jak wówczas funkcjonował watykański aparat władzy, i o tym, że najważniejsze informacje trafiały do papieża, a on regularnie zasięgał informacji z różnych źródeł.

Pana przekonania i intuicje zmieniały się podczas pracy?

Początkowo myślałem, że Jan Paweł II zapewne był wprowadzany w błąd, że olbrzymią odpowiedzialność ponoszą najbliżsi współpracownicy – kardynałowie Sodano, Dziwisz i Giovanni Battista Re. Ale watykaniści i byli szefowie watykańskich kongregacji (zgodziło się porozmawiać tylko dwóch) zgodnie nam mówili, ↦

↦ że Jan Paweł II bardzo pilnował tego, co dzieje się w Kurii Rzymskiej. Z bardzo pewnego źródła i z pewnością nie antykościelnego, czyli od Andrei Torniellego, obecnego szefa watykańskich mediów, wiemy, że przy stole Jana Pawła II spotkało się kilku dostojników, by choćby pozornymi ruchami rozwiązać sprawę kard. Hansa Hermanna Groëra, metropolity Wiednia oskarżonego o wykorzystanie seksualne chłopców i młodych mężczyzn. Wtedy miała zwyciężyć „druga strona", czyli Sodano i jego poplecznicy, którzy blokowali rozwiązanie tej sprawy, wbrew woli m.in. kard. Josepha Ratzingera i późniejszego następcy Groëra – kard. Christopha Schönborna. Te decyzje odbywały się w obecności papieża, a więc były to jego decyzje.

Nie chodzi tylko o Groëra...

Podobnie było ze sprawą Marciala Maciela Degollado – założyciela Legionistów Chrystusa, który wykorzystał kilkaset osób, w tym członków swojego zgromadzenia, a także dzieci, m.in. swoje własne, które spłodził z kilkoma kobietami. O tym też papież coś musiał wiedzieć. Przekonana jest o tym Franca Giansoldati, watykanistka „Il Messaggero", która dotarła do watykańskich dokumentów i napisała najlepszą na ten temat książkę pt. „Demon w Watykanie".

Pytanie: z czego wynikał brak reakcji papieża? Z jakiegoś rodzaju wyparcia, mechanizmu psychologicznego? Z chęci obrony instytucji za wszelką cenę, czyli za cenę ignorowania ofiar? Czy z tego, że politycznie mocniejsi okazywali się ci, którym zależało, aby tego typu skandale nie wychodziły na światło dzienne? A może to był sposób reakcji, który odziedziczył po poprzednikach i którego nie potrafił przezwyciężyć?

Jeden ze wspomnianych dwóch wysokich urzędników Kurii Rzymskiej, którzy zgodzili się rozmawiać – były przewodniczący Papieskiej Rady ds. Kultury kard. Paul Poupard – przyciśnięty Pana pytaniem, czy uporczywe milczenie i obrona nieskazitelnego wizerunku Jana Pawła II nie są błędem, odpowiada: „Myślę, że nie wiem...".

Okrasza to zresztą wyrazem twarzy, który jest dużo bardziej wymowny niż treść tego zdania. Daje tym samym do zrozumienia, że na więcej nie możemy liczyć. To samo mówi postawa kard. Konrada Krajewskiego, który zgodził się ze mną porozmawiać, ale *„of the record"*. Trzeci hierarcha związany z Kurią Rzymską – kard. Walter Kasper, były przewodniczący Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan – rozmawiał ze mną ponad godzinę, a gdy po miesiącu wysłałem jego wypowiedzi do mojej książki z prośbą o autoryzację, odpowiedział, że nie przypomina sobie takiego spotkania. A gdy wysłałem mu zapis wideo rozmowy, która odbyła się w jego własnym mieszkaniu, kontakt się urwał.

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

MARCIN GUTOWSKI jest dziennikarzem TVN24, autorem cyklu filmów dokumentalnych „Bielmo" oraz książki „Bielmo. Co wiedział Jan Paweł II".

Znamienne są w Pana filmach sceny ucieczek duchownych, gdy próbuje Pan zadać im pytanie. Wyparcie to jedna z metod radzenia sobie w tym systemie.

Chcąc dochować wszelkiej staranności, po tym, jak dostawałem odmowy pisemne czy telefoniczne, starałem się taką osobę mimo wszystko spotkać – czy to z otwartą, czy z ukrytą kamerą, jeśli widziałem w tym interes społeczny i żeby udokumentować to, że próbowaliśmy.

System władzy w Kościele, który Pan dokumentuje, rządzi się nietransparentnymi zasadami i jest poza kontrolą.

Mogę mówić tylko o swoich doświadczeniach. Ten system jest wielopoziomowy. Na zewnątrz rządzi polityka, która jest nie z tej epoki: Kościół hierarchiczny funkcjonuje jako model monarchii absolutnej, bezradny wobec wyzwań współczesnego świata i nietransparentny, czyli otwarty na zło. Zwraca na to uwagę watykanista „La Croix" Robert Mickens: czyni się monarchów absolutnych z ludzi, którzy zupełnie nie mają doświadczenia w zarządzaniu tego typu strukturami. To nie może się udać! Moi rozmówcy wielokrotnie wspominali, że papież Franciszek widzi, że to już nie działa i musi się zapaść. Ten archaiczny system musi podlegać zwyrodnieniom.

O drugim poziomie wspomina Gian Franco Svidercoschi, watykanista, który przez wiele lat pracował w Watykanie jako wicenaczelny „L'Osservatore Romano". Mówi, że Jan Paweł II wpadł w strukturę kurialną od wieków funkcjonującą według niejasnych paramafijnych zasad – koterii, które rozumieją się w lot bez słów i potrafią się doskonale poruszać po tych pajęczych linach rozpostartych między budynkami w Watykanie. Papież z Polski musiał się tego uczyć i położył priorytety swego pontyfikatu gdzie indziej.

Mówi się, że zostawił Kurię samej sobie.

No właśnie nie można się z tym zgodzić. Kuria nie była jego pierwszym priorytetem, ale nie zostawił jej samej sobie. Podstawowym pytaniem pozostającym bez odpowiedzi jest to: na ile poszczególne ośrodki władzy, jak Sekretariat Stanu, papieski apartament czy Kongregacja Nauki Wiary, działały według własnych zasad poza wiedzą i wolą Jana Pawła II, a na ile działały za jego przyzwoleniem, namaszczeniem i zgodnie z wyznaczonym przez niego kierunkiem. Gdy rozmawiamy z tymi, którzy byli w środku albo którzy przez dekady się temu przyglądali z zewnątrz, wiele wskazuje na to, że struktury nie działały wbrew papieżowi. To, że on w dużej mierze pozostawił swobodę działania – także na polach dotyczących nadużyć i skandali – swoim ludziom, nie znaczy, że działali oni wbrew jego woli.

Ten nietransparentny, choć akceptowany przez Jana Pawła II system zdejmował z ludzi odpowiedzialność. Skutkowało to niemocą w radzeniu sobie z sytuacjami kryzysowymi. Po prostu zamiatano je pod dywan.

Gdy sprawa stawała się głośna, pozorowano działania głównie w postaci słusznej czy pobożnej narracji. Tak było w latach 80. – pierwsza publicznie opisana sprawa z Luizjany; w latach 90. – sprawa Groëra; i w pierwszych latach XXI w. – Boston oraz wiele innych. System był tak bezwładny i bezkarny, że nie uczył

się na błędach. Nie miał powodu. Oczywiście, Jan Paweł II miał przy tym trochę pecha, bo był pierwszym papieżem mediów globalnych, który musiał się zmierzyć z tym, że skandale ujawniano i szybko stawały się one międzynarodowe. Papież jako człowiek swoich czasów nie był przygotowany na to, żeby sobie poradzić z kryzysem pedofilskim, jak należy.

Jan Paweł II był i wciąż jest dla nas ważny. Dlatego mamy odruch usprawiedliwiania go?

Ten obronny mechanizm doskonale rozumiem, bo sam do niedawna go odruchowo stosowałem i ciągle mam taką pokusę. Nie bez powodu traktujemy Jana Pawła II na specjalnych warunkach, bo mało komu Polacy tyle zawdzięczają. Także ja, osobiście. Ale jako dziennikarz muszę z tą słabością walczyć – by nie pisać papieżowi usprawiedliwień.

Z jednej strony wiemy, że milczenie o papieżu tylko pogarsza sytuację, z drugiej strony, gdy próbujemy zrozumieć zachowanie Jana Pawła II, omal nie przypisujemy mu rozdwojenia. Karoń-Ostrowska mówi, że żyjąc w różnych obszarach – bliskich relacji czy spotkań z kurialistami – zachowywał się jak dwie osoby.

Próbujemy zrozumieć, co nim kierowało. Myślę, że nie tylko dla mnie, ale dla milionów Polaków to, czego dowiadujemy się obecnie o postawie Jana Pawła II wobec nadużyć seksualnych i o sprawowaniu władzy w Kościele, kompletnie nie klei się z tym, jakiego Jana Pawła II pamiętamy. Nie potrafię uwierzyć, że był przede wszystkim aktorem. Za dobrze go poznaliśmy przez te lata, by widzieć w nim jedynie cynicznego gracza. Musi więc być jakieś wyjaśnienie np. jego niewrażliwości wobec ofiar.

Próbuje się papieża usprawiedliwić, przypisując mu np. mentalność wykształconą w PRL: nastawioną na obronę za wszelką cenę instytucji Kościoła i nieufność wobec osób, które choćby potencjalnie stanowiły zagrożenie dla niej.

Czy ofiary rzeczywiście są zagrożeniem dla Kościoła?

Nie są. Karol Tarnowski z kolei stwierdza, że Wojtyła nie potrafił w ludziach widzieć zła.

Otóż potrafił dostrzec zło np. w swoich ideowych przeciwnikach – latynoamerykańskich teologach wyzwolenia. Potrafił użyć aparatu kościelnej władzy, by teologa z Gwatemali czy Salwadoru przywołać do porządku. Niekiedy bezlitośnie. Natomiast nie potrafił znaleźć czasu, by spotkać się z ofiarami seksualnie wykorzystanymi w Kościele i spojrzeć im w oczy – nie mamy udokumentowanego żadnego przypadku, by zrobił to z własnej inicjatywy. Nie potrafił okazać empatii czy współczucia tym, którzy zostali skrzywdzeni przez ludzi instytucji, na czele której stał jako papież. Dlaczego? Dla mnie to niezwykle istotne pytanie.

I temat, i postać, i historia są za duże, by dawać szybkie, łatwe i jednoznaczne wyjaśnienia. Stoimy na początku drogi. Ja ostatecznej odpowiedzi nie mam. Choć są tacy, którzy twierdza, że ją mają, i bez pardonu oskarżają Jana Pawła II. Ja chcę pytać dalej i więcej zrozumieć.

Do myślenia dała mi uwaga znajomego duchownego starszej daty, który, gdy w rozmowie prywatnej krytykowałem kościelną rzeczywistość, odpowiedział: „Nie kochasz Kościoła!". Pewne pokolenie było wychowywane w miłości do instytucji. Zastanawiam się, czy człowiek – np. ofiara – w tej miłości nie schodził na drugi plan.

Więcej – ofiary są deptane w Kościele. Pytanie nie brzmi: czy są deptane, ale dlaczego są deptane? Za dużo jest przypadków ofiar wykorzystanych i pozostawionych przez dziesięciolecia bez pomocy. Dlaczego to się wciąż dzieje w 2022 roku? Dlaczego kard. Dziwisz do dziś się nie spotkał z Januszem Szymikiem, choć dwa lata temu obiecał mu to publicznie? Można się zgadzać z tym, co Szymik mówi publicznie, bądź nie zgadzać, ale jest on ofiarą, której były krakowski metropolita kilkukrotnie obiecał spotkanie i do dziś obietnicy nie spełnił.

Odnosząc się do wspomnianej uwagi starszego księdza, nie wiem, czy nie daje tu znać o sobie mentalność, że to, co dzieje się w gnieździe, jakkolwiek złe by było, jakkolwiek by ten ojciec pił i bił, to kochać go trzeba i złego słowa na zewnątrz o nim nie można powiedzieć. Możliwe, że hierarchiczny Kościół jako sakralna instytucja tak jest odbierany. Pytanie tylko, czy z wiedzą, jaką dzisiaj już mamy, i z tym, jak dzisiaj rozumiemy świat, da się tego wciąż bronić. A mam wrażenie, że hierarchowie i w Watykanie, i w Polsce nadal tej mentalności bronią. Nie ma w polskim episkopacie biskupa, który by podjął krytyczną debatę o bolesnych aspektach pontyfikatu Jana Pawła II? Nie do wiary.

Z czego to wynika? Sieć, o której Pan pisze, nadal funkcjonuje?

Wiele na to wskazuje. Wciąż u władzy są hierarchowie, którzy forsowani byli przez wieloletniego nuncjusza abp. Józefa Kowalczyka przy konsultacjach ze Stanisławem Dziwiszem, jak twierdzą moi rozmówcy.

Powoli odchodzą na emerytury.

Ale kto przychodzi na ich miejsce? Ich wychowankowie.

Jakie reakcje spotykają Pana po projekcjach kolejnych odcinków cyklu „Bielmo"?

Różne – najbardziej skrajne to groźby karalne, np. że „poderżną mi gardło" i wulgaryzmy – że jestem „śmieciem" albo „gorszym od prostytutki szmalcownikiem". Większość reakcji jest jednak pozytywna, np. ludzie zdają sobie sprawę jak wiele psychicznego wysiłku ten temat kosztuje. Są też tacy, którzy niestety wykorzystują temat Jana Pawła II politycznie – mam na myśli polityków i polityczki lewicy grających na antyklerykalnej nucie, którzy np. już domagają się odbierania papieżowi ulic mu poświęconych. Bez sensu.

Niektórzy Pana filmowi rozmówcy przytomnie zauważają, że świętość nie oznacza bezgrzeszności.

Przechodziłem różne fazy postawy wobec Jana Pawła II w czasie realizacji tych reportaży. Najpierw to było zdziwienie, zdruzgotanie, potem był bunt, wściekłość, rozczarowanie. A teraz jest próba zrozumienia. Jan Paweł II był dla mnie mitem, teraz paradoksalnie stał się bardziej człowiekiem. Pod wieloma względami wybitnym, ale pod innymi – taki jak ja czy pan. Choć jego decyzje jako papieża były nieporównywalnie bardziej brzemienne w skutki, a tym samym obarczone straszliwą odpowiedzialnością, także moralną. Ale, jeżeli on z tymi swoimi ograniczeniami był w stanie podjąć drogę do świętości, to znaczy, że każdy jest do tego zdolny.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Ewa i Norbert chwilę po zaręczynach. Bouar, grudzień 2021 r.

ARCHIWUM PRYWATNE X4

Koncert uczniów AMS w Bocaranga, grudzień 2021 r.

Otwarte serce Afryki

EDWARD AUGUSTYN

Jeden z generałów nadzorujących pomoc humanitarną odwiedził szkołę i, patrząc na występy dzieci, powiedział: To jest prawdziwy skarb tego kraju. Nie diamenty ani złoto, które wszyscy próbują stąd wywozić.

Po materiał na ślubne stroje pojechali do Kamerunu. Gdy szef targowiska dowiedział się, że Ewa jest śpiewaczką, zażyczył sobie pieśni. Słysząc arię Musetty „Quando m'en vo", nie mógł przestać się dziwić. Było to zapewne pierwsze w historii wykonanie Pucciniego na bazarze w Garoua Boulaï. W nagrodę dostali rabat i trzy jogurty (w kraju, gdzie mało kto ma lodówkę, to prawdziwy rarytas).

Do szkoły muzycznej w Bouar najpierw przyjechał Norbert. Był październik 2020 r., świat walczył z pandemią, a wojska rządowe w Republice Środkowoafrykańskiej – z rebelią. Buntownicy szturmowali miasto, w klasztorze kapucynów, gdzie mieściła się szkoła, koczowało prawie 3 tys. ludzi. Ewa pamięta, jak bezskutecznie próbowała się dodzwonić do Norberta przed wigilią.

– Byłam u jego rodziców. Żadnego sygnału. Dzwoniliśmy rano, po południu, wieczorem i znów następnego dnia. Strach w oczach. Wszystkie czarne wizje. Odezwał się dopiero w święta, tłumacząc, że odcięto im sieć komórkową.

Rok później pojechali już razem.

Muzykanci z Bouar

African Music School wymyślił w 2016 r. brat Benedykt Pączka, misjonarz z Krakowa, gdy dowiedział się, że w Republice Środkowoafrykańskiej nie ma ani jednej szkoły muzycznej. „Jeden muzyk więcej to jeden żołnierz mniej" – pomyślał. Sam gra na akordeonie, fortepianie, trąbce i gitarze. Pierwszych lekcji udzielał w klasztorze, ale od początku miał pomysł na stworzenie prawdziwej szkoły z profesjonalną kadrą. Z pomocą krakowskiej fundacji Akeda zorganizował akcję „Instrumenty zamiast broni", dzięki której kupił pierwsze gitary,

Po lewej: Ewa podczas zajęć w szkole dla Pigmejów. Bagandou, luty 2022 r.

Po prawej: Br. Benedykt Pączka, dyrektor African Music School. Bouar, grudzień 2021 r.

keyboardy, perkusje i trąbki. Zaprosił do pracy wolontariuszy – na każdy semestr przyjeżdżają dwie, trzy, czasem pięć osób. Przez sześć lat przewinęło się 24 nauczycieli – młodych muzyków, głównie z Polski.

Ewa Lopocz ukończyła wydział wokalno-aktorski katowickiej Akademii Muzycznej. Jest śpiewaczką operową, sopranistką. Norbert Wardawy, absolwent tej samej uczelni, jest trębaczem jazzowym, związanym z kilkoma zespołami, m.in. Big Cyc czy Czarno-Czarni, grał też z Ronem Carterem, legendarnym kontrabasistą Milesa Davisa.

W Republice Środkowoafrykańskiej spędzili sześć miesięcy.

Szkoła na głowie

Uczniów jest 80. By dostać się do szkoły, muszą zdać egzamin.

– Mówi się, że wszyscy Afrykańczycy są utalentowani muzycznie, i jest w tym sporo prawdy – wyjaśnia Norbert. – Zwłaszcza jeśli chodzi o poczucie rytmu. Oczywiście słuch trzeba ćwiczyć, nawet jeśli śpiewanie jest tam powszechnym sposobem spędzania wolnego czasu, a w każdym miasteczku działa kilkanaście chórów.

Nauczyciele uczą gry na instrumentach, prowadzą zajęcia ze śpiewu, teorii i umuzykalnienia, ale też gotują, piszą wnioski o granty i pracują na budowie. Jak wszyscy, również dzieci.

– Naturalnie każdy na swoją miarę – tłumaczy brat Benedykt. – Dzieciaki noszą piasek z rzeki albo wodę, w wiaderkach, na głowie. Nie codziennie, raz w miesiącu. Dzięki temu mają poczucie, że sami tworzą swoją przyszłość, i znają wartość pracy, którą ktoś musi włożyć, by oni mogli się uczyć. Nie chcę, by żyli w poczuciu braku sprawczości albo że dostają wszystko za darmo.

Nauka jest odpłatna, choć to niewielkie kwoty, dostosowane do możliwości poszczególnych rodzin i często zamieniane na symboliczną ofiarę z płodów rolnych. Szkoła utrzymuje się więc z darowizn i każdy może ją wspomóc, czy to finansując naukę konkretnego ucznia (1,5 tys. zł na rok), czy włączając się w zbiórkę prowadzoną przez fundację Akeda. Uczniowie mają też zapewnioną opiekę medyczną i codzienny obiad – dla wielu jest to jedyny posiłek w ciągu dnia.

Lecą okna

– W 2020 r. kupiliśmy teren pod budowę, by szkoła mogła uniezależnić się od klasztoru – mówi brat dyrektor. – Będziemy mieć 10 klas, 6 pokoi dla nauczycieli, salę taneczną, sportową i rekreacyjną, a w planach jest jeszcze studio nagrań i sala koncertowa.

Na razie budynek jest w stanie surowym zamkniętym. W sierpniu kupiono w Polsce 84 okna, które do Bangi, stolicy RŚA, przyleciały samolotami belgijskiej armii.

– Jeden z generałów nadzorujących pomoc humanitarną odwiedził naszą szkołę i, patrząc na występy dzieci, powiedział: „To jest prawdziwy skarb tego kraju. Nie diamenty ani złoto, które wszyscy próbują stąd wywozić”. Zgodził się dostarczyć okna za darmo, dzięki czemu uniknęliśmy uciążliwego transportu drogą morską do Kamerunu, skąd jeszcze trzeba byłoby je wieźć lądem ponad 900 km, oraz opłat celnych i całej biurokracji.

Miesiąc temu polscy żołnierze, stacjonujący w Bangi, przewieźli okna samochodami do Bouar. Teraz trwa ich montaż.

Afrykańskie wesele

– Jeszcze w Polsce kupiłem zaręczynowy pierścionek, w pakiecie z obrączkami. Jubiler śmiał się, że jestem optymistą – opowiada Norbert. – Miesiąc po przyjeździe poprosiłem Ewę o rękę. Nie wiedziała o moich planach, ale byłem pewien, że mamy to samo pragnienie. W końcu byliśmy w kraju nazywanym sercem Afryki, gdzie dużo wyraźniej odczuwa się bliskość Boga i widzi sens życia. Oboje uznaliśmy, że to najlepsze miejsce nie tylko na zaręczyny, ale i na ślub.

Rodzice państwa młodych przyjęli tę decyzję ze zrozumieniem, zwłaszcza że po powrocie, w Polsce, zaplanowano ślub cywilny i drugie wesele. Na pierwszym obecna była tylko nowa, afrykańska rodzina.

– Dla każdego dziecka ze szkoły wydrukowaliśmy imienne zaproszenie, co tu jest rzeczą niespotykaną – wspomina Ewa. – Zaprosiliśmy też wszystkich polskich misjonarzy z RŚA. Przyjechało 12 księży i biskup. Msza była w plenerze, w trzech językach: po polsku, francusku i w sango, trwała trzy godziny.

Ślub dwojga białych był w Bouar sensacją, mówiono, że takiego wydarzenia nie było w historii kraju. Na weselu bawiło się 160 osób.

– Jedzenie zamawialiśmy u 10 sprzedawców – dodaje Norbert. – Część przywieźliśmy z Kamerunu, m.in. coca-colę, w RŚA trudno dostępną. Każde dziecko dostało jedną puszkę. Potrawy gotowane były na ogniu, ale wcześniej musieliśmy pojechać do lasu i przywieźć wystarczającą ilość drewna. Upiekliśmy dziewięć ciast bananowych, zrobiliśmy imbirówkę (po alkohol trzeba było jechać 500 km do stolicy), oczywiście tylko z myślą o dorosłych.

Rekolekcje bez słów

Brat Benedykt Pączka podkreśla religijne znaczenie uroczystości: – W Republice Środkowoafrykańskiej śluby nie ↦

↦ są częste, większość par żyje i wychowuje dzieci bez legalizowania związku. Ewa i Norbert swoją decyzją więcej powiedzieli o chrześcijańskiej miłości niż wszyscy misjonarze razem wzięci.

Na filmie opublikowanym przez nowożeńców w serwisie YouTube („Podróż do serca Afryki") można zobaczyć, z jakim entuzjazmem zebrani zareagowali na słowa „Mbi ye da" (Tak, chcę), wypowiadane kolejno przez Ewę i Norberta. Najbardziej wzruszony wydawał się prof. Piotr Wojtasik z katowickiej akademii, jedyny gość z Polski, którego Norbert poprosił na świadka uroczystości.

– To było niezwykłe przeżycie, niemal mistyczne – mówi dzisiaj. – Zresztą cały mój pobyt w szkole to jedne wielkie rekolekcje, choć bez słów.

Wirtuoz trąbki i dwukrotny zdobywca Fryderyków uczył dzieci w afrykańskiej szkole przez miesiąc. Nie ma wątpliwości, że ta przygoda zaowocuje i w jego twórczości. – Nawet jeśli nie mam w zwyczaju przenosić od razu przeżyć i emocji na zapis nutowy, to przecież pozostają w pamięci i wrażliwości – dodaje.

Nieoszlifowane diamenty

Wymiernym efektem pracy misjonarzy i nauczycieli są chóry i zespoły muzyczne, które uświetniają uroczystości w Bouar, nie tylko kościelne. Szkołę zauważyły też władze centralne, które zamierzają posłać do niej 50 dzieci ze stolicy, pokrywając koszty pobytu i nauki. Szczególnie utalentowani absolwenci dostają szansę dalszego rozwoju za granicą. W ostatnie wakacje jeden z nich wyjechał na pięciotygodniowy kurs letni do Berklee College of Music w Bostonie, drugi rozpoczął naukę w Krakowskiej Szkole Jazzu, trzeci dostał się do Music Academy International w Nancy, gdzie rozpocznie naukę w przyszłym roku, po ukończeniu 18 lat.

Z każdym z nich i ich rodzicami brat Benedykt podpisuje kontrakt: jeśli wrócą do Bouar, będą nauczycielami w szkole, a jeśli zostaną za granicą, będą przekazywać na jej rzecz 10 proc. zarobków.

– Traktujemy ich edukację jak dobrą inwestycję – śmieje się dyrektor. – Teraz mamy same koszty, i to bardzo duże. Jeden bilet lotniczy do Europy czy USA kosztuje 10-12 tys. zł. Do tego czesne, mieszkanie, utrzymanie.

Ale nauka w szkole muzycznej to nie tylko rozwijanie pasji czy szlifowanie talentu. Ewa i Norbert podkreślają jej znaczenie psychologiczne: – Edukacja muzyczna opiera się na lekcjach indywidualnych. Te dzieci pochodzą z rodzin wielodzietnych, w szkołach państwowych klasy są przepełnione, kontakt z pedagogiem twarzą w twarz jest dla nich nobilitacją, dowodem, że są ważni, skoro ktoś poświęca czas tylko im. Trudno tego nie docenić.

Dwa światy

Ślub był 22 stycznia tego roku, w lutym kończył się semestr i wolontariusze mieli wracać do Polski. Tymczasem wybuchła wojna w Ukrainie i nikt nie wiedział, jak rozwinie się sytuacja.

– Pół roku wcześniej nasi bliscy bali się, że jedziemy do afrykańskiego kraju ogarniętego wojną, a teraz zaczęliśmy się zastanawiać, czy bezpieczniej jest tam, czy w Europie – wspominają.

Skorzystali z zaproszenia jednego z misjonarzy, pracującego wśród Pigmejów w Dżanga Sangha, jednym z najbardziej strzeżonych parków narodowych na świecie. Ta nietypowa podróż poślubna jest tematem na odrębną opowieść, ale spotkanie z kulturą Pigmejów, żyjących poza naszą cywilizacją, w całkowitej zgodzie z naturą, dopełniło przemiany, jaka się w nich dokonała.

– Choć minęło już kilka miesięcy, wciąż mamy wrażenie, że dużo łatwiej byłoby nam żyć tam niż w Polsce, w Europie. Pobyt wśród ludzi z otwartym sercem, patrzących z optymizmem w przyszłość, przekonanych, że nawet najtrudniejsze chwile można przeżyć z uśmiechem na twarzy, że cierpienie jest częścią naszego życia i lekcją, tak dla pojedynczego człowieka, jak dla całej społeczności, sprawiły, że trudno się odnaleźć w tak zwanym naszym świecie.

Duchowy detoks

Dziś Ewa i Norbert mieszkają w Berlinie, wiążąc zawodowe plany z tamtejszym środowiskiem muzycznym. Ale o afrykańskiej szkole nie zapominają: z ich inicjatywy w styczniu odbędzie się duży koncert charytatywny „Zadymka for Africa", przygotowany wspólnie z organizatorami słynnej Bielskiej Zadymki Jazzowej.

– Z perspektywy czasu widzę, że ciężko byłoby nam być małżeństwem, gdybym nie pojechała tam z Norbertem, nie przeżyła tego, co on już doświadczył. To nie był wyjazd na wakacje, żeby oglądać słonie, zebry i biedne dzieci, ale dotknięcie jakiejś ważnej, naturalnej a nienaruszalnej prawdy o życiu – mówi Ewa.

– Myślę, że byłoby nam trudno się zrozumieć – przyznaje Norbert. – Pobyt tam zmienia mentalność, priorytety, hierarchię wartości. Zmienia też wiarę. Wcześniej nie była zbyt ugruntowana. Jeśli misje polegają na nawracaniu niewiernych, to my właśnie tego potrzebowaliśmy. Duchowy detoks, oczyszczenie. I zupełnie nowe życie.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Msza za zmarłych „Tygodnika"

Msza za zmarłych Redaktorów i Pracowników „Tygodnika Powszechnego" oraz ich bliskich zostanie odprawiona przez księdza Adama Bonieckiego w poniedziałek **7 listopada o godz. 17.00** w bazylice św. Floriana przy ul. Warszawskiej 1b w Krakowie.

Zachęcamy do wspólnej modlitwy

CATEDRAL DE SALAMANCA / MATERIAŁY PRASOWE

Ekspozycja „The Mystery Man", katedra w Salamance, październik 2022 r.

Płótno ciałem się stało

DOMA MATEJKO

Naukowcy odtworzyli postać z Całunu Turyńskiego w formie trójwymiarowej figury. Wizerunek przedstawiony na wystawie w Salamance może zachwiać dotychczasowym wyobrażeniem o Jezusie.

W sali leży martwy mężczyzna. Jest nagi. Ma 178 centymetrów wzrostu, waży 75 kilogramów. Głowę ma pochyloną do dołu, jedną stopę zadartą, drugą opuszczoną, splecione ręce zasłaniają części intymne. Na ciele widoczne są liczne, świeże rany. Wygląda, jakby zastygł w tej pozycji. Wchodząc do sali, trzeba mieć ręce schowane za siebie. Ciała nie wolno dotknąć, mimo że to nie zwłoki, a hiperrealistyczna figura Jezusa.

Twórcy wystawy „The Mystery Man" („Tajemniczy mężczyzna") odtworzyli wizerunek Chrystusa w trzech wymiarach na podstawie 15 lat badań nad Całunem Turyńskim.

Jak podkreślają, jest to pierwsze przedstawienie Jezusa wykonane bez ingerencji artysty.

Prawdziwa twarz

Z początku wystawa nie wydaje się nadzwyczajna. Audioprzewodnik wyjaśnia, że patrzymy na oryginalne monety z czasów Piłata, narzędzia tortur znane w starożytności i przedstawienia świętych wizerunków na przestrzeni wieków. Nic specjalnego – aż do ostatniej sali. Tu nie ma muzyki, przewodnika ani świateł sugerujących, na co należy patrzeć. Na środku leży figura Jezusa wykonana z lateksu i silikonu. Pokryto ją prawdziwymi włosami, a na całym ciele widać liczne rany. Figura ociera się o rzeczywistość.

– W piątej sali przedstawiamy setki reprezentacji Chrystusa – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Francisco Cañizares Hidalgo, dyrektor wystawy. – Wszystkie te wizerunki były interpretacjami artystów, którzy tworzyli je zgodnie z kanonem dominującym w danej epoce. To, co tutaj zrobiliśmy, nie ma nic wspólnego ze sztuką. To nauka.

Całun w trójwymiarze

Płótno dokładnie przestudiowano i zebrano wszystkie dane z badań przeprowadzonych kiedykolwiek na tej zagadkowej tkaninie. Jedną z cech Całunu, którą odkryto już w latach 70. XX w., jest jego trójwymiarowość. Części ciała, które znajdowały się bliżej tkaniny, odbiły się na niej wyraźniej niż te, które znajdowały się dalej. Między innymi ta cecha płótna ułatwiła przeniesienie obrazu do formy trójwymiarowej. To również wyjaśnia, dlaczego postać, na którą patrzymy, jest pochylona i wygląda, jakby się kuliła.

„Imponująca, wspaniała, majestatyczna" – mówią mieszkańcy Salamanki po wyjściu z wystawy i przyznają, że patrzenie na figurę jest tak emocjonujące, że aż przytłaczające. – Miałem wrażenie, jakbym stał przed ciałem człowieka, który właśnie umarł, przed chwilą został zabity – opowiada w rozmowie z „Tygodnikiem" jezuita o. Wojciech Bojanowski. – Ciężko to opisać słowami.

Zachwyca czy nie

– Przyszliśmy, bo mamy jednych znajomych, którym wystawa szalenie się ↦

podobała, i innych, którym nie podobała się wcale. Chcieliśmy wyrobić sobie własne zdanie – mówi Manuela. Na niej wystawa zrobiła mocne wrażenie.

Podobnie jak na większości zwiedzających. Dolores, mieszkanka Salamanki, która nie jest związana z tradycją katolicką, docenia walor naukowy ekspozycji.

Jednak w mediach hiszpańskich nie brakuje sceptyków. Jezus w wersji 3D budzi nie mniejsze kontrowersje niż sam Całun, co do którego autentyczności trwają od wieków spory. Pojawiają się zastrzeżenia co do niepokojąco jasnego odcienia skóry, jaki nadano figurze. Gorąca dyskusja nad autentycznością i walka o to, które wyobrażenie Jezusa jest bliższe prawdzie, nie powinna dziwić. Hiszpania to jeden z najszybciej laicyzujących się krajów Europy. Figuratywne przedstawienia Jezusa, Maryi i świętych są silnie obecne w tradycji religijnej i lokalnym folklorze.

W Wielki Piątek w całym kraju odbywają się procesje, w czasie których niesione są figury Marii i Chrystusa w skali niemal 1:1. Procesje są jedną z najbardziej zakorzenionych hiszpańskich tradycji i biorą w nich udział nie tylko wierzący.

Dlatego też dyskusja o Całunie i figurze 3D będącej jego odbiciem jest w takim kraju nieunikniona.

Dyskusja, czy to wizerunek Jezusa, wciąż trwa.

Twórcy wystawy chcą, aby w ciągu najbliższych 20 lat Człowiek z Całunu okrążył cały świat. W planach jest ekspozycja także w Polsce.

Czy to Jezus

Mimo lat badań Całun pozostaje tajemnicą. Twórcy wystawy pytają wprost: „czy człowiek, na którego patrzymy, to Jezus?". Wyniki badań zaprezentowane na wystawie pokazują, że wizerunek mężczyzny z Całunu pokrywa się z biblijnym opisem ciała Chrystusa w chwili męki i śmierci. Człowiek z Całunu nie ma złamanych goleni, co, jak twierdzi część naukowców i biblistów, jest zgodne z opisem z Ewangelii św. Jana 19, 33 („Lecz gdy podeszli do Jezusa i zobaczyli, że już umarł, nie łamali Mu goleni"). Zgadza się również silna, mocno zbudowana sylwetka, którą ze względu na wykonywany zawód mógł posiadać Chrystus.

Argumentów za tym, że na Całunie widać postać Jezusa, nie brakuje. I choć wszystko można podważyć, to tym, co czyni z Całunu i z figury autentyczny wizerunek Chrystusa, jest wiara patrzących. – Wierzę, że Całun jest dla nas darem, który kieruje nas ku człowieczeństwu Jezusa – mówi o. Wojciech Bojanowski. – Przypomina nam o Jego cierpieniu, pokazuje, jak ono mogło wyglądać. A w wymiarze duchowym zachęca do zatrzymania się nad tajemnicą Wcielenia.

Dotknąć sacrum

Anna Niedźwiedź, antropolożka kulturowa, prof. UJ: – Patrząc antropologicznie, można powiedzieć, że mamy do czynienia z rozwinięciem starego i ważnego w kontekście wielu nurtów chrześcijaństwa wątku tzw. przedstawień prawdziwych i *acheiropoietos*, czyli obrazów nie ludzką ręką uczynionych, o których przekazy pojawiają się od VI wieku.

Autorstwo *acheiropoietos* przypisywano siłom pozaziemskim i uznawano za prawdziwe odzwierciedlenia wizerunku Jezusa. – Technologia 3D i stworzenie hiperrealistycznego przedstawienia Chrystusa w oparciu o studium Całunu Turyńskiego to nadal w jakiejś mierze ten sam mechanizm odwoływania się do autentyczności poprzez zaangażowanie materialności i siły ludzkich zmysłów – mówi Niedźwiedź. I ocenia, że Chrystus 3D jest odpowiedzią na potrzeby współczesnego człowieka, którego wrażliwość zmysłowa jest odmiennie ukształtowana niż wrażliwość odbiorcy Całunu w wieku XIV. W scyfryzowanym świecie potrzebujemy innych doświadczeń zmysłowych, również w sferze duchowej.

Dla księdza Fabio, który na wystawę przyjechał specjalnie z Portugalii, widok odtworzonej postaci z Całunu jest dotknięciem *sacrum*. – Dla mnie ta wystawa to spotkanie z Bogiem. Patrzenie na to ciało, które jest niemal prawdziwe, jest dla mnie bardzo mocnym, duchowym doświadczeniem – mówi.

Jeżeli to nie Jezus z Nazaretu, to kto? – Całunem przykryto mężczyznę, który bardzo cierpiał – mówi Cristina, która pracuje przy wystawie. – Kimkolwiek był, przeszedł przez swoją kalwarię.

Twórcy wystawy chcą, aby w ciągu najbliższych 20 lat okrążyła cały świat. W planach jest ekspozycja Tajemniczego Człowieka w Polsce.

© DOMA MATEJKO

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Przysusze toczy się sprawa o sygn. I Ns 47/21 z wniosku Elżbiety Pająk i Krystyny Nawary o uwłaszczenie działki nr 19/1 poprzednio 13/4 w Strzałkowie, wchodzącej w skład działki nr 19, dla której Starosta Radomski prowadzi mapę pod numerem GKN-IV.6621.1.5856.2021 na rzecz Marianny i Romana Wesołowskich.

Wzywa się spadkobierców Kazimierza Września do udziału w sprawie i wykazania praw do ww. działki w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi uwłaszczenie, jeśli zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 454/21 toczy się postępowanie z wniosku Banku Spółdzielczego w Ząbkowicach Śląskich o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Janie Kazimierzu Świerad, ur. 25 lipca 1957 r., s. Romana i Ireny, zm. 21 marca 2021 r. w Kłodzku, ostatnio zamieszkałym w Tarnowie, gmina Ząbkowice Śląskie.

Sąd wyzywa wszystkich spadkobierców po Janie Kazimierzu Świerad, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WOJCIECH

Bonowicz: *Hymn*

Idziesz przez wieczorne miasto i nagle uderza cię ten głos: delikatny, miękki, słodki głos małej dziewczynki. Śpiewa znaną ci piosenkę, piosenkę, którą sam nieraz śpiewałeś, na melodię której stawałeś na baczność, a w żyłach szybciej krążyła ci krew. Idziesz w kierunku tego głosu i natykasz się na grupkę ludzi zgromadzonych pod pomnikiem Mickiewicza. W rękach trzymają antywojenne hasła, nad głowami powiewają im ukraińskie i polskie flagi, a polski hymn, który cię tu ściągnął, śpiewa ukraińska dziewczynka.

Zawahałeś się przy słowie „słodki"? Popatrz, jak słowa nieprzyjemnie się zużywają. Chociaż „słodki" zachował jeszcze trochę siły. Mówimy: „słodki", „słodziak" o kimś, kto budzi w nas czułość i wzruszenie, niezależnie od tego, kim jest, człowiekiem czy zwierzęciem. Dwie kobiety pochylają się nad wózkiem i „ale słodziutka!" wykrzykują z zachwytem na widok dziecka, które się uśmiecha. „Słodki kotkuuu", mówię do Leona, z takim przedłużonym i podwyższonym „u", żeby wiedział, że lubię, kiedy przychodzi otrzeć się mordką o moją brodę. „Jakie znacie słodkie przezwiska dla chłopaka, oprócz »kotek« i »miś«?", pyta internetowa ankieta, a odpowiadające wymyślają: „niuniuś", „cukiereczku", „słodki ziemniaczku". Ale „słodki głos" to także głos fałszywy, głos zwodziciela, który kusi, pieszcząc.

Śpiew ukraińskiej dziewczynki nie ma w sobie fałszu. Polski hymn w jej ustach nagle przestaje być pieśnią bojową, a staje się pieśnią tęsknoty. To samotny głos kogoś zagubionego, kto chce wrócić, ale nie zna drogi, chce odzyskać przyjaciela, ale nie wie jak.

Słowa „ojczyzna" i „naród" także są słowami, które słabną. Słabną od nadmiernego wykorzystywania, od umieszczania w dwuznacznym kontekście, w sąsiedztwie uprzedzeń, niechęci, a bywa, że i nienawiści. Bolesną prawdą jest, że takie wydarzenia jak wojna przywracają im pierwotną godność, ale też otwierają pole do nowych nadużyć. Polityka obecnych władz sprawia, że niemal wszystko jest już „narodowe". I może samo w sobie nie byłoby to jeszcze tak złe, ale „narodowe" znaczy tu na ogół oddzielone, przeciwstawione całemu światu, absolutnie niepołączalne. A także – nadmiernie zbiorowe, zawłaszczające, nie do pogodzenia z indywidualnymi pragnieniami i poszukiwaniami. To narodowe (wiem, że się powtarzam, ale lubię tę metaforę) jest narodowym „od góry", a nie „od dołu", jest wymyślaniem narodu, a nie pielęgnowaniem go. Tyle już o tym napisano, często gniewnie, nerwowo, nawet niesprawiedliwie. No ale problem jest: wiele zależy od tego, czy naród widzi się jako łąkę, na której ta sama ziemia może żywić różne rośliny, czy jako równo przystrzyżoną trawę.

„Sława Ukrainie!", „Niech żyje Polska!", krzyczą manifestujący. Krzyczą nieśmiało, bo rynek szumi, ogródki jeszcze raz zapełniły się turystami, grupki młodzieży spieszą do barów i klubów. Mijam dwóch chłopców i dziewczynę, i słyszę, jak jeden z nich mówi do niej: „Naprawdę masz dwadzieścia dwa lata? Wyglądasz na mniej".

Rzeczywistość jest nieuchwytna, rozproszona, wieloimienna. Ludzie żyją w tym samym miejscu i jednocześnie w wielu różnych światach. Wydaje się, że nawet słowo „kryzys" się zużyło, nikogo nie mobilizuje, co najwyżej powoduje delikatny skurcz serca. „Jeszcze Polska nie zginęła...", to zaś znaczy, że nie zginie również i teraz, a o cenę tego przetrwania nie warto pytać. Kiedy „kryzys" zakrywa się „narodem", żadna cena nie wydaje się zbyt wysoka. Polska jako piec, w którym się pali czymkolwiek, jako płot z drutu kolczastego, jako rzeka pełna martwych ryb...

Na szczęście jest ta dziewczynka, jej głos wśród nocnej beztroski. Przypomina o czymś tak ważnym, że może nie ma na to nawet odpowiedniego słowa. Przynajmniej w tej chwili. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **TRÓJMIASTO**, piątek 4 listopada, spotkanie z Marcinem Mogielskim OP, „ I co ja robię tu... o dojrzałości, inkluzywności, chrześcijaństwie w praktyce życia" / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 7 listopada, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa", cykl „Wspólne czytanie"/ online /
- **TRÓJMIASTO**, czwartek 10 listopada, spotkanie z Basilem Kerskim, „Gdańsk, Bagdad, Berlin – oblicza (mojej polskiej) tożsamości (i solidarności)" / hybrydowe /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

NIELEGAŁOWIE SĄ WŚRÓD NAS

GENERAŁ RADOSŁAW KUJAWA, BYŁY SZEF SŁUŻBY WYWIADU WOJSKOWEGO:

Rosyjska armia nie wraca do koszar. Myślenie w kategoriach dywersji jest trwałym elementem funkcjonowania jej zaplecza. Także w Europie.

BEN STANSALL / AFP / EAST NEWS

MARCIN ŻYŁA: Skruszał obraz potęgi Moskwy na Zachodzie – widzimy słabość jej armii w Ukrainie. Raz, po upadku Związku Sowieckiego, nie doceniliśmy już jednak rosyjskiego wywiadu. Znów popełniamy ten błąd?

RADOSŁAW KUJAWA: 2022 to zły rok dla rosyjskiej armii i służb. Jednak lekceważenie ich to błąd i źródło potencjalnych kłopotów.

W demokracji służby specjalne są elementem systemu bezpieczeństwa państwa. W Rosji, państwie autorytarnym, pozostają zasadniczym instrumentem sprawowania władzy, ściśle z nią zintegrowanym. Dostarczają informacje, ale przede wszystkim są – w kraju i za granicą – aktywnym organem wykonawczym. Na olbrzymią skalę angażują się w organizowanie dezinformacji i propagandy.

Jaki jest ich wpływ w Europie teraz, osiem miesięcy po pełnowymiarowej już inwazji na Ukrainę?

Oddzielam wojnę w Ukrainie od celów strategicznych, które Rosjanie stawiają sobie w Europie od dawna: dezintegracji Unii Europejskiej i NATO oraz wypchnięcia stąd Stanów Zjednoczonych. Trzecim celem było do niedawna uzależnienie kontynentu od rosyjskich surowców energetycznych. Osiągnęli to i dziś oczekują z tego korzyści politycznych, chociaż spodziewali się, że ta zależność wymusi na Europie politykę bardziej im sprzyjającą.

W ostatnich latach na światło dzienne wypłynęły metody rosyjskich służb. Wspierały one brexit, szkocki i kataloński separatyzm, finansowały skrajne partie w Europie. Nie tylko prawicowe – we Francji w zasadzie wszystkie ruchy lewicowe są tak samo prorosyjskie, jak partia Marine Le Pen. To pokazuje, że rosyjskie służby nie kierują się ideologią, raczej dobierają odpowiednie instrumenty do konkretnych działań destrukcyjnych.

Sprzyja im wysoka i wciąż rosnąca nieufność społeczeństw Zachodu do instytucji publicznych – to dla nas nowy strategiczny problem i wyzwanie, które obnażyła pandemia.

Wojna zmieniła jednak to, że – wbrew życzeniom Putina – Ameryki w Europie jest więcej.

Instrumenty militarne okazały się nieskuteczne do podporządkowania sobie Ukrainy i zastraszenia Europy. Rosjanie liczą teraz na to, że Zachód i Ukraińcy stracą siły i cierpliwość do tego, żeby stawiać tak skuteczny opór, a ich rządy znajdą się pod presją własnych społeczeństw.

Ma Pan na myśli najbliższą zimę?

Rosja zamierza poddać Ukrainę ciężkiej próbie. Na każdym poziomie: zaopatrzenia w żywność, wydajności służby zdrowia, energetyki, komunikacji i szeroko rozumianej logistyki. Służby specjalne będą odgrywać ważną rolę w realizacji tego zadania. Wierzą, że może to zmienić losy wojny. Nie wiem jednak, czy nie przeceniają znaczenia tych niedogodności dla Ukraińców.

Przed naszą rozmową słuchałem w II programie radia BBC popołudniowej audycji z telefonami od słuchaczy. Ten program jest jak stetoskop przyłożony do brytyjskiego społeczeństwa. Dzwoniący przez godzinę opowiadali o tym, że nie stać ich na ogrzewanie mieszkań,

Brytyjskie służby przy ławce, na której znaleziono Siergieja Skripala i jego córkę po próbie otrucia nowiczokiem, Salisbury, marzec 2018 r.

i że z tego powodu rezygnują z pracy zdalnej. Narzekali na koszty wojny w Ukrainie.

Uderzenie w „cierpliwość społeczną" może być nieskuteczne w przypadku Ukrainy, ale jest w stanie przynieść oczekiwany skutek na Zachodzie.

Mówi pan o Wielkiej Brytanii – państwie, które odrobiło lekcję po zamachach na Litwinienkę czy Skripala i przeanalizowało własne błędy popełnione w stosunkach z Rosją. A w kluczowych krajach Europy nie doszło wówczas do takiej refleksji. W sierpniu 2019 r. w berlińskim parku Tiergarten rosyjskie służby zamordowały Gruzina, weterana wojny czeczeńskiej. To wydarzenie zostało jednak w Niemczech wypchnięte z głównej narracji i nie wpłynęło na osłabienie współpracy z Rosją. Dopiero w tym roku doszło tam do analizy popełnionych błędów.

Myślę też o reakcjach społecznych – nawet po inwazji na Ukrainę większość platform cyfrowych w Europie transmitowała RT, propagandową telewizję Kremla [dawniej Russia Today – red.]. Tak jakby tamtych społeczeństw zagrożenie rosyjską wojną informacyjną w ogóle nie dotyczyło.

Rosja to egzystencjalny wróg Zachodu?

Tu bardziej adekwatny jest inny opis. Demokracja – w tym wolność mediów i sądów – godzą w fundamenty rosyjskiej polityki na całym obszarze postsowieckim. Kreml może gwarantować sobie wpływy tylko tam, gdzie za partnerów ma reżimy autorytarne. Zachód jest źródłem ideologii groźnej dla rosyjskiej władzy.

To w sposób naturalny wiedzie do konfrontacji. Rosja nie jest w stanie jej sprostać, więc próbuje zdestabilizować Europę, z dużym zaangażowaniem służb specjalnych. To, że musimy uważać ją za wroga, wynika z tego, że jest gotowa wywołać barbarzyńskie wojny, aby chronić reżim w Moskwie.

Rosja ma w Europie dwa ważne państwa „do zdobycia". Pierwsze z nich to Niemcy.

Przypadek niemiecki to paradoks. Najbardziej antyrosyjską siłą w tym państwie są dziś Zieloni – ugrupowanie wywodzące się z „ruchu pokojowego" lat 80. XX w., którego genezą był sprzeciw wobec elektrowni jądrowych i wobec rozmieszczania w Europie Zachodniej amerykańskich rakiet średniego zasięgu. Pacyfistów wspierały wówczas sowieckie pieniądze. Teraz najciekawsze jest jednak rozejście się tradycyjnych przekonań elit Zielonych z jej nowymi młodszymi wyborcami, którzy istotę kryzysu w Europie rozumieją nieco prościej. Dlatego tak trudno przełożyć na racjonalne argumenty np. spór o utrzymanie w ruchu ↦

↦ kilku ostatnich niemieckich reaktorów jądrowych.

Dwie skrajne partie – prawicowa Alternatywa dla Niemiec i lewicowa Die Linke – opierają się na zupełnie odmiennych programach, ale spotykają się w dwóch punktach: geograficznie na terenie byłej NRD oraz w polityce zagranicznej, tu w przychylności wobec Rosji. Nie mam wątpliwości, że u źródeł tego tkwi wysoki stopień spenetrowania przez służby rosyjskie. Służbom, zresztą nie tylko Kremla, najłatwiej operować w środowiskach skrajnych, antysystemowych, które cechuje łatwość niefrasobliwego sięgania po pieniądze i brak ostrożności w relacjach z „rozumiejącymi ich troski" zagranicznymi partnerami.

Drugim „celem" Rosji jest Francja.

Tu tło jest inne. Wynika z mrzonek Francuzów o przewodzeniu Europie „uwolnionej" od wpływów Stanów Zjednoczonych. Są to aspiracje z innej epoki. Francja nie ma potencjału ekonomicznego, politycznego i militarnego, żeby pełnić taką rolę. Nie stać jej na armię, która mogłaby zapewniać bezpieczeństwo kontynentowi. Społeczeństwo się anarchizuje i jest podatne na populizmy wszelkich barw.

Myślę, że centrowe elity uczestniczące w sprawowaniu władzy dawno to zrozumiały i są teraz w rozkroku. Emmanuel Macron wprawdzie lawiruje w swojej narracji o wojnie pomiędzy sprzecznymi – często prorosyjskimi – nastrojami swoich wyborców, prowadzi jednak politykę wspierania Ukrainy.

Rosyjskie służby inspirują niedawne strajki we francuskim sektorze paliwowym i w energetyce jądrowej?

Warto sobie zadawać takie pytanie, chociaż nie mamy instrumentów do poszukiwania odpowiedzi. Fakt faktem, że to te strajki uderzają w spokój społeczny we Francji, a nie wojna w Ukrainie. Francja nigdy nie była znaczącym odbiorcą gazu i ropy z Rosji, ma też niezależną od zewnętrznych dostawców energetykę.

Wracając jeszcze do poprzedniego pytania: Paryż i Berlin są ważnymi ogniwami wspólnej polityki przeciwstawiania się Rosji. Warto to traktować jako wartość i pamiętać o historycznym kontekście. Zmiany w polityce energetycznej, uderzającej w interesy Rosji, dokonał przecież Olaf Scholz, kanclerz z SPD, partii, która przez lata prowadziła politykę bezkrytycznie prorosyjską. Prezydent Frank-Walter Steinmeier przeprosił za to, że był jednym z jej autorów i adwokatem projektów Nord Stream. Obaj zadeklarowali zwrot. To fundamentalna zmiana. Należy ją doceniać i zabiegać o jej trwały charakter.

W Europie są też takie kraje jak Bułgaria, Włochy czy Austria, gdzie prowadzenie polityki proukraińskiej jest wyzwaniem. Węgry są *de facto* w obozie prorosyjskim – wspierają autorytarny reżim, który rozpoczął agresywną wojnę z demokratycznym sąsiadem.

> Bywa, że osoba związana z wywiadem nie demonstruje antyeuropejskich czy antyukraińskich poglądów. **Jest szkolona, co robić i mówić, żeby nie wzbudzać podejrzeń.**

Kilka dni temu zdymisjonowano szefa niemieckiej agencji cyberbezpieczeństwa BSI – „przypomniano sobie", że kilkanaście lat temu, zanim objął państwowe stanowisko, miał kontakty z firmą powiązaną z KGB. Nikt nie twierdzi, że był rosyjskim szpiegiem. Wraca jednak pytanie: ilu wysoko postawionych urzędników w Niemczech może być pod rosyjskim wpływem?

Obawiam się, że osób, które są tam uzależnione od rosyjskich pieniędzy – przekazywanych często w zakamuflowanej formie – jest dużo. Tak dużo, że precyzyjne opisanie rosyjskiej penetracji gospodarki, polityki, mediów może być niewygodne – z różnych względów – dla wszystkich partii politycznych.

Proszę zwrócić uwagę na to, że nawet ogłoszony w Wielkiej Brytanii w 2021 r. raport Izby Gmin o rosyjskich wpływach w państwie zawiera tajną, nieopublikowaną część. Oczywiście, można go było utajnić z różnych powodów, np. aby nie odsłaniać rozległej wiedzy brytyjskiego kontrwywiadu. Ale przesłanką ku temu może być też fakt, że publiczna wiedza o rosyjskiej aktywności okazałaby się niszcząca dla klasy politycznej.

Chyba jednak trzeba o tym mówić?

Starcie z rosyjskim wywiadem jest zawsze asymetryczne, zwłaszcza wtedy, gdy nie jest on traktowany jako zagrożenie. W Niemczech przez lata panowało założenie, że Rosjanie są partnerami, nie tylko w biznesie. Cele gospodarcze obu państw uzupełniały się nawzajem. Budowano infrastrukturę przesyłową, Rosnieft miał udziały w niemieckich rurociągach i rafineriach, Gazprom kontrolował magazyny gazu. Konstruowanie powiązań operacyjnych przez służby rosyjskie na tej bazie było na pewno intensywne.

W Polsce od lat trwa rozmowa o rosyjskiej agenturze.

Od tzw. afery Olina [oskarżenia w 1995 r. premiera Józefa Oleksego o kontakty z rezydentami KGB w Polsce – red.] stosunek do obcowania z Rosjanami zmienił się zasadniczo. Wcześniej w relacjach z nimi żyliśmy na gruzach RWPG i Układu Warszawskiego. Mieli wielu kolegów w polskich ośrodkach władzy, rozbudowane relacje w przemyśle, mediach, na uczelniach.

Sygnał, który wtedy popłynął, był ostrzeżeniem i miał znaczenie edukacyjne. Oczywiście, Rosjanie nadal realizowali działania wywiadowcze w Polsce. Mieli jednak dużo mniejsze możliwości operacyjne, bo rosyjski biznes niemal u nas nie istniał. Przez lata pracy w polskim wywiadzie, także jako szef Służby Wywiadu Wojskowego, nie miałem wątpliwości, że zagrożenie ze strony Rosji było zawsze traktowane poważnie przez polityków.

A dziś jakie wpływy ma w Polsce Kreml?

Trzeba rozdzielić przypadki aktywności wynikającej bezpośrednio z rosyjskiej inspiracji od tych, gdy, świadomie bądź nie, kreowane są korzystne dla Rosji zdarzenia. Jeśli dziś ktoś przyjmuje narrację antyunijną, antynatowską, antydemokratyczną czy ograniczającą swobody obywatelskie, niekoniecznie robi to dlatego, że jest opłacany przez rosyjski wywiad. Ale to w sposób oczywisty działa na korzyść Rosji.

Natomiast – w dużym uproszczeniu – działania operacyjne wywiadu polegają na tym, że np. w danym środowisku czy instytucji usytuowana jest jedna, może dwie osoby prowadzone przez służby. Dostarczają informacji, które są istotą działa-

nia wywiadu, ale też odgrywają kompleksowo destrukcyjną rolę: oddziałują negatywnie na konkretne plany czy przedsięwzięcia, kreują korzystne dla Rosji sytuacje, wspierają rosyjską narrację i argumentację. Analizy wymaga dziś aktywność środowisk, które przez ostatnie lata podważały współpracę polsko-amerykańską czy zdolność NATO do niesienia nam pomocy, wskazywały na nasze osamotnienie w konfrontacji z Rosją, a konsekwencją takiej diagnozy miała być konieczność uwzględnienia dominującej pozycji Rosji w naszej części Europy.

Oczywiście to tylko fragment rzeczywistości. Bywa, że osoba związana z wywiadem, aby się zakamuflować, nie demonstruje antyeuropejskich czy antyukraińskich poglądów. Jest szkolona, jak ma się zachowywać, co ma robić i mówić, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Jak wszędzie, wdzięcznym polem są środowiska skrajne, antysystemowe, ale także ludzi sfrustrowanych i bez pieniędzy, w trudnej sytuacji życiowej, lecz z aspiracjami. Ponadto każda sytuacja, w której osoba znajdująca się w zainteresowaniu służb dopuszcza się przestępstw, upraszcza zadanie rosyjskim służbom.

Podczas konferencji bezpieczeństwa w Aspen szef brytyjskiego wywiadu MI6 Richard Moore podał przykład modelowego wychwycenia „uśpionego" rosyjskiego agenta, który wrócił do działania w momencie i w miejscu, w którym Kremlowi było to potrzebne. Chodzi o Pabla G. – hiszpańskiego dziennikarza, zatrzymanego przez Polaków w Przemyślu cztery dni po lutowej inwazji Rosji na Ukrainę. Czy w Polsce mamy więcej tzw. nielegałów – latami żyjących wśród nas, uruchamianych we właściwym momencie przez Rosję?

Jestem pewien, że tacy ludzie są wśród nas. Wśród zachodnich wywiadów po zakończeniu zimnej wojny panowało przekonanie, że budowanie tego typu agentury jest niezwykle kosztowne, wymaga długotrwałych i pracochłonnych przedsięwzięć, szkoleń i budowania legendy, a w czasach otwarcia granic, internetu, łatwego dostępu do informacji, ich przydatność będzie ograniczona.

Bo to nie tylko koszty, także ryzyko.

Takich osób nie chroni immunitet dyplomatyczny. Właśnie żeby zminimalizować ryzyko, cały proces przygotowania dokumentów, szkolenia, tzw. łącznikowania „nielegałów" wymaga tak wielu przedsięwzięć, które absorbują siły i środki.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

RADOSŁAW KUJAWA (ur. 1965) jest emerytowanym generałem brygady. W latach 80. działacz opozycji demokratycznej we Wrocławiu, od początku III RP związany z polskim wywiadem – służył w Urzędzie Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu, a w latach 2008-15 był szefem Służby Wywiadu Wojskowego. Jest jednym z kilkunastu Polaków, których po Majdanie, aneksji Krymu i rozpętaniu wojny w Donbasie Rosja objęła swoimi sankcjami wizowymi, będącymi odpowiedzią na sankcje unijne.

Na Zachodzie uważano więc, że to się nie opłaca. Ale Rosjanie nigdy tego przekonania nie podzielali i nie zaniechali plasowania takiej agentury. Ostatnie dziesięciolecia to czas intensywnej aktywności międzynarodowej Rosjan, co ułatwiało wiele działań o charakterze operacyjnym. Byli aktywni biznesowo na Zachodzie, powiązani rodzinnie z obywatelami innych państw, co umożliwiało zacieranie rosyjskich śladów czy budowę nowych tożsamości. Służby rosyjskie wykorzystywały np. grupę ludzi mówiących bezbłędnie po hiszpańsku – do niedawna Ameryka Łacińska była miejscem, gdzie nikt nie szukał rosyjskich tropów.

Nic nie wskazuje na to, że Polska była przez nich traktowana inaczej. Przeciwnie: jesteśmy sąsiadem, członkiem NATO, państwem uznawanym przez Kreml za przeciwnika. Budowa i utrzymywanie siatki „nielegałów" są pożądane i naturalne z rosyjskiego punktu widzenia.

Domyślam się, że pogranicze z Ukrainą, Polska południowo-wschodnia, okolice lotniska w Jasionce pod Rzeszowem to naturalny teren działania rosyjskiego wywiadu?

Geografia jest dziś nieco wtórna. Czasy się zmieniły o tyle, że obraz z terenu jest łatwiejszy do uzyskania, bardzo dużo widać np. ze zdjęć satelitarnych, masa informacji jest w mediach społecznościowych. Informacja nie jest przypisana do miejsca. Pożądanym źródłem obcego wywiadu jest np. polski dziennikarz czy bloger, który może próbować dotrzeć wszędzie, nie wzbudzając podejrzeń. Wciąż cenne są inne informacje, np. monitorowanie środków łączności wojskowej, którymi się posługują polskie czy natowskie wojska na tym obszarze. Część z tych działań niekoniecznie trzeba przeprowadzać półtora kilometra od Rzeszowa. To obniża znaczenie szpiega czającego się w krzakach z aparatem.

Po naszej stronie konfliktu obywatelski biały wywiad to m.in. domena portalu Bellingcat, który zasłynął z udowodnienia, że wyrzutnia rakiet Buk, z której w lipcu 2014 r. zestrzelono pasażerskiego boeinga nad Ukrainą, przyjechała tam prosto z bazy w Rosji.

Śledztwo w sprawie lotu MH-17 było ich imponującą pracą wykonaną całkowicie przy użyciu otwartych źródeł. Przy okazji tamtej tragedii: z zawodowego punktu widzenia mogę powiedzieć, że nigdy nie było żadnych wątpliwości co do tego, że zrobili to Rosjanie. Dla naszych służb ciekawe było natomiast, co robili, aby to zakamuflować. Na Zachodzie dopiero niedawno nauczyliśmy się mówić dosadnie na temat polityki Rosji. Cezurą nie był ani atak na Gruzję w 2008 r., ani zajęcie Krymu w 2014 r.

W 2018 r. w Salisbury w Anglii agenci GRU usiłowali zamordować bronią chemiczną – nowiczokiem – Siergieja Skripala. Cztery lata wcześniej w Czechach wyleciał w powietrze skład amunicji – to również sprawka rosyjskich służb...

...do tego dochodzi wspomniane już zabójstwo w Berlinie, próba zamachu stanu w Czarnogórze jesienią roku 2016...

...oraz, rok wcześniej, usiłowanie zabójstwa bułgarskiego handlarza bronią Emiliana Gebrewa. Dużo tego. ↦

↦ Rosyjska armia nie wraca do koszar. Pozostaje na wojnie non stop – w Czeczenii, Gruzji, Syrii czy Ukrainie. Myślenie w kategoriach dywersji militarnej jest trwałym elementem funkcjonowania jej zaplecza – także w Europie. Nie zdajemy sobie w pełni sprawy np. ze skali aktywności rosyjskich grup dywersyjnych, które się uaktywniły w pierwszej fazie ataku po 24 lutego w Ukrainie. Miały one m.in. odegrać olbrzymią rolę w opanowaniu Kijowa, ale też na południowym odcinku frontu.

Czy w europejskich państwach NATO faktycznie działa osławiona jednostka nr 29155 GRU, wyspecjalizowana w dywersji i sabotażu?

To nie jest tak, że w Oslo czy Bratysławie w wynajętych mieszkaniach żyją podoficerowie GRU, trzymając w piwnicy skrzynię z uzbrojeniem i czekając na rozkazy z Moskwy. Przygotowania operacji dywersyjnej to dwa osobne projekty: rozmieszczenie sprzętu i przerzucenie ludzi. Można to robić w przeróżny sposób. Przykładem był tu zamach w Salisbury. Teraz Rosjanom jest trudniej, ale ciągle to potrafią. Proszę pamiętać, że w tym świecie służb jest duża łatwość posługiwania się przeróżnymi dokumentami i tożsamościami.

Zdziwiłbym się, gdyby wśród Rosjan, którzy uciekali przed mobilizacją, służby nie umieściły swoich agentów.

Wywiady zawsze wykorzystują fale migracyjne zarówno do długofalowego plasowania aktywów operacyjnych, ale też po to, żeby zbadać procedury, jakie obowiązują wobec ich obywateli w państwach docelowych. To rutyna działalności wywiadowczej i część rzemiosła.

Z punktu widzenia FSB istotne jest zabezpieczenie sobie możliwości penetracji przyszłej diaspory rosyjskiej na Zachodzie. W Europie powstają przecież nowe grupy opozycyjne – będą one oczywistym celem dla służb rosyjskich.

Gdyby w Polsce doszło do incydentu, który wymagałby zaangażowania obrony cywilnej, sądzi Pan, że polskie instytucje zadziałałyby tak dobrze, jak brytyjskie w pierwszych godzinach po ataku w Salisbury?

Brytyjski kontrwywiad MI5 jest mniej liczny od polskiego, a jego praca w znacznie większym stopniu opiera się na współpracy z policją i innymi instytucjami związanymi z sektorem bezpieczeństwa. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wykonuje większość działań samodzielnie, więc reakcja na zdarzenie podobne do tego z Salisbury wyglądałaby u nas zupełnie inaczej. Czy byłoby w nim miejsce na cywilny system zarządzania kryzysowego? Szczerze mówiąc, on w Polsce funkcjonuje w nieokreślonej szarej strefie między służbami specjalnymi, wojskiem a policją.

Skupiłbym się więc na edukacji i przygotowaniu do zdarzeń o charakterze dywersyjnym. Jako społeczeństwo mamy też do odrobienia ważną lekcję na temat nowych zagrożeń, jakie są przed nami – bez względu na wynik wojny w Ukrainie. Chodzi mi głównie o działania dezinformacyjne. Mogą je skutecznie zwalczać wyłącznie wiarygodne instytucje państwa. Bezpieczeństwo zewnętrzne powinno być obszarem wyłączonym z politycznych sporów, ale zdaję sobie sprawę, że to mocno naiwny postulat.

A jako obywatel, czy powinienem być bardziej czujny?

Nie da się przygotować poradnika kontrwywiadowczego dla wszystkich. Co innego doradza się dziś urzędnikowi, który z racji obowiązków ma wiele kontaktów w świecie polityki, biznesu czy dyplomacji. Zupełnie inaczej wygląda rozmowa np. z menadżerem w spółce energetycznej. Jeszcze inaczej z oficerem wojska. To odmienne katalogi zagrożeń, inne procesy szkolenia. Do poszczególnych grup należy kierować odmienne przekazy.

A dziennikarze? No cóż... Reprezentuje pan zawód od stuleci stanowiący z jednej strony pożądaną „instytucję przykrycia" dla służb, z drugiej zaś środowisko to jest wdzięcznym obiektem do pozyskiwania agentury. Bycie czwartą władzą – na ogół niedofinansowaną i, w przeciwieństwie do trzech pozostałych, pozostającą poza kontrolą – niektórych pozytywnie motywuje, a innych demoralizuje. Odkryli to politycy – i służby też.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

LONG WEI / AP / EAST NEWS

Cała władza w ręce wodza

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Los Chin zależy teraz od woli jednego człowieka. Na jego konto idą sukcesy kraju, jak i błędy, które mogą ściągnąć nieszczęście na wszystkich.

Chińskie władze lubią polityczne inscenizacje. Wprawdzie trzecia z kolei kadencja dla przywódcy kraju Xi Jinpinga była przesądzona od momentu, gdy w 2018 r. zmieniono konstytucję – likwidując wcześniejsze ograniczenie w piastowaniu tej funkcji do dwóch kadencji – ale fakt ten ogłoszono dopiero na dzień po zakończeniu XX kongresu Komunistycznej Partii Chin, obradującego w Pekinie między 16 a 22 października. Chodziło o zachowanie pozorów, że wybór Xi stanowi efekt deliberacji w gronie 2,3 tys. delegatów, reprezentujących z kolei blisko 100 mln członków partii w całym kraju.

TEATRALNOŚĆ KONGRESU, podczas którego „stemplowano" jedynie także inne podjęte wcześniej decyzje, została jednak zakłócona. Ostatniego dnia obrad wyprowa-

Przemówienie Xi Jinpinga zamykające kongres KPCh, emitowane na ulicach chińskich miast. Hangzhou, 23 października 2022 r.

dzono zza stołu prezydialnego poprzedniego przywódcę kraju Hu Jintao, najwyraźniej wbrew jego woli (szefem partii był w latach 2002-12, a szefem państwa – 2003-13; po nim nastał obecny lider).

Nawet jeśli, jak później twierdzono, Hu tylko źle się poczuł, to wymowa tej sceny jest symboliczna: kończy się model władzy wypracowany przez ojca chińskich reform Deng Xiaopinga. Deng, lider w latach 1978-89, zainicjował reformy społeczne i gospodarcze oraz zgodził się na relatywne otwarcie kraju na świat. Zalecał także, by unikać długich rządów jednego człowieka. Przywódcy mieli odchodzić po 10 latach urzędowania i już na początku swojej drugiej pięcioletniej kadencji wyznaczać następcę. Dziś takiej osoby na horyzoncie nie widać – jasny sygnał, że 69-letni Xi Jinping jeszcze długo nie wybiera się na emeryturę.

Deng podkreślał też zalety kolektywnego sposobu rządzenia, kiedy ucierają się poglądy różnych frakcji. Tymczasem Xi, nierzadko pod pretekstem walki z korupcją, wycina wszystkich swoich konkurentów, obsadzając ich miejsca osobami wobec siebie lojalnymi.

WIDAĆ TO RÓWNIEŻ po nowym składzie Komitetu Stałego Biura Politycznego KPCh, który stanowi najwyższy decyzyjny organ władzy. Do siedmioosobowego gremium wprowadzono czterech nowych członków i wszyscy to zaufani ludzie Xi. Wśród nich jest Li Qiang, dotąd szef partii w Szanghaju, który obejmie tekę premiera.

Z pozostałej trójki, która zachowała stanowiska, na uwagę zasługuje „mózg tronu" Wang Huning, stojący za koncepcją centralizacji władzy. W praktyce to oznacza, że Xi Jinping jest nie tylko głową państwa, ale także mędrcem i pierwszym nauczycielem kraju. Konstytucja zawiera już „myśl Xi Jinpinga", teraz otrzymuje on także „rdzeniowy status" w Komitecie Centralnym.

Jeśli obecny wizerunek wodza nie wypełnia jeszcze kryteriów kultu jednostki, to na pewno kojarzy się z omnipotencją i brakiem alternatywy. Coraz rzadziej słychać też o „wujaszku Xi" (chin. Xi Dada), jak nazywano wodza za jego pierwszej kadencji – w tamtych latach bywało, że Xi ustawiał się w kolejce po pierożki i podwijał nogawki, by na własnych nogach pokonać uliczne kałuże.

OPRÓCZ WALKI Z KORUPCJĄ Xi legitymizował dotąd rosnący autorytaryzm poprawą warunków życia w Chinach. Przez dekadę zarobki podwoiły się, kilkadziesiąt milionów ludzi wyszło z biedy, a wielkomiejską klasę średnią zdawał się satysfakcjonować nieformalny pakt z władzą, funkcjonujący na zasadzie: my nie politykujemy, a wy pozwalacie nam się bogacić i zostawiacie nasze prywatne życie w spokoju.

Ostatnio jednak na chińskim modelu gospodarczym pojawiać zaczęło się coraz więcej rys. Znamienne, że na czas kongresu wstrzymano publikację danych o wzroście PKB. Od wielu miesięcy są one słabe – to efekt pandemicznych lockdownów, forsowanych przez Xi w ramach strategii „zero covid".

Problemy ekonomiczne wychodzą jednak poza doraźność: pogłębia się kryzys na rynku nieruchomości, rośnie zadłużenie wewnętrzne, a bezrobocie wśród młodych sięga 20 procent. Zasadne jest pytanie o całokształt polityki gospodarczej, która pod obecnym przywództwem faworyzuje sektor państwowy i zacieśnia kontrolę nad prywatną inicjatywą. Oficjalnie ma to równoważyć rozwój w duchu „wspólnej pomyślności", jednak w praktyce widać rosnącą infiltrację społeczną przez władze.

Xi Jinping czerpie też poparcie z nacjonalizmu. Mówi o „burzliwych wodach" wokół ojczyzny, o konieczności zjednoczenia narodu i wystrzegania się wszelkich głosów sprzeciwu. W ramach przygotowań do kongresu aresztowano więc ponad milion osób (*sic!*) w całym kraju i zaostrzono cenzurę internetu. Podczas mowy otwierającej kongres wódz aż 26 razy użył słów „bezpieczeństwo narodowe". Nazwy żadnego kraju nie wymienił, ale wiadomo: chodzi głównie o konfrontację z USA. Tym bardziej że tuż przed kongresem Stany Zjednoczone zablokowały sprzedaż Chinom półprzewodników. To „atomowy cios" dla rozwoju chińskich technologii przyszłości, który zwiastuje zapewne dalsze pogorszenie obustronnych relacji.

WOBEC TAJWANU Xi odwołał się do znanej formuły: mówił, że Pekin chce jego pokojowego przyłączenia do macierzy, ale „nigdy nie wyrzeknie się możliwości użycia siły". Ten ostatni fragment wzbudził największy aplauz wśród delegatów. Groźba konfliktu zbrojnego w tej części świata zatem nie maleje. Dłuższe rządy stanowić wręcz mogą dla Xi dodatkową presję, by rozwiązać „kwestię tajwańską". Z drugiej strony prezydent Joe Biden otwarcie deklaruje dziś gotowość do militarnej obrony wyspy, gdyby Chiny ją zaatakowały.

Tak czy inaczej, los Państwa Środka zależy teraz od woli jednego człowieka. Na jego konto idą sukcesy kraju, jak i błędy, które ściągnąć mogą nieszczęście na wszystkich. Przestrzegał przed tym Deng Xiaoping, odwołując się do ekscesów (mówiąc oględnie) Mao, ojca-założyciela ChRL i sprawcy licznych zbrodni na własnym narodzie.

Rozumiał to także Hu Jintao, który – upokorzony na oczach kraju i świata – został usunięty z obrad kongresu. ©

Rycerz Jedi na Downing Street

PATRYCJA BUKALSKA

Rishi Sunak został nowym premierem Wielkiej Brytanii. Jego polityczna kariera jest spektakularna, ale obejmuje on stanowisko w wyjątkowo trudnym momencie.

Przed dwoma laty to zdjęcie obiegło media: ówczesny minister finansów Rishi Sunak zapala „dipa", lampki oliwne na progu swojego domu przy Downing Street 11. Tam mieszka, tuż obok siedziby premiera przy Downing Street 10.

Zapalenie lampek przy wejściu do domu to tradycja związana z diwali, świętem światła, obchodzonym przez wyznawców hinduizmu. Sunak podkreśla często, jak ważna jest dla niego wiara, i że hinduizm to część jego tożsamości, z której jest dumny.

Tamto święto odbywało się w ramach pandemicznych restrykcji, bez spotkań z bliskimi. W tym roku diwali, symbolizujące zwycięstwo światła nad ciemnością, dobra nad złem i wiedzy nad ignorancją, nabrało dla brytyjskich hinduistów dodatkowej wagi: Sunak właśnie wprowadził się na Downing Street 10. Ma 42 lata i jest najmłodszym brytyjskim premierem od końca XVIII w. Jest też pierwszym premierem pochodzącym z mniejszości etnicznej (indyjskiej) i wyznawcą hinduizmu.

DYMISJA ZA DYMISJĄ | Sunak obejmuje urząd w szczególnym momencie: w lipcu wymuszoną rezygnację złożył Boris Johnson, a Liz Truss, która zastąpiła go na początku września, musiała ustąpić po 45 dniach. Johnson odszedł po serii skandali, ale kroplą, która przelała czarę, była dymisja złożona właśnie przez Sunaka, wtedy ministra finansów – wywołała ona lawinę rezygnacji kolejnych ministrów i członków gabinetu Johnsona.

Truss też została do dymisji zmuszona – po ogłoszeniu nieprzemyślanego i źle przyjętego przez rynki planu fiskalnego. Straciła autorytet w partii, a partia poparcie (dziś torysi mogą liczyć na 19 proc. głosów; opozycyjna Partia Pracy aż na 56 proc.).

Wyboru kolejnego po Truss przywódcy Partii Konserwatywnej, a zarazem premiera, tym razem dokonano błyskawicznie, w kilka dni – zdecydowali posłowie, a nie jak wcześniej wszyscy członkowie partii. Sunak okazał się jedynym kandydatem, który zebrał więcej niż wymagane minimum sto głosów. W ostatniej chwili z kandydowania wycofał się Johnson, który najwyraźniej się przeliczył, myśląc o powrocie.

Za sprawą tego serialu katastrof w Partii Konserwatywnej kraj jest od dłuższego czasu w stanie turbulencji. Tymczasem problemy narastają. Najważniejsze to wysokie ceny energii, rosnące koszty utrzymania i inflacja, a także kolejki do lekarzy i impas w sprawie Protokołu Irlandzkiego. Sytuację pogorszyły ostatnio niefortunne decyzje premier Truss o cięciach podatkowych – już zresztą wycofane.

„JA TO NAPRAWIĘ" | W pierwszej przemowie po nominacji Sunak przyznał, że „popełniono błędy", zapewnił też, że jego rząd będzie cechować „uczciwość, profesjonalizm i odpowiedzialność na każdym poziomie". Jednak gdy ogłosił skład gabinetu, oburzeni posłowie opozycji wskazywali, że trudno mówić o szanowaniu zasad, gdy na stanowisko szefowej MSW Sunak przywrócił Suellę Braverman – zdymisjonowaną przez Truss zaledwie sześć dni wcześniej za naruszenie zasad bezpieczeństwa (chodziło o wysłanie poufnych informacji z prywatnego adresu mailowego).

Spór wokół Braverman, zwolenniczki kontrowersyjnych planów odsyłania do Rwandy migrantów nielegalnie dostających się do Wielkiej Brytanii, jest sporą łyżką dziegciu w pierwszych dniach rządów Sunaka i szybko raczej nie wygaśnie.

Sądząc jednak po badaniach opinii prowadzonych przez YouGov, nowy premier – trzeci w ciągu dwóch miesięcy – może uważać swój start za udany. Brytyjczycy postrzegają go jako kompetentnego, zdecydowanego i pracowitego. Niespełna 30 proc. obawia się, że będzie złym szefem rządu – to lepszy wynik niż Truss, w której powodzenie nie wierzyła ponad połowa ankietowanych. Prawie 70 proc. sądzi, że Sunak poradzi sobie lepiej niż jego poprzedniczka, a 41 proc., że lepiej niż Johnson.

CIĄĆ CZY NIE CIĄĆ | Sunak ma więc spory kredyt zaufania, ale też trudne decyzje przed sobą. Planowane na koniec października oświadczenie budżetowe przesunięto na połowę listopada i dopiero wtedy będzie wiadomo, czy i jak będzie kontynuowany program pomocowy dla gospodarstw domowych (zapowiedziany przez Truss w związku ze wzrostem cen energii) oraz jak będzie wyglądać obiecana waloryzacja emerytur i podwyżki zasiłków.

Spodziewane są cięcia budżetowe, ale Sunak w inauguracyjnym przemówieniu podkreślił, że nie braknie mu współczucia. „Widzieliście mnie w czasie pandemii, gdy robiłem wszystko, co w mojej mocy, by ochronić ludzi i firmy" – mówił, przywołując swój rzeczywiście efektywny program opłacania przez państwo znacznych części pensji pracowników w tamtym czasie. Ale nie zapomniał dziś dodać: „Choć zawsze są jakieś granice, teraz bardziej niż kiedykolwiek".

W pierwszych dniach urzędowania Sunak potwierdził za to, że moratorium na wydobycie gazu łupkowego, które chciała znieść poprzedniczka, będzie utrzymane. Od razu też po nominacji zadzwonił do prezydenta Zełenskiego, zapewniając go, że Ukraińcy nadal mogą liczyć na Wielką Brytanię. „Zawsze będziemy stać ramię w ramię z Ukrainą" – mówił.

OD JEDI DO PREMIERA | Jako dziecko Sunak miał pewien plan na życie – chciał zostać rycerzem Jedi. Fascynacja „Gwiezdnymi wojnami" pozostała mu do dziś.

Jest potomkiem imigrantów, co sam przypomniał w klipie wyborczym. Jego babcia przybyła do Wielkiej Brytanii bez grosza przy duszy. Jego rodzice – ojciec le-

NIKLAS HALLE'N / AFP / EAST NEWS

Rishi Sunak na Downing Street, Londyn, 26 października 2022 r.

karz, matka farmaceutka – ciężko pracowali. Na tyle ciężko, że zapewnili synowi wyjątkową edukację: mały Rishi nawet nie otarł się o szkoły państwowe. Chodził do prywatnych, a ostatnia z nich, Winchester College, to jedna z najstarszych brytyjskich szkół z internatem; czesne wynosi tu kilkadziesiąt tysięcy funtów rocznie. „Moi rodzice wiele poświęcili" – mówił później.

Jego sukces pokazuje więc przełamywanie barier przez mniejszości etniczne. Ale też coś jeszcze: Wielka Brytania jest krajem zróżnicowanym rasowo, tolerancyjnym i otwartym, lecz o ścieżce kariery decyduje przede wszystkim klasa społeczna, a jej wyznacznikiem w znacznym stopniu jest szkoła, do jakiej się trafia.

Na marginesie: rząd Truss był najbardziej zróżnicowanym etnicznie z brytyjskich gabinetów – po raz pierwszy wszystkimi najważniejszymi ministerstwami kierowali nie-biali politycy. Jednocześnie zdecydowana większość ministrów ukończyła prywatne szkoły (gdy w całej populacji to tylko 7 proc.), a jedna trzecia była absolwentami Oksfordu czy Cambridge.

NA SAM SZCZYT | Wracając do Sunaka: na swój sukces pracował ciężko. Po skończeniu Oksfordu zaczął pracę w Stanach Zjednoczonych, w banku Goldman Sachs, potem zaliczył Stanford University, wrócił do Anglii, pracował w funduszach hedgingowych, założył własną firmę. W międzyczasie ożenił się z Akshatą Murty, córką N.R. Narayana Murty'ego, jednego z najbogatszych ludzi Indii. Teraz uważany jest za najbogatszego posła w Izbie Gmin; majątek Sunaków szacuje się na ponad 700 mln funtów.

Polityką Sunak zajął się niedawno – w 2015 r. został wybrany do Izby Gmin, w 2019 r. trafił do gabinetu Johnsona. Szybko awansował i kilka tygodni przed wybuchem pandemii objął resort finansów. W ciągu siedmiu lat wspiął się na polityczny szczyt.

SYN INDII | Objęcie stanowiska brytyjskiego premiera przez polityka pochodzenia indyjskiego wzbudziło w Indiach entuzjazm. Zostało uznane za wydarzenie historyczne i symboliczne: w tym roku Indie, dawna brytyjska kolonia, obchodzą 75-lecie niepodległości. „Syn Indii wznosi się nad imperium. Historia zatoczyła koło" – obwieszczał jeden z kanałów TV. „Od czasu imperium do Raju Rishiego" – pisał „Times of India" [„Raj" to historyczne określenie brytyjskich rządów w Indiach – red.]. „Kolejny dar święta diwali. Rishi z Indii będzie rządził białymi" – to dziennik „Dainik Bhaskar".

W samej Brytanii wagę wydarzenia dostrzegają przedstawiciele mniejszości indyjskiej – także ci, którzy politycznie nie mają z Sunakiem po drodze. „Fakt, że ktoś z korzeniami w Punjabi jest proszony przez króla Karola III o sformowanie rządu, naprawdę rezonuje w naszej społeczności" – mówiła „Washington Post" mieszkająca w Londynie Jagdish Kauer.

Z gratulacjami pospieszyli indyjscy politycy, w tym premier Narendra Modi („Przekształcamy nasze więzi historyczne w nowoczesne partnerstwo"). Jest tu też aspekt polityczny: po brexicie Londyn zabiega o nowe korzystne umowy handlowe. Ta z Indiami, która miałaby trzykrotnie zwiększyć obroty handlowe między obu krajami, miała być podpisana właśnie do święta diwali. Tak się nie stało. Teraz jest nadzieja, że premierowi o indyjskich korzeniach finał negocjacji pójdzie lepiej.

DZIECI IMIGRANTÓW | Liczbę Brytyjczyków indyjskiego pochodzenia ocenia się na półtora miliona; to największa mniejszość. 43 proc. z nich urodziło się już na Wyspach, jak Sunak, 42 proc. w Azji, a ponad 11 proc. we wschodniej Afryce (jak rodzice Sunaka).

Indyjscy imigranci przybyli tu bowiem w dwóch falach: powojennej, gdy odbudowujące się imperium potrzebowało rąk do pracy, oraz w latach 60. i 70. XX w. Ta druga fala pochodziła już nie bezpośrednio z Indii, lecz z terytoriów obecnej Ugandy, Tanzanii czy Kenii, gdzie wcześniej się osiedlili za rządów brytyjskich – stąd zwani byli „podwójnymi imigrantami". Ci imigranci znali już angielski, często byli wykształceni i mieli zasoby finansowe – w Wielkiej Brytanii za rządów Margaret Thatcher wielu z nich odniosło sukces i stało się „modelowymi imigrantami". Z tej fali pochodzi rodzina minister spraw wewnętrznych Suelli Braverman czy jej poprzedniczki Priti Patel – jak na ironię, obie są zwolenniczkami radykalnych metod ograniczania imigracji.

W Wielkiej Brytanii (i nie tylko tam) pracownicy z mniejszości zarabiają zwykle mniej niż biali. Wyjątkiem są Brytyjczycy pochodzenia indyjskiego i chińskiego. Mają oni też lepsze wyniki w szkole, zdobywając potem wyższe wykształcenie. Aż 30 proc. z nich to inżynierowie, prawnicy i nauczyciele; 20 proc. ↦

↦ pracuje w bankowości i finansach. Według oficjalnych danych 74 proc. posiada własny dom, a tylko 7 proc. korzysta z komunalnych lokali (dla porównania: odpowiednio to 68 proc. i 16 proc. białych Brytyjczyków).

Choć więc historia Sunaka przypomina „amerykański sen" – i wiele osób w mediach społecznościowych dało się porwać emocjom, pisząc o „momencie Obamy" – to jest on w znacznym stopniu typowym przedstawicielem mniejszości indyjskiej w Wielkiej Brytanii: dobrze wykształconym, ambitnym, ciężko pracującym, z określonymi priorytetami.

A JEDNAK HISTORIA | W medialnym hałasie celebracji „pierwszego indyjskiego premiera" dało się też słyszeć głosy, że błędne jest szufladkowanie przedstawicieli mniejszości razem bez względu na poglądy i wskazujące, że to za działania Sunak powinien być oceniany, a nie za pochodzenie.

James Wong, znany botanik i prezenter TV, stwierdził, że jako Brytyjczykowi pochodzenia azjatyckiego łatwiej byłoby mu zgodzić się z ludźmi świętującymi wybór nowego premiera, gdyby ten nie zaczął sprawowania urzędu od „1. Pokazania uległości przez stwierdzenie, jak bardzo wdzięczny jest Wielkiej Brytanii za to, że pozwolono mu tu być. 2. Mianowania szefowej MSW, której celem jest upewnienie się, iż innym się na to nie pozwoli". Chodzi o Braverman, która mówiła niedawno, że marzy się jej samolot pełen migrantów odsyłanych do Rwandy. Także Sunak jest zwolennikiem ścisłej kontroli nad imigracją – i zwolennikiem brexitu.

„Większość osób w Wielkiej Brytanii powie, że przynależność etniczna i religijna premiera nie powinna mieć znaczenia. Będą oceniać Sunaka na podstawie tego, czy opanuje chaos w Westminster, uporządkuje finanse publiczne, przywróci polityce uczciwość" – argumentował Sunder Katwala z think tanku British Future (zajmującego się imigracją i tożsamością). I dodał: „Niemniej nie powinniśmy lekceważyć tej ważnej społecznej zmiany. Kiedy Sunak urodził się w Southampton w 1980 r., w całym okresie powojennym nie było ani jednego czarnego czy azjatyckiego parlamentarzysty. Kiedy kończył studia w 2001 r., nie było ani jednego takiego posła w Partii Konserwatywnej".

Teraz stanął na czele państwa.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Uczeń z Ukrainy gra na pianinie przed ambasadą Rosji w Rydze, 1 kwietnia 2022 r.

Ukraińcy integrują się nad Bałtykiem

TOMASZ OTOCKI Z ŁOTWY

Uciekinierzy powoli urządzają się w krajach bałtyckich, Serhij Żadan jest tłumaczony na łotewski. Jesienią ruszyły szkoły i kursy integracyjne, a politycy podkreślają, że są z Kijowem „na śmierć i życie".

Ryga, ulica Bruņinieku, czyli Rycerska. To tutaj znajduje się szpital nr 1 stolicy Łotwy. Stary neogotycki budynek, pięknie odnowiony jeszcze za rządów poprzedniego mera Niła Uszakowa. W tym szpitalu pracuje od końca maja pielęgniarka Julia – w mediach tak jest właśnie określana; nie podaje swojego nazwiska, bo jest, jak mówi, tylko skromną pracowniczką instytucji państwowej.

Julia pochodzi z Sum, przed rosyjską inwazją ćwierćmilionowego miasta w północno-wschodniej Ukrainie, i jest jedną z wielu Ukrainek, które znalazły pracę w łotewskiej służbie zdrowia. Obecnie w tym szpitalu pracuje szesnaścioro jej rodaków: pięciu sanitariuszy, pięciu specjalistów, trzy pielęgniarki, dwóch pomocników lekarza i pracownik działu technicznego.

Julia jest szczęśliwa, bo właśnie zdała swój pierwszy egzamin z języka łotewskiego na poziomie A1. Przyda jej się w pracy. W miniony wtorek 25 października media łotewskie świętowały to „małe zwycięstwo" razem z nią. To cegiełka do procesu integracji w kraju, który dotychczas był podejrzliwie nastawiony do słowiańskich mniejszości.

TOMS KALNINS / EPA / PAP

Szczęśliwych posiadaczy certyfikatów językowych jest zresztą więcej. Można ich odnaleźć na facebookowej grupie „Ukraińcy w Rydze". Według danych z października w niespełna dwumilionowej Łotwie przebywa obecnie 36 tys. obywateli Ukrainy. Za to w sąsiedniej Estonii, liczącej 1,3 mln mieszkańców, jest ich kilkanaście tysięcy więcej.

Opisujemy nasze emocje

Tymczasem po przerwie wakacyjnej znów ruszają kursy języka łotewskiego dla Ukraińców. Oferowane są we wszystkich miastach, nawet w małej Siguldzie.

Natalia Bohatyrenko, która pochodzi z Charkowa, uczestniczy w takim kursie. Jej grupa wystartowała na początku października. – Naprawdę mi się tu podoba. Mamy utalentowaną nauczycielkę Inārę, śpiewamy, uczymy się bajek, wierszy, pogłębiamy naszą wiedzę, opisujemy emocje. W tak trudnej sytuacji zapomnieliśmy o wszystkim, co się działo w Ukrainie – mówi Natalia „Tygodnikowi".

Ināra Vimba, wspomniana przez nią nauczycielka, nie może się nachwalić swojej grupy: – Sześcioro z ośmiorga kursantów zdecydowało się zdawać język łotewski na poziomie A2, wyniki od 80 do 94 proc. – Ināra podkreśla, że nie chce dzielić swoich uczniów na uchodźców wojennych i na tych Ukraińców, którzy przyjechali na Łotwę wcześniej. – Zauważyłam, że priorytetem moich kursantów nie jest uzyskanie certyfikatu, ale kontakty towarzyskie podczas nauki, szacunek i tolerancja dla miejsca, w którym się znajdują. I to zyskują na kursach nie tylko w Siguldzie, ale i innych regionach Łotwy – dodaje nauczycielka.

Zanurzyć się w języku

Języków urzędowych państw nadbałtyckich uczą się nie tylko dorośli. W Tallinnie „stolicy Estonii, na początku września 560 młodych Ukraińców rozpoczęło naukę w Szkole Wolności (est. Vabaduse Kool). Placówka ta, założona przez estońskie Ministerstwo Edukacji i Badań, oferuje naukę w klasach podstawowych oraz gimnazjalnych.

Podczas otwarcia roku szkolnego przemawiała online Ołena Zełenska, żona prezydenta Ukrainy: „Estoński rząd zapewnił wam możliwość nauki. Będziecie mieć lekcje zarówno w języku estońskim, jak i ukraińskim, co oznacza, że wasz język ojczysty i estoński będą szły w parze. To daje wam wolność wiedzy, języka i komunikacji, która sprawi, że cały świat będzie dla was stał otworem".

Szkoła, oferująca naukę metodą tzw. immersji językowej (polega na „zanurzaniu się" w języku, otaczaniu się nim na co dzień), wypełnia wprowadzone w 2004 r. proporcje językowe (początkowo odnosiły się do klas gimnazjalnych rosyjskich szkół mniejszościowych, które obecny rząd Kai Kallas chce przekształcić w szkoły typowo estońskie, o czym latem pisaliśmy w „Tygodniku"). 60 proc. lekcji w klasach gimnazjalnych jest prowadzonych po estońsku, a 40 proc. po ukraińsku.

Politycy rządzącej w Tallinnie koalicji nie mogą się nachwalić. – Już dawno czas przejść na nauczanie w języku estońskim w szkołach rosyjskich. Nie powinno być tak, że uchodźcy z Ukrainy o wiele chętniej uczą się estońskiego niż miejscowi Rosjanie – mówi mi jeden z nich (polityk prosił o anonimowość).

Pieniądze zapewnia państwo

Z kolei na sąsiedniej Łotwie naukę w przedszkolach i szkołach łotewskich rozpoczęło ponad 3 tys. młodych obywateli Ukrainy. Część z nich poszła do ukraińskiej szkoły średniej w Rydze (w stolicy Łotwy funkcjonują także szkoły: polska, litewska, żydowska i estońska), która już nieco pęka w szwach.

Mimo to Baiba Sieceniece, rzeczniczka Wydziału Kultury, Oświaty i Sportu Rady Miejskiej Rygi, uspokaja w lokalnych mediach: „Nie sądzę, żeby obecność dzieci ukraińskich w innych łotewskich szkołach skomplikowała sprawę. Zwłaszcza dzieci w młodszych klasach są zainteresowane tym, aby mieć kolegów i koleżanki z Ukrainy. Język także nie stanowi problemu. Dzieci bardzo szybko się uczą. Szczególnie wakacje były tym czasem, kiedy podgoniły z łotewskim".

Pieniądze na naukę zapewnia państwo, które asygnuje 257 euro na każdego ucznia ukraińskiego (głównie w celu nauki języka łotewskiego). Dodatkowe 50 euro każdy uczeń otrzymuje jako pomoc na zakup materiałów szkolnych.

Populiści nie atakują Ukrainy

Jak dotąd nauka dzieci ukraińskich w szkołach nie wywołuje kontrowersji, podobnie jak sama obecność uchodźców. Na Łotwie nie ma ugrupowania politycznego, które wykorzystywałoby problemy związane z integracją imigrantów z Ukrainy.

Veiko Spolītis – były wiceminister obrony, rekomendowany przez proeuropejską centroprawicową partię Nowa Jedność (1 października wygrała ona wybory do miejscowego Sejmu) – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem", że teoretycznie na ksenofobicznych nastrojach mogłyby w przyszłości skorzystać cztery małe partie, mniej lub bardziej związane z Kremlem. – Problem w tym, że dwie są poza Sejmem, tylko dwie znajdują się w parlamencie – zaznacza Spolītis.

Na razie jednak nikt się nie kwapi do ksenofobicznych gestów czy wypowiedzi, a lider populistycznej partii Łotwa na Pierwszym Miejscu Ainārs Šlesers wyrzucił w marcu ze swojego ugrupowania dwie posłanki, które nie wzięły udziału w ważnym głosowaniu na temat Ukrainy (chodziło o wsparcie dla przyznania jej statusu kraju kandydującego do Unii Europejskiej).

„Rosja to państwo mafijne"

Nieco inaczej jest w Estonii, gdzie od lat działa nacjonalistyczna partia EKRE, w latach 2019-21 współrządząca krajem. Jej przedstawiciele mieli wiele wypowiedzi wymierzonych w Ukraińców. ↦

↦ W ostatnich miesiącach jednak to się zmieniło. – Gdy w radzie miejskiej Tallinna przygotowywaliśmy działania pomocowe dla Ukraińców, żadna partia nie była przeciwko – mówi mi rosyjskojęzyczny wicemer stolicy Estonii Wadim Biełobrowcew, członek Partii Centrum. Biełobrowcew wylicza przy okazji, ile Tallinn zrobił dla Ukraińców.

EKRE nie tylko nie popiera Rosji, ale dała ostatnio swoisty popis w Riigikogu, estońskim parlamencie. Na mocy specjalnej uchwały w połowie października posłowie uznali Federację Rosyjską za państwo terrorystyczne (Łotysze zrobili to już w sierpniu, przy sprzeciwie partii mniejszości rosyjskiej). Tutaj „za" padło 88 głosów, nikt nie głosował przeciwko. EKRE nie tylko przyłączyła się do inicjatywy parlamentarnej większości, ale uznała wręcz, że jest ona za mało radykalna.

„Rosja to państwo mafijne, terrorystyczne" – mówił w rozmowie z dziennikarzami lider nacjonalistów Martin Helme. Zaznaczał, że według niego rezolucja powinna była wziąć pod uwagę także zamknięcie granicy z Rosją, odebranie broni będącej w posiadaniu żyjących tu obywateli rosyjskich (w maleńkiej Estonii żyje ich niemało, bo ok. 100 tys.) i zmniejszenie liczby personelu w ambasadzie Estonii w Rosji. Poprawki nacjonalistów ostatecznie nie przeszły.

Serhij Żadan i inni

Marian Ryży, tłumacz literatury polskiej na język łotewski, ostatnio ma nieco więcej pracy. – Po rozpoczęciu inwazji nad Dźwiną wzrosło zainteresowanie literaturą znad Dniepru, więc z polskiej tematyki przerzuciłem się na ukraińską – mówił mi wiosną tego roku.

Najnowsze osiągnięcia tłumaczy to „Internat" Serhija Żadana, który przetłumaczyła na łotewski Māra Poļakova. A w każdej większej księgarni w centrum Rygi znajdziemy dziś kącik ukraiński.

– Literatura ukraińska jest czasem zaskakująco bliska łotewskiej mentalności, a czasem inna, wielowymiarowa. Tłumaczę również dlatego, że być może właśnie ta literatura pozwala nam zrozumieć, dlaczego Ukraińcy są w stanie odeprzeć rosyjską agresję – deklaruje w rozmowie z „Tygodnikiem" Ryży, Polak z Rygi.

Lina Melnyk, pochodząca z Winnicy, tłumaczy z kolei z łotewskiego na ukraiński. Po inwazji rosyjskiej na Ukrainę przyjechała na Łotwę z matką. Jej życie tutaj początkowo nie było łatwe. – Jestem z zawodu psychoterapeutką, ale na Łotwie musiałam czekać kilka miesięcy na potwierdzenie dyplomu, więc w tym czasie pracowałam jako tłumaczka literacka, zaraz po przyjeździe i po otrzymaniu łotewskiej wizy humanitarnej. Teraz znów pracuję w zawodzie – mówi „Tygodnikowi".

Jak pomóc dziecku

Centrum Dardedze, gdzie zatrudniona jest Lina Melnyk, ogłasza się w internecie. Od końca maja można otrzymać tam bezpłatną pomoc psychologiczną dla dzieci i dorosłych zarówno w języku ukraińskim, jak i rosyjskim. Na stronie centrum dostępny jest specjalny *webinar* (w trzech językach): „Jak pomóc dziecku po traumatycznym wydarzeniu lub przemocy?".

Z ciekawych spraw kulturalnych: Biblioteka Narodowa Łotwy przyjęła ostatnio 120 książek ukraińskich podarowanych przez pierwszą damę Ołenę Zełenską. Dziennikarze, którzy o tym pisali, także sporo pracują – niezależnie, czy w mediach łotewsko- czy rosyjskojęzycznych – starając się informować codziennie, co się dzieje w Ukrainie.

Równie zapracowani są ludzie w Centrum Języka Państwowego, nie zawsze pozytywnie ocenianym, zwłaszcza przez mniejszość rosyjską. – Nie można już pisać i mówić „Ļvova" czy „Harkova". Mówimy i piszemy: „Ļviva", „Harkiva" – mówi mi jedna z urzędniczek tej instytucji. Rosjanie w takich sytuacjach najczęściej łapią się za głowę.

Solidarni Bałtowie

Mieszkańcy Łotwy i Estonii na różne sposoby starają się okazać solidarność z Ukrainą. „U góry" może to być wspomniane głosowanie w Riigikogu, względnie zapowiedź estońskiego ministra obrony Hanno Pevkura, że wydatki kraju na obronę wyniosą 2,85 proc. PKB w 2023 r., w 2024 r. zaś po raz pierwszy przekroczą poziom 3 proc. PKB.

Są także inicjatywy oddolne. Jak donoszą estońskie media, wolontariusze z całego kraju przygotowali – pod kierownictwem organizacji Aitan Kaitsta – i wysłali obrońcom Ukrainy ponad 10 tys. metrów kwadratowych siatki maskującej. Dziennikarze obliczyli, że siatka ta jest tak duża, że mogłaby jednocześnie pokryć place ratuszowe zarówno w Tallinnie, jak i Tartu.

Estończycy chcą także pomóc Ukraińcom przeżyć zimę. Organizacja charytatywna Sława Ukraini zebrała pieniądze na zakup zimowej odzieży dla ukraińskich żołnierzy. Pierwotnym celem kampanii „Tysiąc bohaterów na śniegu" było dostarczenie tysiącowi żołnierzy ciepłej odzieży. Zamiast przewidywanych 400 tys. euro – w ciągu zaledwie kilku dni zebrano dwa razy więcej.

Z kolei holendersko-łotewska fundacja Stichting Zeilen van Vrijheid zamierza wysłać do Ukrainy tak potrzebne dziś karetki. Od marca fundacja ta przekazała ponad 100 wyposażonych i załadowanych karetek pogotowia, ponad 30 pick-upów lub SUV-ów, a także wóz strażacki oraz ponad 2 tys. rowerów.

Pójdziemy na syrniczki

Ukraińcy pozostaną na Łotwie i w Estonii na pewno przez jakiś czas. Jeden z nich pisze do mnie i pyta, czy w Rydze organizowane są kursy języka polskiego, bo w Polsce łatwiej o pracę. – Zapraszamy – mówi Ewa Sawczuk, filolożka ucząca polskiego w stolicy Łotwy.

Zaletą mieszkania na Łotwie i w Estonii jest jednak znaczna obecność języka rosyjskiego, którym posługuje się połowa mieszkańców Ukrainy (jest to także język rodzimy dla jednej trzeciej mieszkańców Łotwy i Estonii).

A także mentalność. Dla starszego pokolenia Ukraińców i Bałtów elementem wspólnym są doświadczenia z czasów sowieckich. Wspólne lektury, kody kulturowe, smaki. Choć paradoksalnie – o ile we Lwowie można bez problemu dostać balsam ryski, tradycyjny łotewski likier ziołowy, o tyle do tej pory nie było w Rydze restauracji ukraińskiej. Otworzyła się w parę tygodni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji, przy ulicy Gertrudy.

Można zjeść tutaj solankę i barszcz, a także kotlet kijowski. – Tomasz, idziemy na ukraińskie syrniczki, jak będziesz znowu w Rydze? – zachęca mnie moja polska znajoma.

Pójdziemy. Może także na demonstrację pod ambasadą rosyjską, która teraz znajduje się przy ulicy Niepodległości Ukrainy. A w księgarni kupimy najnowsze tłumaczenie Żadana na łotewski.

© TOMASZ OTOCKI

AMIR LEVY / GETTY IMAGES

Pracownik drukarni przygotowuje plakaty Beniamina Netanjahu i partii Likud, Rosz ha-Ajin, Izrael, 19 października 2022 r.

Pomoc, niemoc i wybory

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Pierwszy raz od początku rosyjskiej inwazji Izrael dzieli się z Ukrainą czymś więcej niż pomocą humanitarną. Kijów prosi o więcej. Czy wybory do Knesetu wpłyną na dalszy ciąg tej polityki?

Jestem zadowolony, w ostatnich dniach zaczęliśmy współpracować. Wywiady naszych krajów zaczęły działać wspólnie. Sprawy poszły naprzód" – mówił w minionym tygodniu prezydent Zełenski. Potwierdził, że zgodnie z danymi izraelskiego wywiadu Rosja faktycznie używa przeciw Ukrainie irańskich dronów. Izrael musiał więc przekazać Ukrainie swoje informacje na temat technologii irańskiej broni, którą Rosja wykorzystuje w nalotach na cele cywilne. Chodzi o bezzałogowe statki powietrzne typu kamikadze. Aby je namierzyć i zniszczyć, potrzebna jest odpowiednia technologia – Izrael zna jej tajemnicę.

To pierwszy krok naprzód od miesięcy w relacjach ukraińsko-izraelskich. Od początku inwazji Zełenski – pochodzący, przypomnijmy, z żydowskiej rodziny – często i w mocnych słowach apelował do państwa żydowskiego o pomoc technologiczną (m.in. dotyczącą systemu przeciwlotniczego Żelazna Kopuła). Ta jednak ograniczała się dotąd do udzielenia schronienia uchodźcom i pomocy humanitarnej. Także teraz Zełenski zaznaczył, że choć atmosfera relacji się poprawia, to wciąż jednak nie wystarczy.

IZRAEL MA POWODY, dla których nie chce angażować się w dostarczanie broni Ukrainie. Są one związane z bezpieczeństwem i zagrożeniem zza jego wschodniej granicy. Chodzi o Syrię, w której największy wróg Izraela – Iran – ma swoje struktury. Izrael atakuje je z powietrza, a to nie byłoby możliwe bez cichej zgody wojsk rosyjskich, kontrolujących przestrzeń powietrzną Syrii. Dlatego Izrael nie chce konfliktu z Rosją.

Wbrew pozorom to dla Jerozolimy trudna decyzja, bo rząd – aspirujący do roli ideowego strażnika hasła „nigdy więcej" – po cichu stoi po stronie Ukraińców. Z Kijowem sympatyzują też Izraelczycy, którzy jednocześnie oceniają działania swoich polityków jako wyważone, adekwatne do własnego poczucia zagrożenia.

Izrael nie od dziś boi się udostępniania technologii używanych do własnej obrony innym krajom. Twierdzi, że zdarzało się, iż informacje o nich trafiały w ręce Iranu. Dlatego obawia się, że elementy Żelaznej Kopuły umieszczone na terenie Ukrainy mogłyby dostać się w ręce Rosjan, zostać rozpracowane, a informacje o nich zostałyby przekazane Iranowi (taki scenariusz jest dla Izraelczyków pewny, biorąc pod uwagę zakres współpracy Rosjan i Irańczyków). W ten sposób Izrael pozbawiłby się kluczowego elementu własnej obronności.

W OSTATNICH WYWIADACH dla amerykańskich mediów sprawę komentował Beniamin Netanjahu, były premier, a obecnie lider opozycji. Potwierdził, że Izrael skazany jest na współpracę z Rosją w Syrii. Dodał jednak, że rozważyłby to, czy Izrael może zrobić więcej dla Ukrainy w zakresie zbrojeń. Kiedy? „Gdy obejmę urząd" – obiecał Netanjahu.

W ten sposób kwestia Ukrainy staje się wątkiem (choć małym) w wyborczej kampanii, która rozgrzewa nastroje w Izraelu. Na wtorek 1 listopada zaplanowano wybory do Knesetu – piąte z kolei od kwietnia 2019 r. W poprzednich koalicja Jaira Lapida i Naftalego Bennetta wyrzuciła Beniamina Netanjahu z politycznej orbity, teraz jednak ma on szansę na powrót, o czym świadczy przewaga jego partii Likud w sondażach.

W izraelskim systemie o zwycięstwie decyduje jednak to, kto stworzy silną koalicję rządową, a w tym momencie nie jest to jasne. Wiadomo, że o sukcesie dużych partii zdecydują te najmniejsze. W tym sensie na ostatniej prostej powszechny był pogląd, że wybory – ich wynik miał być znany po zamknięciu tego numeru „Tygodnika" – mogą przynieść niespodzianki.

JEDNO JEST PEWNE: aby je wygrać, Netanjahu potrzebuje wsparcia skrajnej partii prawicowej. Największą jest w tej chwili Zionut HaDatit (Religijna Partia Syjonistyczna), w której skład wchodzi inna mniejsza partia, Otzma Jehudit (Żydowska Siła), na czele z Itamarem Ben Gwirem. To znany radykał słynący z podżegania do nienawiści do izraelskich Arabów, Palestyńczyków i osób wszelakich odmienności. Jego ugrupowanie jest nacjonalistyczne, religijne i mocno wspierające osadnictwo na Zachodnim Brzegu.

Ben Gwir zapewne nie poprzestałby na małym – i w przypadku zwycięstwa Netanjahu dostałby stanowisko w rządzie. To groźna sytuacja dla liberalnych niereligijnych Izraelczyków, dla mniejszości i dla izraelskich Arabów. A także dla kwestii pokoju w regionie. ©

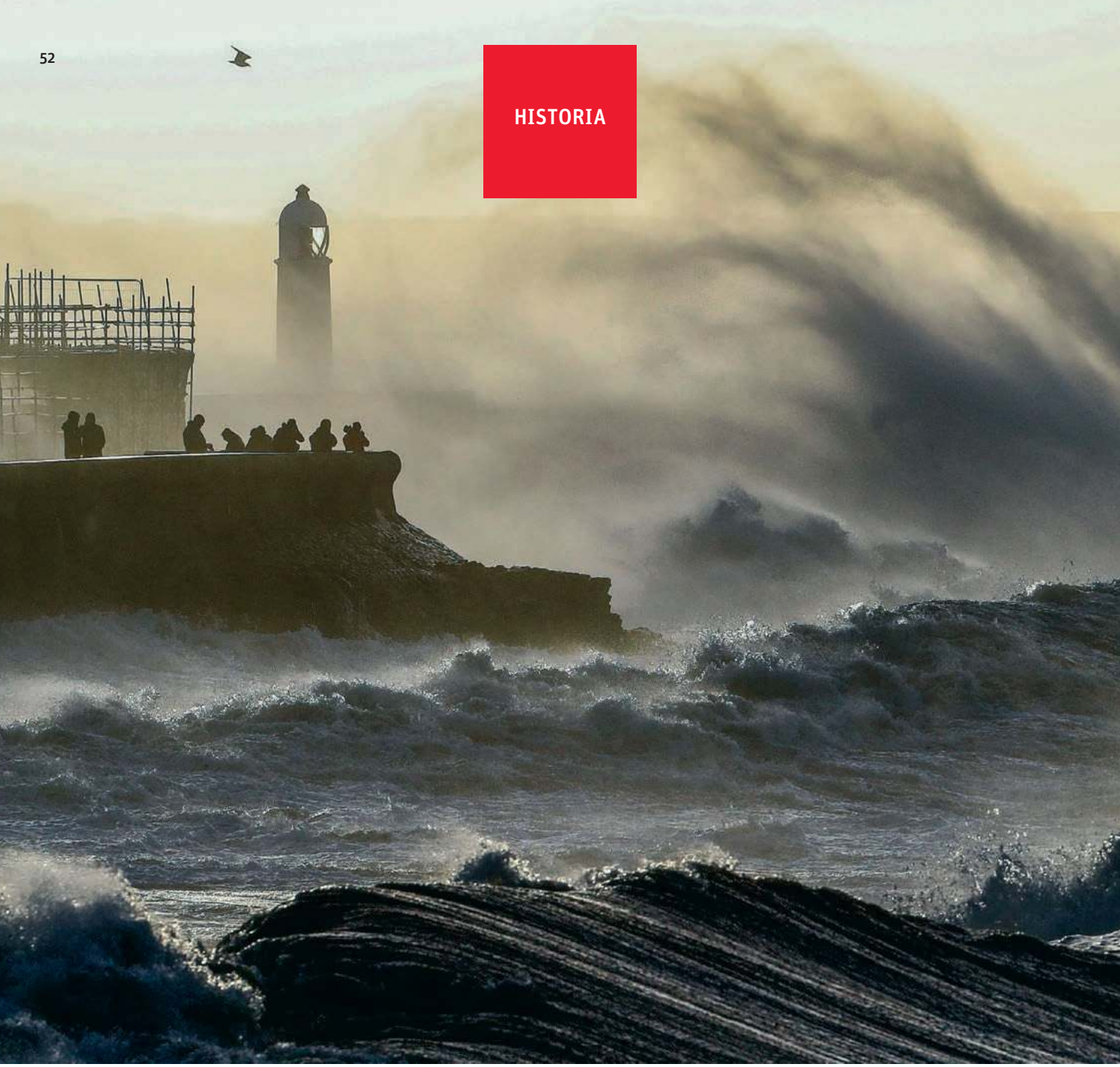

ŚWIATŁO I CIEŃ LATARNI MORSKICH

Najpiękniejsze z nich powstały w XIX i na początku XX wieku, gdy rodził się globalny świat. Wraz z rozwojem technologii straciły na znaczeniu, ale wciąż pobudzają wyobraźnię.

PIOTR OLEKSY

GEOFF CADDICK / EAST NEWS

Latarnia morska w Porthcawl w południowej Walii podczas huraganu Eunice, 18 lutego 2022 r.

Chodźmy do latarni – rzucił ktoś. I poszliśmy, przełamując klątwę Virginii Woolf. Bohaterom jej powieści „Do latarni morskiej" ta upragniona wycieczka nigdy się bowiem nie udała.

Na wyspie Wolin mamy do dyspozycji aż dwie: najwyższą nad Bałtykiem w Świnoujściu i najniższą – w lesie koło Wisełki. Wybraliśmy tę drugą, urzeczeni jej nazwą: Kikut.

Łatwo ją lekceważyć, bo jest taka mała i niepozorna. Paradoksalnie jednak to właśnie światło Kikuta świeci najwyżej na polskim wybrzeżu. Niewysoka budowla została bowiem wzniesiona – pierwotnie jako wieża widokowa – na pokaźnym wzgórzu.

Spodobało nam się na tyle, że postanowiliśmy pójść po raz drugi. Tym razem po zmroku. W nocy latarnia morska ma największy sens. Poza tym w nocy nie widać cienia. Bo do latarni mamy przecież dziwny stosunek: zbudowaliśmy je, by dawały światło, z czasem jednak zaczęliśmy dostrzegać głównie ich cień.

Garnki Wulkana

Na świecie istnieją obecnie tysiące latarni morskich. Znakomita większość z nich, a przynajmniej tych najpiękniejszych i najbardziej widowiskowych, powstała w drugiej połowie XIX i na początku wieku XX, a więc w epoce conradowskiej, gdy rodził się globalny świat – także dzięki latarniom, które umożliwiły zagęszczenie żeglugi po morzach i oceanach. Latarnie są więc zabytkami tamtej epoki. Wieże telekomunikacyjne, przesyłające sygnał telefonu komórkowego i zapewniające dostęp do internetu, to ich późne potomstwo.

Ale ta historia zaczęła się znacznie, znacznie wcześniej. Najstarszą z działających obecnie latarni jest Wieża Herkulesa, położona nieopodal hiszpańskiego miasta A Coruña. Jej obecny kształt pochodzi z wieków XVII i XVIII. Pierwsza jednak w tym miejscu latarnia, zbudowana przez Rzymian, stanęła prawdopodobnie w pierwszym stuleciu naszej ery.

Oczywiście latarnie były znane już wcześniej, w starożytności. W niektórych miejscach i okresach zastępował je po prostu ogień rozpalany na klifie czy skale, a później bliza, czyli kosz z płonącym wkładem, wyciągnięty na prostym wysokim żurawiu. O pierwszych kolumnach, na których rozpalano ogień, pisano już w roku 400 p.n.e.

Wieże z paleniskiem nazywano wtedy „garnkiem Wulkana". Nazwa ta odnosiła się również do znaków nawigacyjnych używanych nad Bałtykiem. Niemiecki kronikarz Adam z Bremy pisał w 1074 r., że „garnek Wulkana" jest używany na Wolinie, i że miejscowi nazywają go „ogniem greckim".

Na końcu świata

Jednym z najbardziej klasycznych dzieł literackich, w którego centrum znajduje się latarnia morska, jest krótka powieść Juliusza Verne'a „Latarnia na końcu świata", opublikowana w 1905 r.

Rzecz dzieje się z czasach, gdy żegluga zaczyna oswajać południowe wybrzeże Ameryki Południowej, okolice otoczonego złą sławą przylądka Horn. Na argentyńskiej Wyspie Stanów powstaje latarnia, która ma ułatwić żeglugę w tych niebezpiecznych okolicach (inspiracją dla Verne'a była autentyczna latarnia San Juan de Salvamento). Pozostawiona na odludziu trzyosobowa obsada toczy walkę z grupą piratów. Ich celem jest przejęcie kontroli nad latarnią, by wprowadzać żaglowce w błąd, kierować je na skały, a potem żerować na łupach z wraków.

Taki proceder był faktycznie częsty i stanowił kamień milowy w rozwoju piractwa. Choć zamiast przejmować latarnie, piraci woleli zazwyczaj rozpalać fałszywe światło, by w ten sposób wprowadzać żaglowce na skały.

Jeden z bohaterów powieści Verne'a mówi: „Widzisz, mój chłopcze, ja przez czterdzieści lat przemierzałem wszystkie morza Starego i Nowego Kontynentu, najpierw jako chłopak okrętowy, nowicjusz, potem jako marynarz, wreszcie jako bosman. No, a teraz, kiedy pora iść na emeryturę, nie mógłbym sobie wymarzyć nic lepszego niż stanowisko strażnika latarni morskiej, i to jakiej! Latarni na Końcu Świata!" (przeł. J. Karczmarewicz-Fedorowska).

Pielęgnowanie światła latarni było w istocie dla marynarzy kwestią życia i śmierci. W kulturze szybko zaczęliśmy zwracać uwagę przede wszystkim na niezwykłość postaci latarników. Doniosłość i ważkość ich pracy była związana z monotonią, niezmiennym rytmem oraz samotnością. Wyobraźnię najbardziej poruszały latarnie znajdujące się na odległych samotnych wysepkach czy też budowle wzniesione bezpośrednio na morzu.

Żywioł i obowiązek

To bliskie obcowanie z żywiołem, wpisane w życie latarników, bardzo dobrze oddają słowa szkockiego budowniczego latarni George'a Slighta. Gdy dopłynął on do archipelagu Evangelistas – grupy wysepek położonych ok. 30 km na północny zachód od Cieśniny Magellana – zanotował: „W najśmielszych wizjach nie przyszłoby mi do głowy coś tak dzikiego i odludnego jak te ciemne bryły ↦

wyłaniające się z rozszalałych fal. Na widok smaganych wiatrem, urwistych fal ogarnął mnie lęk. W słabym świetle horyzontu wielkie fale roztrzaskiwały się z hukiem po zachodniej stronie wysp; czegoś takiego nie sposób sobie wyobrazić".

Właśnie tam powstała jego pierwsza budowla, Faro Evangelistas, zbudowana w 1896 r. W całym swoim życiu Slight postawił u wybrzeży Chile ponad 70 latarni morskich.

Słowa Slighta przywodzą na myśl niezwykłą fotografię autorstwa Jeana Guicharda, która w 1989 r. wygrała konkurs World Press Photo w kategorii „Natura". Guichard uchwycił z helikoptera moment, gdy o latarnię La Jument – zbudowaną na gołej skale u wybrzeża Bretanii – rozbija się ogromna atlantycka fala.

Na zdjęciu widzimy, jak u stóp budowli zza drzwi wychyla się latarnik. Fotografia nie daje odpowiedzi na pytanie, czy przeżył. A przeżył, na szczęście fala go nie zmyła – nie powtórzył losu latarnika z Aspinwall niedaleko Panamy, którego zastąpił Polak o nazwisku Skawiński. Kto wie, być może uchroniło to niejeden statek przed katastrofą. Wszak Sienkiewiczowski bohater na skutek patriotycznego uniesienia zaniedbał obowiązki latarnika.

Kto zamknął drzwi

Atmosferę tajemniczości i grozy, jakie otaczają latarnie morskie, wzmocniło wydarzenie z roku 1900.

Latarnia morska na wyspie Eilean Mor – będącej częścią archipelagu Wyspy Flannana, na Hebrydach Zewnętrznych – oddalona jest kilkadziesiąt kilometrów od stałego lądu, czyli od wybrzeża Szkocji. Została zbudowana w roku 1899. W grudniu 1900 r. służbę pełniła tam trójka latarników: James Ducat, Thomas Marshall i Donald McArthur.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia do wyspy dotarł statek z zaopatrzeniem oraz zmiennikiem dla jednego z latarników. Na miejscu nie spotkali jednak nikogo, latarnia była pusta. Co dziwniejsze, jej drzwi były zatrzaśnięte od środka. Gdy je wyważono, w środku znaleziono nieposłane łóżka, stół nakryty do posiłku i zegar, który zatrzymał się na godzinie 9.30.

Tajemnicy zniknięcia trójki latarników nie wyjaśniono do dziś. Teorii jest całe mnóstwo: od wątków kryminalnych, związanych z przemytem, aż po zjawiska paranormalne i udział kosmitów.

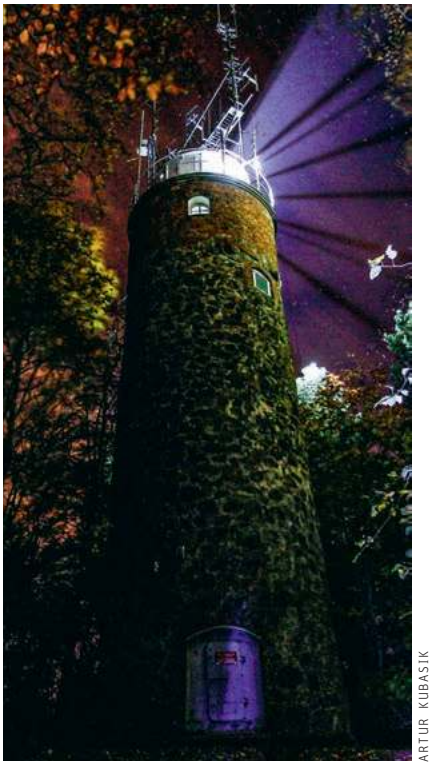

ARTUR KUBASIK

Kikut – najmniejsza latarnia morska w Polsce, wyspa Wolin, listopad 2020 r.

Trzydzieści lat później opublikowano zachowane zapiski jednego z zaginionej trójki, Thomasa Marshalla, które jeszcze podgrzały atmosferę tajemnicy. „12 grudnia: wicher z północnego zachodu. Morze rozszalałe. Nigdy nie widziałem takiego sztormu. Potężne fale dochodzą do latarni. Ducat rozdrażniony (...) Nadal szaleje burza. Nie można wyjść (...) Ducat milczy. McArthur płacze. 13 grudnia: silna ulewa trwa całą noc. Wieje z północy. Ducat milczy. McArthur się modli (...) Szary dzień. Zmówiliśmy we trojkę modlitwę. 15 grudnia: sztorm przeszedł, morze spokojne. Bóg czuwa nad wszystkim".

Cień latarni (w kulturze)

Historia ta stała się kanwą dla kilku dzieł. Warto wspomnieć o thrillerze „Bez śladu" z 2018 r. w reżyserii Kristoffera Nyholma czy utworze zespołu Genesis pt. „The Mystery of the Flannan Isle Lighthouse". „W najpiękniejsze dni morze jest tu czarne / Mówią, że nikt stamtąd nie powrócił" – śpiewał Peter Gabriel z lekkością, która kontrastowała z mrocznym tekstem.

Natomiast w tym roku w Polsce ukazał się przekład ciekawej powieści „Latarnicy" Emmy Stonex, również zbudowanej na motywach tego wydarzenia. Jej akcja dzieje się w latach 70. XX w. na latarni Maiden u wybrzeży Irlandii Północnej. Jest to przeddzień masowej elektryfikacji latarni morskich i związanej z tym automatyzacji, a tym samym przeddzień zmierzchu epoki latarników. Powieść znakomicie oddaje szacunek i prestiż tej pracy, a także jej niezwykły charakter, skazujący człowieka na kilkanaście tygodni samotności (bo tyle, bywało, wynosiła tura na latarni). Maiden splata losy trzech rodzin latarników, a to, co się dzieje na latarni, jest echem i sprzężeniem ich lądowych bolączek i namiętności.

Tej atmosferze dał się ponieść również klasyk literatury grozy Edgar Alan Poe. Jego ostatni tekst to nieukończone opowiadanie, pisane w formie dziennika prowadzonego przez latarnika. Nosi tytuł „The Light-House" („Latarnia morska"). Zaczyna się optymistycznie, pierwszy wpis zamykają słowa: „Na razie wszystko w porządku. Kuter cudem ocalał, lecz po co roztrząsać, skoro tu jestem, cały i zdrów? Dusza mi się ożywia na samą myśl o tym, że – choć raz w życiu – będę zupełnie sam". Nie wiemy, jak potoczyłyby się losy bohatera, gdyż dzieło urywa się po trzecim wpisie.

W 2019 r. Robert Eggers stworzył film o tym samym tytule, bez wątpienia inspirowany atmosferą opowiadania Poego. Willem Dafoe i Robert Pattinson w głównych i jedynych rolach pokazali w nim studium szaleństwa pogrążonej w samotności dwójki mężczyzn: doświadczonego latarnika i nowicjusza.

Latarnie stały się więc w kulturze jakby zwierciadłem, w którym odbijają się emocje, traumy i lęki. Tytuł znakomitego fińskiego dramatu rodzinnego z 2013 r., „Cień latarni morskiej", doskonale oddaje drogę, którą przebyliśmy od czasu Verne'owskiego światła na końcu świata. Powieści i filmów grozy, które wykorzystują ten motyw, jest zresztą więcej.

Po jasnej stronie

Zwłaszcza że dziś latarnie tracą na znaczeniu. Najpierw zdecydowana większość z nich została zelektryfikowana i przestała wymagać codziennej obsługi przez latarników. Następnie ich rola zeszła na drugi plan wobec upowszechnienia systemów nawigacyjnych, takich jak GPS, który dziś każdy może mieć w smartfonie. Można powiedzieć, że wraz z rozwojem technologii światło latarni gaśnie, choć ich cień pozostaje niezwykle inspirujący.

I warto pamiętać także o ich jasnej, czy raczej świetlistej, stronie. Choćby o słyn-

nej swego czasu historii Idy Lewis, urodzonej w 1842 r. córki latarnika z Lime Rock w Newport, na atlantyckim wybrzeżu USA. Gdy jej ojciec stracił sprawność po apopleksji, Ida wraz z matką przejęły jego obowiązki jako latarnika. Dziewczyna stała się sławna po tym, jak w czasie sztormu uratowała czwórkę niedoświadczonych żeglarzy, płynąc jedynie małą łódką wiosłową. Miała wtedy 12 lat.

Potem nastąpiły kolejne akcje ratunkowe w jej wykonaniu. Uhonorowana przez prezydenta Ulyssesa Granta, spędziła na latarni prawie całe życie; łącznie przez okres swojej służby uratowała kilkudziesięciu ludzi. Próba związku małżeńskiego nie przetrwała relacji ze światłem na krańcu świata, które nie może zgasnąć – Ida wróciła na swoją Lime Rock.

„Czasem przez wiele dni fale są tak wysokie, że żadna łódź nie odważyłaby się zbliżyć do wyspy, nawet gdybyśmy głodowali – zapisała Ida. – Jestem jednak szczęśliwa. Na tej skale panuje spokój, którego nie sposób doświadczyć na wybrzeżu. Latem wpływają i wypływają setki statków, a za moim szczęściem kryje się świadomość, że to ode mnie zależy ich bezpieczeństwo".

W Polsce jest 17 czynnych latarni.

Praca latarnika to doglądanie sprzętu, nie trzeba już kilka razy dziennie wspinać się na szczyt wieży.

O krok od San Juan

W Polsce kobiety pracują dziś na trzech z siedemnastu czynnych latarni. Praca ta nie oznacza już wielotygodniowej rozłąki, w najgorszym wypadku latarnie mieszczą się kilka kilometrów od najbliższej miejscowości. Ich obsługa polega obecnie na doglądaniu i pilnowaniu sprzętu – nie trzeba już kilka razy dziennie wspinać się na szczyt wieży, aby dolewać paliwa do lampy i doglądać ognia.

Ale i tak praca ta wymaga nadal czujności i obowiązkowości. A także umiejętności dwunastogodzinnego bycia sam na sam z morzem i strzeżonym światłem. „Nie chciałam być sama w latarni – mówiła Weronika Łozicka, najdłużej pracująca z polskich latarniczek, wspominając w rozmowie z „Wysokimi Obcasami" początki swej pracy na latarni Stilo. – Słysząc każdy dźwięk, myślałam, że ktoś się dobija. A to tylko agregat. Przetrzymywałam, myślałam: czego się bać? Dziś nawet nie wiem, kiedy zakochałam się w tym wszystkim".

Kikuta na Wolinie nikt nie pilnuje z bliska, jest jakby samodzielny. Przebywając nocą u jego stóp, po dwukilometrowym spacerze w ciemnym lesie, naprawdę można się zakochać. Dźwięki i światła Międzyzdrojów nie zakłócają błogiej ciszy i rytmicznych blasków latarni.

San Juan de Salvamento na argentyńskiej Ziemi Ognistej nie wydaje się stąd tak odległa. © PIOTR OLEKSY

Korzystałem z: Jose Luis González Macías „Światło na krańcach świata. Mały atlas latarni morskich", przeł. P. Gołębiowski, Wielka Litera 2021.

REKLAMA

CENTRALNE MUZEUM JEŃCÓW WOJENNYCH

Ogólnopolskie spotkanie rodzin jeńców II wojny światowej

18 listopada 2022 r.
Wydarzenie on-line

II wojna światowa była konfliktem, który ujawnił bolesną prawdę o człowieku – cywilizacja nie chroni przed złem, tym bardziej przerażającym, że po raz pierwszy w dziejach tak metodycznie zaprojektowanym. Sama pamięć o tym nie wystarczy jednak, by zapobiec kolejnym aktom zbrojnej przemocy, ale jest potrzebna do zrozumienia, kim teraz jesteśmy – wojna wpłynęła przecież na losy milionów ludzi, i to w perspektywie wielopokoleniowej.

W Polsce zranionej wojenną traumą była kilkusettysięczna zbiorowość osób, których bardzo różne biografie splotło wspólne doświadczenie – obóz jeniecki. Jedni trafiali do prowadzonych przez Wehrmacht stalagów i oflagów, drudzy do obozów NKWD. Niektórzy jeńcy przetrwali tam całą wojnę, inni, tak jak powstańcy warszawscy, jej końcowy czas. Byli też tacy, którzy nie przeżyli niewoli.

Odchodzenie świadków sprawia, że bezpośrednie relacje wypierane są przez pamięć kulturową, praktykowaną m.in. poprzez jej materialne nośniki – często drobne, pozornie mało ważne przedmioty, obdarzone w istocie wielkim potencjałem narracyjnym. Centralne Muzeum Jeńców Wojennych jest najbardziej aktywną w Polsce instytucją budującą społeczną opowieść o niewoli, czego dowodzą zbliżające się ogólnopolskie spotkanie rodzin doświadczonych jej dramatem oraz nieustannie prowadzona zbiórka jenieckich artefaktów „Ocalone pamiątki, zachowana pamięć". Dla muzealników z CMJW każde wspomnienie i każda pamiątka mają znaczenie.

Zapraszamy do udziału w spotkaniu, więcej na www.cmjw.pl

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

SAMORZĄD Województwa Opolskiego

ZNAK DZIEDZICTWA EUROPEJSKIEGO

Patronat honorowy:

Partner:

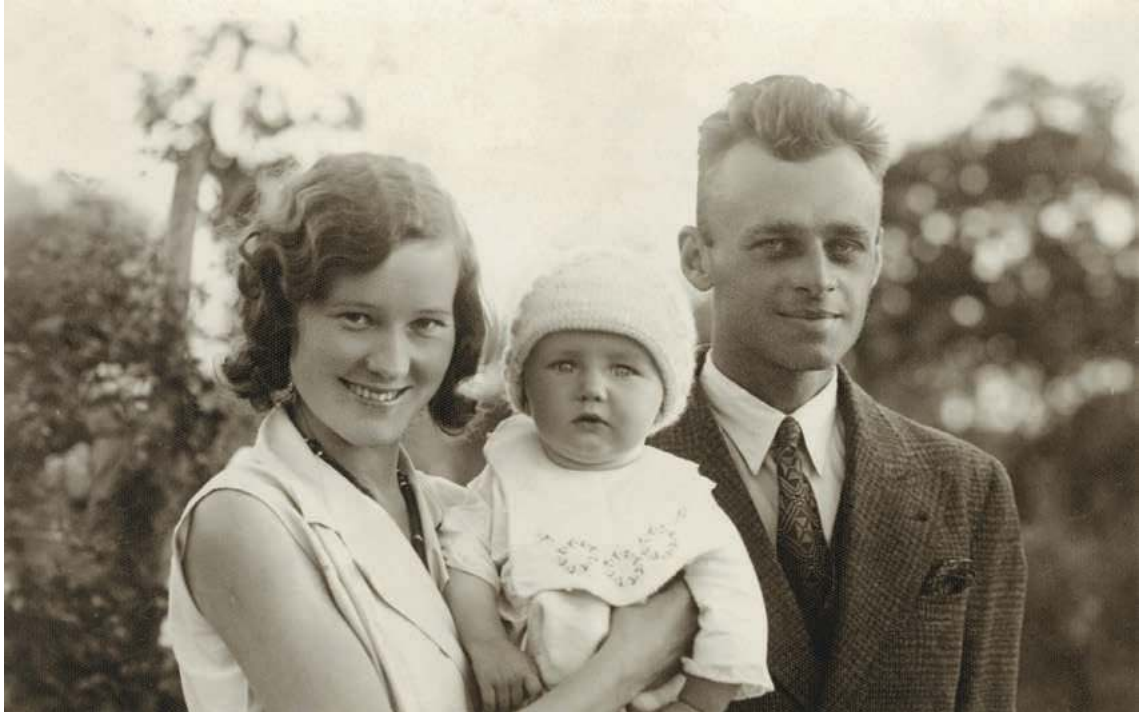

MATERIAŁY PRASOWE X3

Maria i Witold Pileccy z synem Andrzejem. Ostrów Mazowiecka, 1932 r.

TU NARRATOREM JEST ROTMISTRZ

W Ostrowi Mazowieckiej w domu rodzinnym Marii Pileckiej powstało nowoczesne muzeum narracyjne, które przybliża życie Witolda Pileckiego, jego bliskich, a także mieszkańców miasta.

Na trzech poziomach historycznego domu, wybudowanego w 1900 roku przez Konstantego Ostrowskiego, ojca Marii Pileckiej, otwarto niezwykłe muzeum. Utworzono je staraniem miejscowego samorządu przy współpracy z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz wsparciu finansowym Unii Europejskiej. Umowę o powołaniu i prowadzeniu muzeum podpisano w 2016 roku. Do odrestaurowanego domu rodzinnego żony rotmistrza dobudowano nowoczesny pawilon, przywrócono też świetność ogrodowi otaczającemu zabudowania. Uroczystość przekazania kluczy do muzeum odbyła się w październiku 2019 roku. Pracownicy instytucji rozpoczęli pracę nad koncepcją wystawy stałej, podjęli też szeroką działalność edukacyjną, popularyzatorską i wydawniczą. W dniu ukazania się drukiem tego numeru „Tygodnika Powszechnego" nastąpi uroczyste otwarcie wystawy stałej „O Marii i Witoldzie Pileckich".

– Dlaczego muzeum powstało właśnie w Ostrowi Mazowieckiej? Witold Pilecki urodził się w Ołońcu na północy Rosji, jego rodzinny majątek znajdował się w Sukurczach, obecnie na terenie Białorusi. Miejsca te są dziś dla nas praktycznie niedostępne. Z Ostrowi Mazowieckiej pochodziła jego żona – Maria. Nie tylko tu się wychowała, lecz także tu chroniła i wychowywała ich dzieci przez prawie całe lata 40., czyli w czasie, gdy Witold Pilecki wypełniał swoją największą misję przeciw III Rzeszy i gdy czekał na wyrok śmierci w więzieniu UB. To właśnie w Ostrowi Mazowieckiej koncentrowało się to wszystko, o co rotmistrz walczył. Tu też Maria usypała jego pierwszy symboliczny grób – mówi Karol Madaj, dyrektor muzeum.

Miejsce spotkań

– Zadaniem naszego muzeum jest pokazanie rotmistrza Witolda Pileckiego nie tylko jako polskiego „superbohatera", lecz także jako zwykłego człowieka – tłumaczy dyrektor. – Chcemy opowiadać zarówno o szczegółach jego misji wywiadowczej w niemieckim obozie koncentracyjnym, jak i o wydarzeniach i ludziach kształtujących jego charakter. W soczewce historii miasta pokazujemy też losy Polski oraz dzieje Zagłady – bezprecedensowej zbrodni, o której informowały raporty Pileckiego z KL Auschwitz, a której jeden z pierwszych aktów rozegrał się nieopodal siedziby muzeum.

Przygotowując się do otwarcia, dostrzegliśmy wyraźnie, że nasza misja jest podobna do misji Witolda Pileckiego. Chcemy informować o nieznanych nazistowskich i sowieckich zbrodniach, ale również integrować lokalną społeczność. Pasja w realizowaniu muzealnej misji sprawiła, że liczne historyczne projekty edukacyjne rozpoczęły się wiele miesięcy wcześniej: cieszy nas to, że jeszcze przed oficjalnym otwarciem staliśmy się miejscem spotkań. Wspólnie śpiewaliśmy, debatowaliśmy, a nawet szyliśmy i graliśmy w planszówki. Mamy nadzieję, że po otwarciu nie tylko młodzież, z którą działamy najwięcej, ale też pozostali odwiedzający poczują, że nasze muzeum ma „dom" i „rodzinę" nie jedynie w nazwie, że jest to prawdziwie ciepłe i gościnne miejsce, do którego każdy jest zaproszony – dopowiada dyrektor.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Muzeum Dom Rodziny Pileckich. Ostrów Mazowiecka, 2022 r.

Spotkanie pod kasztanowcem. Witold i Maria Pileccy ze znajomymi przed dworem w Sukurczach

Oferta dla młodzieży

Jak muzeum wygląda? – Dysponujemy 230 metrami kwadratowymi powierzchni wystawienniczej. Nie jest to więc gigantyczne muzeum, które zwiedza się godzinami. Raczej muzeum narracyjne, wyposażone w liczne multimedia, możliwość obejrzenia filmu i wysłuchania słuchowiska radiowego. Może to być atrakcyjna oferta dla młodzieży – mówi Karol Madaj.

Muzeum organizuje debaty oksfordzkie z udziałem uczniów szkół powiatu ostrowskiego, turnieje i konkursy historyczne oraz sportowe, warsztaty dla dzieci i szkolenia dla nauczycieli.

O pracach nad przygotowaniem wystawy stałej opowiada jej kuratorka Aleksandra Kaiper-Miszułowicz: – Aby opowiedzieć historię życia Witolda Pileckiego, musieliśmy zapytać, kim był i jakie wartości kierowały jego życiem. Szukaliśmy odpowiedzi w jego dzieciństwie, procesie wychowania i w wartościach rodzącego się ruchu harcerskiego. Śledziliśmy jego chrzest bojowy na przełomie lat 1918 i 1919 oraz udział w wojnie z bolszewikami. A w wolnej Polsce starania o odzyskanie rodzinnego dworu w ukochanych Sukurczach.

Podążaliśmy jego szlakiem bojowym w wojnie obronnej i byliśmy z nim, gdy zakładał z mjr. Janem Włodarkiewiczem Tajną Armię Polską w listopadzie 1939 roku. Długo dyskutowaliśmy, czy i jak zmienił go pobyt w obozie koncentracyjnym. Szukaliśmy kontekstów historycznych, dzięki którym moglibyśmy zrozumieć decyzje Witolda Pileckiego. Widzieliśmy w nim przede wszystkim człowieka: męża, ojca, żołnierza, przyjaciela. Staraliśmy się usilnie poznać go bliżej – do czego zresztą sam zachęcał. Ze wspomnień, fotografii, raportów wyłania się niewyraźny zarys postaci, którą myśl po myśli, karta po karcie odszyfrowywaliśmy. Witold Pilecki nie wyglądał jak bohater. Stał zazwyczaj w drugim szeregu, by „nie rzucać się w oczy". Kochał Polskę, Boga i swoją rodzinę. W podejmowanych przez siebie decyzjach pozostawał zawsze suwerenny i bezkompromisowy. Wyjątkowość życia Witolda Pileckiego wynika nie z jego przymiotów, ale z wyborów, których dokonywał każdego dnia. Na naszej wystawie staramy się nie dawać gotowych odpowiedzi, by historia rtm. Witolda Pileckiego zaskoczyła zwiedzających. Oddajemy głos naszemu bohaterowi, jego najbliższym, przyjaciołom i współpracownikom. Mamy niebywałe szczęście, że sam Witold chętnie i nieźle pisał. Spod jego pióra wyszedł nie tylko Raport, lecz także „Poemat o Sukurczach" i zbeletryzowane wspomnienia, pisane w trzeciej osobie. Dzięki temu sam mógł stać się naszym narratorem.

Upamiętnienie ofiar Zagłady

Dyrektor Karol Madaj wspomina o losie okolicznych mieszkańców: – Na granicy posiadłości teściów Witolda Pileckiego w Ostrowi Mazowieckiej, blisko sadów przylegających do domu Marii, 11 dni po tym, jak Witold opuścił Ostrów Mazowiecką, dokładnie 11 listopada 1939 roku Niemcy dokonali mordu na żydowskich mieszkańcach miasta. Źródła historyczne mówią o zamordowaniu od 350 do nawet 600 Żydów. Tę historię też chcemy w muzeum opowiedzieć. Nazwiska zidentyfikowanych ofiar wyświetlane są na ścianie jednej z sal w muzeum.

© GRZEGORZ NUREK

Muzeum Dom Rodziny Pileckich

WERNISAŻ WYSTAWY STAŁEJ ODBĘDZIE SIĘ 2 LISTOPADA O GODZ. 18.00.
Muzeum otwarte będzie: środa-piątek w godzinach 10.00-18.00, w weekendy 11.00-17.00.
Muzeum Dom Rodziny Pileckich (ul. Warszawska 4), Ostrów Mazowiecka.
Więcej informacji na **www.muzeumpileckich.pl**

NAUKA

ŻYCIE NA KRAWĘDZI

PETER BRANNEN, AUTOR KSIĄŻKI „KOŃCE ŚWIATA":

Ziemia jest bardzo odporna i trudno zabić wszystko, co żyje na całej planecie. Ale kilka razy mało brakowało.

MICHAŁ GIKOWSKI: Jak bardzo powinno nas martwić to, co dzieje się z Ziemią teraz? Przytrafiło się jej już mnóstwo okropnych rzeczy.

PETER BRANNEN: Bardzo niepokojące jest to, że pociągamy za dźwignie, które odpowiadały za najgorsze katastrofy w historii naszej planety. Zniszczeniom, które obserwujemy, daleko jeszcze do tych, które dotknęły naszą planetę podczas dotychczasowych pięciu wielkich wymierań. Mamy czas, by uniknąć najgorszego. Choć to, że nasza sytuacja w ogóle może być porównywana z wydarzeniami, które następują raz na sto milionów lat, też daje do myślenia.

Jak więc wygląda prawdziwy koniec świata?

Może wyglądać straszliwie na zupełnie różne sposoby. Najsłynniejszy jest koniec świata dinozaurów, będący skutkiem uderzenia w naszą planetę skały, która miała od 9 do 16 km średnicy i poruszała się 20 razy szybciej niż kula z karabinu. Wyrzuciła w górę ogromne ilości ziemskich skał, które wpadły w atmosferę i w praktyce przez 20 minut ją gotowały. A potem nadeszła dekada ciemności – podczas niej przestała działać fotosynteza. Niektóre z naukowych rekonstrukcji tego zdarzenia wydają mi się zbyt ekstremalne, by cokolwiek mogło je przeżyć.

To nie jedyne wielkie wymieranie. Wszyscy wiedzą o dinozaurach, a o pozostałych czterech wielkich kataklizmach rzadko się mówi. Tymczasem wśród nich były poważniejsze. Największe wymieranie wszech czasów, zamykające 252 miliony lat temu erę permu, zasługuje wręcz na umieszczenie go w osobnej kategorii.

Sądzimy, że podstawowym mechanizmem, który wtedy zadziałał, była emisja niewyobrażalnej ilości dwutlenku węgla przez wulkany w dzisiejszej Rosji. Temperatura skoczyła o 10-16 stopni Celsjusza w ciągu zaledwie kilku tysięcy lat. Woda w tropikalnych oceanach była ciepła jak w jacuzzi. Straciły one większość tlenu. Ze względu na wzrost temperatury wody, zdaniem jednego z moich rozmówców, naszą planetę mogły nawiedzać nieziemskie huragany, nazywane hiperkanami, o wiatrach wiejących przeszło 750 km/h. Jednocześnie algi w oceanach miały produkować ogromne ilości toksycznych gazów, które byłyby roznoszone przez hiperkany nad lądy.

To w pewnym stopniu spekulacje. Ale wiemy, że planeta stała się bardzo, bardzo gorąca, a luka w zapisie kopalnym żywych istot nie ma sobie równych. Mamy tam coś, co nazywamy pikiem grzybowym: spekuluje się, że wynika on z tego, że na całej planecie trwał masowy proces gnicia. Widzimy w zapisie kopalnym stromatolity, czyli bardzo prymitywne kopce tworzone przez bakterie, które niemal zniknęły po pojawieniu się w oceanach zwierząt. Większość mórz opustoszała w takim stopniu, że te formacje mogły powstawać na nowo. Planeta potrzebowała 10 milionów lat na powrót do stanu wyjściowego.

Mieliśmy niemal powrót do początków życia?

Tuż przed wymieraniem mieliśmy piękne, pełne życia rafy koralowe, drzewa i lasy pełne zwierząt. Po wymieraniu mamy niemal powrót do czasów prekambryjskich, w których życie zwierzęce dopiero powstawało. To było największe wymieranie w historii, a jego przyczyną był dwutlenek węgla. Pomyślałem, że to dobry punkt wyjścia dla książki, ale potem przekonałem się, że większość pozostałych wymierań także została wywołana zmianami w poziomach dwutlenku węgla i procesami, które obserwujemy dzisiaj.

Największe wymieranie wiązało się ze wzrostem temperatury o 10-16 stopni w ciągu kilku tysięcy lat. Niektóre prognozy mówią, że teraz możemy spodziewać się wzrostu temperatur o 10 stopni w ciągu dwóch, trzech stuleci. To niepokojące.

Jest praca naukowa, która mówi, że potencjalnie możemy rozgrzać planetę do temperatur, jakich nie było na jej powierzchni, przynajmniej odkąd powstało życie wielokomórkowe. Jeśli rzeczywiście w ciągu kilku stuleci

SINCLAIR STAMMERS / EAST NEWS

Skamieniałości Platycalymene duplicata duplicata, gatunku zaliczanego do trylobitów. Ta grupa morskich stawonogów pojawiła się przeszło pół miliarda lat temu. W zapisie kopalnym znika w czasie wymierania permskiego, największego w dziejach planety.

ogrzejemy planetę o 10 stopni, to tak, będzie to koniec świata. Mam nadzieję, że tego unikniemy.

Wysokie temperatury, superhuragany roznoszące gazy bojowe... A jednak życie zdołało się odbudować. To kwestia szczęścia czy może życie jest aż tak odporne?

To dobre pytanie. Jest coś, co nazywamy zasadą antropiczną. W tym kontekście mówi ona nam, że możemy zadawać takie pytania wyłącznie na planecie, która zdołała przetrwać minione kataklizmy. Czy to oznacza, że życie zawsze przetrwa, czy po prostu, że gdyby nie przetrwało, nie byłoby komu zadawać tego pytania? Wchodzimy na dziwne, filozoficzne terytorium.

Jestem przekonany, że Ziemia jest bardzo odporna i trudno zabić wszystko, co żyje na całej planecie. Bardzo trudno jest zmienić warunki na całej powierzchni planety i w całej objętości jej oceanów do tak ekstremalnego stanu, by znalazły się one poza granicami możliwości wszystkich gatunków.

Chyba możemy być na swój sposób dumni z tego, że nasza planeta stanęła na krawędzi zaledwie pięć razy w ciągu miliarda lat istnienia na niej złożonego życia, podczas gdy my istniejemy od dwóch milionów i już zmierzamy w tym kierunku. Sprytne z nas małpy.

Niektóre szacunki mówią, że dzisiejsze emisje CO_2 do atmosfery są 10 razy intensywniejsze niż te, które towarzyszyły starożytnym incydentom wulkanicznym. Nie osiągnęliśmy jeszcze całkowitego poziomu emisji, który wywołały tamte wulkany, ale niewiarygodne jest to, że robimy to szybciej niż one.

Dla porównania: w przypadku tego największego wymierania mówimy o sytuacji, w której w zasadzie wybuchła cała Syberia.

Tak, 252 mln lat temu na Syberii wulkany wyrzuciły tyle lawy, że dziś pokryłaby ona całe terytorium USA warstwą grubości kilometra. Tamte wulkany wybuchły na obszarze niezwykle bogatym w złoża węgla, gazu ziemnego i wapna. Lawa tłocząca się przez te złoża dała efekt podobny do tysięcy elektrowni węglowych, gazowych i fabryk cementu pracujących bez przerwy przez tysiące lat.

To, co obserwujemy wokół siebie, to już szóste wielkie wymieranie czy dopiero zmierzamy w jego kierunku?

Na razie doprowadziliśmy do wyginięcia mniej niż 10 proc. gatunków. To wiele, ale najgorsze wymierania zabiły 90-96 proc. Rozmawiam w książce z paleobiologiem prof. Dougiem Erwinem, który twardo stoi na stanowisku, że nie mamy ↦

↦ jeszcze do czynienia z szóstym wielkim wymieraniem, bo wymierania zawsze przebiegają według wzorca załamania całej sieci. Kiedy się zaczną, jest za późno, by je powstrzymać. Jest przekonany, że zbliżamy się jednak do granicy, a po jej przekroczeniu sytuacja załamie się błyskawicznie. Fakt, że jeszcze nie zaszliśmy tak daleko, jest pocieszający, ale nie wiemy, gdzie jest krawędź urwiska. Wiemy tylko, że powoli się do niej zbliżamy.

Ile czasu minie od momentu przekroczenia krawędzi urwiska do końca znanego nam świata? Co na ten temat mówi nam przeszłość?

Robimy ogromne postępy w rozumieniu minionych wymierań, zawężamy czas ich trwania, ale nadal mamy liczący kilka tysięcy lat obszar niepewności. Nie wiemy, czy wymieranie to powolny proces rozpadu czy szybki upadek. Jest wiele niewiadomych i to właśnie sprawia, że ten obszar badawczy jest tak ważny. Jesteśmy na nieznanych wodach i nie wiemy, co robimy.

Wiemy, że życie na Ziemi niemal skończyło się pięć razy, ale czy znamy przypadki, kiedy warunki były bliskie tym, które prowadziły do wielkich wymierań, jednak z jakiegoś powodu ten próg nie został przekroczony?

W historii naszej planety było kilka momentów, co do których paleontologowie do dziś się zastanawiają, dlaczego nie skończyły się gorzej. Dziesięć milionów lat po wyginięciu dinozaurów doszło do ocieplenia zwanego paleoceńsko-eoceńskim maksimum termicznym. Ilość CO_2 odpowiadająca spaleniu przez nas wszystkich paliw kopalnych, jakie mamy do dyspozycji, trafiła do atmosfery w ciągu 20 tys. lat, a planeta ociepliła się o ok. 6 stopni. Obserwujemy w tym okresie wymierania na mniejszą skalę, widzimy też przemieszczanie się gatunków zwierząt na całej planecie, ale na niezwykły sposób to zdarzenie podziałało jak iskra, która odpaliła ewolucję zwierząt. Wiele spośród współczesnych nam grup ssaków pojawia się tuż po tym skoku temperatury. Możliwe, że znaleźliśmy się wtedy blisko granicy, ale jej nie przekroczyliśmy, a zamiast tego ocieplenie nadało rozpęd ewolucji.

Niektórzy badacze twierdzą, że podczas tych starych wielkich wymierań w oceanach nie było jeszcze fitoplanktonu o wapiennych skorupkach. Pojawił się dopiero ok. 240 mln lat temu. Dziś te stworzenia po śmierci opadają na dno oceanu i pokrywają je bogatym w wapno mułem. Gdy wskutek wzrostu stężenia CO_2 oceany zaczynają się zakwaszać, one działają jak leki zobojętniające kwasy.

Do tego nasza planeta może być dziś nieco bardziej odporna na takie zjawiska z innego powodu: sądzimy, że skalę wymierań wzmaga istnienie superkontynentów, a stosunkowo rozrzucone kontynenty, z jakimi mamy dziś do czynienia, mogą je nieco osłabiać.

Mamy więc świat, który może być odporniejszy na wielkie zaburzenia, ale prędkość, z którą działa ludzkość, jest o wiele większa niż ta, z jaką rozgrywały się tamte procesy geologiczne. Oceany nie mają czasu na aktywację tych wapiennych osadów, bo to proces, który zachodzi w skali tysiącleci. Jeden z naukowców opublikował niedawno pracę, z której wynika, że ocean jeszcze nie wie, że my tu jesteśmy. Jego powierzchnia błyskawicznie się zakwasza, ale to dzieje się tak szybko, że głębokie partie oceanu w ogóle tego nie odczuły. Więc te zjawiska, które mogłyby nam pomóc ocalić planetę, mogą nie zadziałać wystarczająco szybko.

MATT MISISCO / MATERIAŁY PRASOWE

PETER BRANNEN jest amerykańskim dziennikarzem naukowym, współpracuje m.in. z „Guardianem", „The Atlantic", „New York Timesem". Pracował także na Duke University. Jego książkę „Końce świata. Niezwykła opowieść o tym, jak wymierała nasza planeta" wydał w tym roku Znak.

Jakie lekcje z tych minionych wymierań możemy wyciągnąć dziś?

Prostym wnioskiem jest to, że musimy natychmiast skończyć z emisją dwutlenku węgla. Nie wiemy, w jakim dokładnie punkcie się teraz znajdujemy, ale CO_2 jest motywem powtarzającym się przy każdym wymieraniu. Znajdziemy też inne cechy wymierań, które przypominają dzisiejszą sytuację.

Pierwsze masowe wymieranie, 445 milionów lat temu, kończące ordowik, zaszło na zupełnie obcej nam planecie, na której lądy wciąż były pozbawione życia, a płytkie morza były pełne dziwnych istot. Te morza były od siebie oddzielone jak wyspy przez głęboki ocean.

Podczas tego wymierania, które też miało związek ze zmianą klimatu, życie było rozrzucone na tym „archipelagu", co sprawiło, że organizmy miały problem z migracją w bezpieczniejsze dla siebie obszary. To analogiczne do tego, jak dziś poszatkowaliśmy ekosystemy, tworząc sztuczne wyspy dzikiej przyrody poprzedzielane polami czy miastami. W ordowiku planeta gwałtownie się oziębia i większość z tych istot wymiera. Dziś to samo może spotkać zwierzęta, których siedliska są podzielone przez ludzką cywilizację. One też nie będą miały jak migrować, gdy dojdzie do zmian klimatu.

Z kolei podczas drugiego wymierania, kilkadziesiąt milionów lat później, w dewonie, do oceanów trafia mnóstwo fosforu – wywołuje on geologiczne wielkie zakwity alg, pozbawiające oceany tlenu. Dzisiaj nasze rolnictwo także pompuje do oceanów fosforowe nawozy, które wywołują już martwe strefy.

Mamy szansę?

Zależy, co przez to rozumiemy. Ludzie często mylą załamanie cywilizacji przemysłowej z wyginięciem naszego gatunku, ale to nie to samo. Uważam, że doprowadzenie do wyginięcia naszego gatunku jest niemal niemożliwe, bo jesteśmy niezwykle dobrzy w dostosowywaniu się do zmian i żyliśmy przez setki tysięcy lat w bardzo zmiennym klimacie.

Ale nasza globalna cywilizacja, podtrzymywana przez ogromne zużycie energii, jest o wiele bardziej delikatna. To zupełnie inna kwestia. Piszę teraz kolejną książkę – właśnie na ten temat. Co musi się stać, żeby wszystko runęło, co może nas uratować? Na razie nie znam odpowiedzi.

© Rozmawiał MICHAŁ GIKOWSKI

TWITTER.COM / JANENGELMANN'S

W dwóch parach pudełek ukrywamy po jednym kawałku jabłka. Potem pokazujemy, że jedno z pudełek w jednej parze jest puste. Gdzie najłatwiej znaleźć jabłko?

Bananowa dedukcja

ŁUKASZ KWIATEK

Wiemy, że zwierzęta potrafią zachowywać się inteligentnie, ale czy myślą logicznie? Nie jest łatwo udowodnić, że tak. Choć równie trudno – że nie.

Chryzyp z Soloi był jednym z czołowych stoików. Wedle legendy przytoczonej przez Diogenesa Laertiosa zmarł w sposób, jaki nie przystoi nie tylko stoikowi, ale żadnemu szanującemu się filozofowi: ze śmiechu, rozbawiony własnym żartem. Za życia Chryzyp zasłużył się jednak dla filozofii i zostawił po sobie wiele pism logicznych. Jest wśród nich opowieść o psie tropiącym zająca, który dotarł do rozwidlenia trzech dróg. Jak się zachował? Podążył pierwszą drogą, ale nie wywęszył ofiary. Zawrócił więc do drugiej drogi, ale znów nie wyczuł tropu. Wtedy po raz kolejny wrócił na rozwidlenie i od razu pobiegł trzecią drogą – już bez węszenia. Chryzypa zastanawiało, czy pies zastosował logiczny sylogizm o postaci „jeśli A lub B lub C i nie A ani nie B, to C". Gdyby w podobny sposób zachował się człowiek, nie mielibyśmy wątpliwości co do logicznego charakteru jego rozumowania. Ale czy nieme zwierzę mogło posłużyć się choćby tak prostą logiką?

Papier, kamień, nożyce

To, że zwierzęta zdają się czasem myśleć logicznie, nie jest żadną tajemnicą. Przedstawiciele różnych gatunków małp i ptaków posługują się choćby narzędziami – a nawet sami je wytwarzają – więc musi być u nich rozwinięta zdolność do myślenia przyczynowego. Szympans nie odłamywałby gałązki z drzewa i nie odrywałby z niej liści – co pozwoli mu później wygrzebać przy jej pomocy termity z kopca – gdyby nie potrafił sobie najpierw wyobrazić, do czego będą prowadzić poszczególne kroki jego zachowania. Nie robi przecież tego wszystkiego instynktownie, realizując jakiś wrodzony schemat zachowania, bo nie wszystkie osobniki posługują się narzędziami. Myślenie przyczynowe jest godną podziwu zdolnością, ale i ono nie świadczy jeszcze o korzystaniu choćby z najprostszych formuł logicznych.

Mamy jednak dowody na występowanie u zwierząt czegoś, co naukowcy nazywają wnioskowaniem przechodnim. Ten sposób myślenia polega na wykorzystaniu dwóch znanych relacji między przedmiotami do wnioskowania o trzeciej, nieznanej. Np. jeśli wiem, że goryl jest większy od pawiana, a pawian od kapucynki, to mogę wydedukować, że goryl także musi być większy od kapucynki, nawet jeśli nie widziałem ich nigdy stojących obok siebie. W 2019 r. zespól Elizabeth A. Tibbetts wykazał, że nawet osy można wytrenować w używaniu takiego rozumowania (w eksperymencie owady miały oceniać relacje między pięcioma kolorami – uczono je, że jeden jest zawsze „ważniejszy" od drugiego). Również ta umiejętność u zwierząt nie musi dziwić, biorąc pod uwagę to, że wiele z nich żyje w złożonych i hierarchicznych społecznościach.

Wiedza o tym, że jakiś osobnik zajmuje w stadzie wyższą pozycję niż ono, ale niższą od kogoś innego, pewnie niejednokrotnie uratowała jakieś zwierzę przed zadarciem z niewłaściwym przeciwnikiem i zebraniem srogiego lania. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego modrowroniec – ptak z rodziny krukowatych mieszkający w Ameryce Północnej – lepiej radzi sobie w eksperymentach z wnioskowaniem przechodnim niż blisko spokrewniona z nim modrowronka kalifornijska. Ten pierwszy gatunek tworzy większe stada.

Co ciekawe, szympansy wykazują się jeszcze większą biegłością w takich rozumowaniach. Tetsuro Matsuzawa wykazał, że małpy mieszkające w Primate Research Center w Kioto mogą się nauczyć zasad gry w papier, kamień, nożyce. A to wymaga zapamiętania relacji między trzema gestami, które nie polegają na prostej przechodniości (kamień wygrywa z nożycami, ale przegrywa z papierem, który z kolei ulega nożycom). Czy tym osobnikom pomogła szczególna edukacja – wcześniej Matsuzawa wytrenował je w posługiwaniu się liczbami – czy też wszystkie szympansy byłyby do tego zdolne, bo w ich stadach hierarchia społeczna bywa bardziej nieliniowa ↦

↦ (czasem mogę poznęcać się nad kimś, kto znęca się nad moim prześladowcą) – nie wiadomo.

Na zdrowy rozum

Psycholodzy porównawczy – badający zdolności umysłowe zwierząt na tle ludzi – przeprowadzili także eksperymenty, które mogą nam powiedzieć coś o tym, czy małpy człowiekowate są zdolne do wnioskowania dedukcyjnego. Jest ono szczególną formą rozumowania, ponieważ pozwala na wyciąganie niezawodnie poprawnych wniosków z przyjętych przesłanek – zakładając, że te przesłanki są prawdziwe. Dedukcja jest więc logicznie „silniejszym" rozumowaniem niż choćby wnioskowanie indukcyjne, polegające na dokonywaniu uogólnień. W praktyce nie jest jednak łatwo udowodnić, że jakieś zwierzę posługuje się prawdziwą dedukcją, a nie czymś, co ją tylko przypomina.

Jeśli postawimy przed małpą dwa pudełka i do jednego z nich włożymy banana, tak by małpa nie widziała do którego, a potem każemy jej wybrać pudełko z bananem, to przy wielu powtórzeniach tego samego zadania małpa osiągnie ok. 50-procentową skuteczność – po prostu będzie zgadywać, gdzie została schowana nagroda. Ale jeśli przed daniem jej wyboru potrząśniemy jednym z pojemników – który albo zadudni, zdradzając obecność banana, albo nie wyda żadnego dźwięku – to skuteczność poprawnych wyborów wzrośnie prawie do stu procent. Czy świadczy to o posługiwaniu się logiką?

Można bronić tej tezy. Zachowanie zwierzęcia w takim eksperymencie – Joseph Call opisał go w 2004 r. w „Journal of Comparative Psychology" – przypomina używanie dedukcyjnego rozumowania znanego jako *modus tollendo ponens*. Jest to schemat „potwierdzania przez zaprzeczenie". Logicy zapisaliby go zdaniem: jeśli A lub B i nie A, to B. Małpa mogłaby pomyśleć tak: „Jeśli banan jest w jednym z tych dwóch pudełek i słyszę, że nie ma go w pierwszym, to musi być w drugim". Podobnie musiałby myśleć pies z opowieści Chryzypa.

Nie wszyscy jednak się zgodzą, że musimy w takiej sytuacji przypisywać szympansowi logiczne myślenie. Jedno z alternatywnych wyjaśnień głosi, że zwierzę kieruje się banalną zasadą „unikaj pustego pojemnika" i dlatego wybiera ten drugi. Ale trudno pozbyć się wrażenia, że taka hipoteza urąga małpiej inteligencji.

> Jeśli goryl jest większy od pawiana, a pawian od kapucynki, to goryl też musi być większy od kapucynki.
> **Nawet osy zdają się radzić sobie z takim wnioskowaniem.**

Bardziej przekonująco brzmi hipoteza, że małpa kieruje się myśleniem „może tu, może tam". Wie, że nagroda została schowana w jednym z dwóch pudełek, ale nie do końca zdaje sobie sprawę z logicznego związku między niewystępowaniem banana w jednym pudełku i jego obecnością w drugim. Nie myśli więc całkowicie logicznie – kieruje się jakimś prawdopodobieństwem. Byłby to przykład tzw. abdukcji – czyli wnioskowania do najlepszego wyjaśnienia. („Skoro banana nie ma w pierwszym pudełku, to pewnie jest w drugim – bo gdzie miałby się podziać? Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy").

Najlepsze wyjaśnienie

Różnica między tymi dwoma wyjaśnieniami – dedukcją w schemacie *modus tollendo ponens* i myśleniem „może tu, może tam" – jest nieco mglista, ale da się ją przełożyć na schemat eksperymentalny. Wyobraźmy sobie bowiem, że dajemy małpie nie jedną parę pudełek (A i B), z których w jednym umieszczamy nagrodę, ale dwie takie pary (także C i D, w jednym z nich też jest nagroda). Potem pokazujemy, że nagrody nie ma w pudełku A (żeby nie komplikować, nie będziemy już potrząsać pudełkiem, tylko ujawnimy jego zawartość), i każemy małpie wybrać jedno z trzech pozostałych. Logiczny wybór to sięgnięcie po pudełko B, ale ktoś, kto kieruje się myśleniem „może tu, może tam", sięgałby równie chętnie po pudełka B, C i D. Shilpa Mody i Susan Carey wykazały w 2016 r., że właśnie tak robią dzieci do ok. 2,5 roku życia. Starsze najczęściej wybierają logicznie pewną opcję B.

W zeszłym roku Shalini Gautam zauważyła, że powyższy schemat może mieć pewną wadę, bo ujawnienie, że pudełko A jest puste, zwraca uwagę na pierwszą parę pudełek – więc może niechcący nakierowywać osobę badaną na pudełko B. Lepiej więc zrobić inaczej: pokazać, że nagroda jest w pudełku A, a potem ją zabrać i kazać wybierać spośród pozostałych. Logicznie myślący uczestnik eksperymentu będzie wiedział, że w pudełku B nie może być nagrody, więc trzeba zgadywać wyłącznie między C i D. Pierwszymi małpami, które poddano testowi z czterema pudełkami, były trzy pawiany oliwkowe. Poradziły sobie z podstawową wersją testu, ale poległy na tej zmodyfikowanej.

W połowie października serię eksperymentów z udziałem szympansów, korzystających ze wszystkich opisanych tu schematów, opisali w czasopiśmie „Child Development" Jan M. Engelmann i współpracownicy. Ich wyniki są, cóż, niejednoznaczne.

W wersji testu z trzema pojemnikami (pokazujemy małpie, że chowany dwa banany: jednego zawsze do pudełka A, drugiego – albo do pudełka B, albo do pudełka C) szympansy wcale nie wybierały częściej logicznie pewnej opcji A – ich wybory rozkładały się między wszystkimi trzema pojemnikami. Nie radziły sobie też z wersją eksperymentu z czterema pudełkami, w której ujawniamy jedno puste. Ich wyniki były natomiast lepsze w tej wersji, w której pokazujemy zawartość jednego pudełka z nagrodą i je odrzucamy. Porównanie z dziećmi też prowadzi do konfuzji – w części zadań małpy zachowywały się podobnie jak co najwyżej 3-letnie dzieci, w innych – jak 4-, 5-latki.

O czym to wszystko świadczy? Autorzy twierdzą, że ich badania podważają tezę o posługiwaniu się przez małpy wnioskowaniem dedukcyjnym. Ich zdaniem szympansy kierują się prawdopodobieństwem i szukają najlepszego wyjaśnienia w schemacie „może tu, może tam". Ale nie da się wciąż wykluczyć, że to wcale nie małpy mają problem z naszą logiką. Może to my wciąż mamy problem z ich logiką.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

ĆWICZ UMYSŁ + CIESZ OKO!

DOWOLNE 3 WYDANIA

+

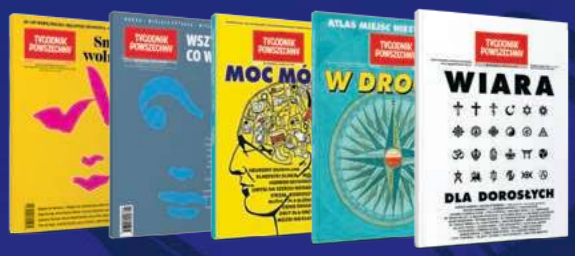

= **PAKIET CZTERECH ZA 77 ZŁ**

„Wiślna 12" – zeszyt o historii „Tygodnika" GRATIS do zakupów. Zamów pakiet złożony z wydania „Ciało się udało" i trzech wybranych przez siebie wydań specjalnych (w cenie za pakiet 77 złotych), a my dorzucimy „Wiślną 12" i opłacimy przesyłkę. Czekamy na Twojego maila pod adresem: zamowienia@tygodnikpowszechny.pl – my zajmiemy się resztą.

W promocji można zamówić następujące wydania specjalne: „Wiara dla dorosłych", „Moc mózgu", „Smak wolności", „Halo tu Ziemia", „W drogę", „Wszystko, co wiemy", „Kanon 1", „Kanon 2", „Rozmowy na temat". Oferta ważna do wyczerpania nakładów.

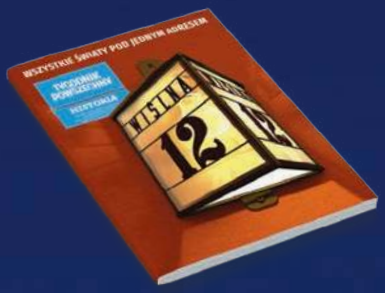

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

MAREK NAPIÓRKOWSKI KUBA BADACH KRZYSZTOF HERDZIN

W PROJEKCIE:

DIRE STRAITS

S Y M F O N I C Z N I E

28.11.2022
KATOWICE
NOSPR

30.11.2022
POZNAŃ
AULA UAM

6.12.2022
WARSZAWA
TEATR MUZYCZNY ROMA

GOOD TASTE PRODUCTION

JACEK

Podsiadło: *Prawo pierwszej nocy*

Wiedzę praktyczną jak żyć, żeby na dzień dobry nie umrzeć, chłopiec brał z samego życia, z obserwacji, która czasem, kiedy był bardzo głodny, stawała się obserwacją uczestniczącą. Wiedzę o dalekim świecie i mądrość ogólną czerpał z przygodowych książek i filmów, a jeśli miał akurat dwa złote, co zdarzało się rzadko, to także z prasy dziecięcej. Druga i trzecia strona okładki „Płomyczka" w całości pokryte były notkami pod hasłem „A to ciekawe!". Chłopiec czytał i zapamiętywał. Najzimniej na świecie jest w radzieckim Ojmiakonie, a na człowieku najzimniej jest na czubku jego nosa, panuje tam stale temperatura ok. 22° C. W Chorzowie jest park z widocznymi na zdjęciu dinozaurami z betonu. W Genewie na dworcu jest ruchomy chodnik. A jedną z najcenniejszych nauk, która nieraz w dalszym życiu miała okazać swą przydatność, chłopiec znalazł w „Podróży za jeden uśmiech". Wyszła ta nauka z ust Poldka i przybrała postać zdań: „Rodzice będą pewni, że jesteś w domu u babci. Babcia będzie pewna, że jesteś u rodziców. Proste, co?".

Posłano chłopca do egalitarnego liceum i wybiła godzina pierwszej wycieczki klasowej. Miała być trzydniowa. Uczniowie pobrali od swoich starych i przynieśli do szkoły pieniądze na ten cel. Ale chyba coś gdzieś komuś wymknęło się spod kontroli i wycieczkę odwołano. Skarbnik klasowy zwrócił uczniom pieniądze. Jak pech, to pech. Do dziś nie wiadomo dokładnie, jak to się stało, ale podczas powrotu chłopca ze szkoły z finansową cofką pieniądze jakoś mu się rozeszły.

Czas mijał i leczył rany, ale rana w budżecie domowym nie chciała się zagoić. Kiedy wreszcie ta wycieczka, cośmy dali tyle pieniędzy, zaczęła dopytywać matka. I po co w ogóle ta wycieczka, i dokąd, chciał wiedzieć ojciec. Wycieczka została przełożona, uspokajał chłopiec, a będzie to wycieczka krajoznawcza do Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. A to dobrze, powiedział ojciec, bo jak byłem w wojsku, to my żeśmy ten park budowali, bo jego wymyślił sam generał Ziętek, to ty mi wszystko ładnie opowiesz, jak wrócisz.

I przyszedł czas, że cierpliwość starych doszła do swej granicy i wycieczki nie można było dłużej odkładać. Trzeba było jechać. Chłopiec wyłudził jeszcze jakiś prowiant i kieszonkowe. Przez trzy dni chodził na wagary, obżerał się i żył jak król. Rodzice byli pewni, że jest na wycieczce szkolnej, nauczyciele byli pewni, iż przebywa on pod opieką rodziców, proste. Ale trzy dni to są też dwie noce. Pierwszej w życiu nocy pod gołym niebem chłopiec zażywał kultury i wypoczynku w dobrze sobie znanym miejskim parku. Nie tak całkiem pod gołym niebem, bo spał w muszli koncertowej. Nie znał jeszcze bezlitosnego prawa mówiącego, że pierwszy tego rodzaju nocleg zawsze zakłócają stróże porządku. Ktoś nie śpi, żeby spać nie mógł ktoś. Milicjanci obywatelscy nie byli uprzejmi i mieli tacy pozostać jeszcze dłuuugo po wskoczeniu w kalesony policjantów państwowych, nauczka na całe życie. Najważniejsze, że na nieuprzejmościach się skończyło, nie było żadnego odwożenia do miejsca stałego pobytu. Drugą noc chłopiec spędził już w piwnicy kolegi z klasy. Nie wyspał się, ale ogólnie było fajnie i na pewno wycieczka była warta swojej ceny. Jednak po powrocie zaczęło się dopytywanie, jak było. Czyś papierosów nie ćmochał i jak tam teraz wygląda ten park, cośmy go budowali, jak byłem w wojsku. O, są tam piękne dinozaury z betonu. I co jeszcze? Dużo ciekawych rzeczy, ale najciekawsze te dinozaury, dziesięć razy większe od człowieka i całe z betonu zrobione. Akurat dinożarły nie ja żem wybudował, chociaż w murarce jestem niezły, nie taki dwie lewe ręce jak ty. Coś widział prócz tych dinożarłów? W plate... W pla-ne-ta-riu-mie byłeś?

Na szczęście horyzonty myślowe chłopca były już wtedy poszerzone dzięki kolekcjonowaniu znaczków i obejrzeniu serialu „Daleko od szosy". Znaczek z planetarium w Chorzowie znał z detalami, choć nie wiedział, że stoi ono na terenie parku. I pamiętał, że kiedy Leszek wyjechał do roboty na Śląsk, odwiedziła go w hotelu robotniczym Bronka i on ją zabrał właśnie do chorzowskiego parku. Kiedy jechali kolejką linową, zachwycona Bronka pokazywała niedoszłemu narzeczonemu zwierzyniec w dole, całe stado betonowych dinozaurów i fontannę z figurami pelikanów. Chłopiec mógł się zatem w krytycznej chwili powołać na planetarium, kolejkę, zoo i pelikany.

No to jeden taki pelikan, on się myśliwski nazywał, właśnie twój ojciec budował z kolegami, tymi rękami. Widzisz, jakie spracowane? Nie takie obie lewe jak twoje.

Chyba nigdy jeszcze zagubienie bezpośredniego przodka we współczesnej terminologii (chemoseksualizm, łester, klapsydra) nie było chłopcu tak bardzo na rękę. Toteż ani myślał wyjaśniać, że pelikany co innego i pawilony co innego. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 104/22 toczy się postępowanie z wniosku Maksymiliana Baranowskiego z uczestnictwem Gminy Gorzyce, Skarbu Państwa – Starosty Tarnobrzeskiego o zasiedzenie części nieruchomości o powierzchni ok. 0,1 ha położonej w Zalesiu Gorzyckim, gmina Gorzyce, obręb Zalesie Gorzyckie, stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 426, o całkowitej powierzchni 0,51 ha, stanowiącej grunty pod rowami, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta, a właściciel nieruchomości jest nieustalony. Aktualnym posiadaczem przedmiotowej części nieruchomości jest wnioskodawca.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

XXXI FESTIWAL ARS CAMERALIS

HORYZONT ZDARZEŃ

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

„TP" 45/2022

7–26 XI 2022

ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

Poza horyzont zdarzeń?

ZBIGNIEW MACHEJ

Jeżeli intelekt konstruuje sobie świat na własne życzenie, to zewnętrzny wobec niego świat także jest jego konstruktem, co oznacza, że domostwem człowieka musi być jego myśl – stwierdził kilka lat temu pewien krakowski uczony. Myśl jednak nie może być domostwem dla ciała. Tego typu metafory się nie sprawdzają. Są puste. Absurdalne.

Sztuczki poetyki nie działają jak packa na muchy. Siecią retoryki nie uchwyci się rzeczywistości, choć można ją na rzeczywistość narzucić i wymóc opartą na niej egzekucję ludzkich mniemań, praw i uzurpacji. Myśl zazwyczaj nie jest regularna i systematyczna, wręcz przeciwnie: jest wyrywkowa, niesforna, ulotna. Pojawia się i znika. Wydaje się, że w głowie sama się myśli, bez udziału woli. Jest więc dokładnie na odwrót: ciało, póki żyje, jest generatorem i odbiornikiem myślowych sygnałów. Świadomość to wielopoziomowy proces, także organiczny, umysł to kompleks niematerialnych funkcji zdeterminowany genetycznie.

Myśl, owszem, ucieleśnia się, ale trzeba ją złapać, uregulować, zwerbalizować, zapamiętać. Najlepiej byłoby zaraz ją zapisać, choć niekoniecznie musi wyrażać się w słowach, częściej błyśnie obrazem, niekoniecznie wyraźnym, albo bezgłośnie rozlegnie się jako melodia, czasem tylko refren, odległe echo, natrętne jak osa jesienią. Myśl trzeba odróżnić od nośnika myśli. Przezroczysta i dynamiczna, przejawia się na jakimś niewidzialnym tle, w niepostrzegalnym zmysłowo otoczeniu, które jest jej źródlanym, lustrzanym podłożem. Ta źródlana lustrzaność jest pozaczasowa, ale niekoniecznie wieczna i niewyczerpana. Tak czy inaczej budzę się rano i jeszcze pamiętam, że jestem w tym samym świecie, w którym zasypiałem wczoraj wieczorem. W starszym wieku odczuwam to jako wielki sukces i zarazem dar. Dziękuję też za sny, które na szczęście rzadko bywają koszmarami. Zwłaszcza że coraz bardziej koszmarny i absurdalny staje się świat, w którym się budzę. Czasem we śnie słyszę miłe piosenki, ale, niestety, nie umiem ich powtórzyć na jawie. I nie pamiętam o tym, że sen gwarantuje mi grawitacja. Bez niej nie byłbym w stanie położyć się do snu.

A zatem kim jest pojedynczy człowiek? Jednak nie jest myślącą trzciną. Ale ta niemal akwatyczna metafora Pascala ośmiela mnie, by z bezczelnością dyletanta przypuścić, że człowiek to dynamiczny, wodny wehikuł dla energii myślenia, intuicji i wyobraźni. Nawet to, że jest ssakiem, ma poniekąd hydrologiczny charakter, bo wskazuje na niezbędność poboru życiodajnych płynów, złożonych głównie z wody. Wielordzeniowy, żywy, ssący procesor. Piękny jak barokowe, alchemiczne akwarium układ elektromagnetyczny. Z orzechowatym mózgiem, małą przepompownią serca, bukietem transformatorów i kolonią mikrobioty. W skali planety mikroakwarium z niezbędnym przepływem bieżącej wody. Wodne, termodynamiczne ogniwo żywego łańcucha, który w każdej chwili może być zerwany i definitywnie wyparować.

A co, jeżeli ktoś nie myśli i nie uruchamia wyobraźni? Skąd się wyświetla i wypływa myślenie? Myśl naśladuje wodę. Pomyka w cichym nurcie przez pryzmat istnieniowej, tymczasowej psychosomatyczności. Cicha, przezroczysta myśl rwie brzegi ciała i jego egzystencji. Czy sięga tu jakaś histopatologia? Czy woda, która jest fantastycznym nośnikiem, może być także paliwem symulacji? Istoty ziemskie to stacje hydrologiczno-solarne. Obieg jest tylko pozornie zamknięty. Otacza mnie ciemność, niesie nurt przemian, prowadzi rytm kosmicznych cykli, których naturę zwykle ignoruję. Noc i dzień. Noc i dzień. W głowie odzywa mi się nie słowo, lecz melodia. Błyskawice przecinają moje-nie moje niebo, obce, a jednak dziwnie swojskie. W szczególnych warunkach Układu Słonecznego moje-nie moje komórki podlegają kosmicznej recyklacji. Ale jakby poza mną. Na szczęście trzymam się jeszcze rąbka szaty Matki Ziemi. Nie słowo było na początku naszego porządku, lecz woda. Ale przed tym początkiem było jeszcze wiele innych początków i końców, o których nie mam zielonego pojęcia.

Człowiek jest mutacją czegoś podwodnego, co wyszło na brzeg przyciągane przez światło najbliższej gwiazdy. Gwiazdy pulsują cyklicznie, Księżyc stymuluje pływy. Akwarium ludzkiego organizmu to nie tylko stacja transformacyjna, lecz również komunikacyjny węzeł odbiorczo-nadawczy, ognisko emulacji i replikacji, układ wielowymiarowych ekranów i nie wiadomo co jeszcze. Nie wiadomo, nie wiadomo. Nieświadomość wzrasta wraz z przyrostem wiedzy. Progresje niezrozumiałych symulacji i transgresje niewiedzy. Niewiedza jest tragiczna i komiczna zarazem, śmieszna i straszna. I lawinowo otacza płynną, niejasną summę gatunkowej samowiedzy. Czegoś się domyślam, ale właściwie to nie wiem czego. Coś przeczuwam, czasem błyśnie jakaś intuicja, ale nie wiem, do czego się odnosi. Zdaje się, że już coś łapię, już coś ogarniam. Ale to złudzenie, iluzja sztucznego raju.

Po co poezja, która nie ocala drzew, zwierząt ani ludzi? Dyskretnie szemrze głuchy, drwiący śmiech robotów. Holograficzne projekcje są milej widziane i bardziej pożądane. Maszyny dostarczają coraz więcej rozrywki i emocji. Świat podlega robotycznej zarazie. Jego coraz bardziej specjalistyczna technologizacja łączy się coraz częściej z wulgarnością i nienawiścią. Z monitoringiem, trollingiem i dronizacją. Dominacją kłamstwa, systemem przemocy. Faszystowskim, nawiedzonym, barbarzyńskim fundamentalizmem atomowym. Dyktaturą służb, tyranią

paranoików i państwowym terroryzmem. Tymczasem w mleku matki wykryto mikroplastik. Jak w tych warunkach odczuć orzeźwiające muśnięcie objawienia? Ale uwaga! Oto znowu błysk... I powiew... Czy to już? Czy to właśnie to? Już to mam? Nie tyle na końcu języka, ile na powierzchni przeźroczystej, nieuchwytnej, bezsłownej myśli.

Ale to tylko refleks czegoś innego, obcego, nieznanego, dzikiego jak samo życie lub pochodzącego z innej, niezrozumiałej kultury. Z refleksów, odbić i oddźwięków może wyniknąć refleksja. Pamięć można przełożyć z głowy do głowy. Ze swojej ciemnej doliny na razie jeszcze zwracam twarz ku niebu. Z hybrydyczną jaźnią, przypadkowym konstruktem historycznej tożsamości, skorupą, którą trzeba roztrzaskać, obrócić w proch, rozwiać na cztery wiatry. Przy dobrej pogodzie widać słoneczne oko błękitu i niesforną chmurkę w ruchu. A w nocy pulsuje plankton gwiazd.

Najbliżej Droga Mleczna, coraz gorzej widoczna gołym okiem, prastara Droga, ciągle w drodze, z obrotami ciał niebieskich, w niewyobrażalnym pędzie, a w jej środku wielka, głodna, ssąca czarna dziura. Kosmiczny kanibalizm. A potem Wielki Chłód albo Wielki Kolaps. Czy innego końca tego wszechświata nie będzie? To nie wygląda różowo. Warunki wokół czarnej dziury Sagittarius A∗ są ekstremalne.

W tej sytuacji nasza misja jest jasna, ale też ekstremalna: należy pilnie przemienić się w promień światła. Czy ten promień musi dotrzeć za horyzont zdarzeń? Czy trafi i przeniknie odległą, ekstremalną kropkę nad i, skąd nie ma powrotu? Ale po co? Po zapachy naszych wiosen? Euforie naszych wzlotów? Udręki upadków? Mgły naszych jesieni? Nie ma odpowiedzi. Na razie są pędzące przez ciemną otchłań pytania. ©

RAFAŁ KOMOROWSKI / WIKIMEDIA

ZBIGNIEW MACHEJ – poeta, tłumacz literatury czeskiej i słowackiej.

ROGER DEAKINS / MATERIAŁY PRASOWE ARS CAMERALIS

„Smoking Break", zdjęcie Rogera Deakinsa z wystawy „Bezdroża".

Spinoza już szkła szlifuje

TWÓRCY FESTIWALU ARS CAMERALIS:

Nie mamy ambicji rozwikłania zagadki horyzontu zdarzeń w sposób naukowy. To rodzaj metafory naszego tu i teraz.

GRZEGORZ NUREK: Pierwsze pytanie dotyczy hasła tegorocznej edycji Festiwalu Ars Cameralis. Horyzont zdarzeń to strefa otaczająca czarną dziurę lub tunel czasoprzestrzenny, oddzielające obserwatora zdarzeń od zdarzeń, o których nie może otrzymać żadnych informacji. Wytłumaczcie się z tego, proszę.

MAREK ZIELIŃSKI: To dość popularne hasło w literaturze naukowej czy popularnonaukowej, ale także w sztuce. Inspiracją z pewnością była twórczość Tomása Saraceno, jego wystawy poświęcone wszechświatowi: instalacja, którą widziałem w Düsseldorfie, czy wystawa „Event Horizon" w Kopenhadze. Kontynuujemy temat z ubiegłego roku: kosmos. Przy czym nie mamy ambicji rozwikłania zagadki horyzontu zdarzeń w sposób naukowy. To rodzaj metafory naszego tu i teraz. Zresztą naukowa definicja zawiera też wątek psychologiczny czy metafizyczny, rodzi pytanie o to, co znajduje się „za". Nie wiemy tego, i być może nigdy nie otrzymamy odpowiedzi. Mam przed oczami Spinozę, który szlifuje szkła optyczne i próbuje coś przez nie dostrzec. Z naszej strony, organizatorów Festiwalu, to próba sięgnięcia po pytania stawiane przez artystów. Co dostrzeżemy, gdy otworzymy drzwi?

Ars Cameralis to bogata oferta koncertów, spotkań literackich, wystaw i pokazów filmowych. W jakich miejscach szukać wydarzeń festiwalowych? Co szczególnie polecacie?

MZ: Zawsze chcieliśmy, aby Festiwal odbywał się w różnych miejscach i przestrzeniach, jednak pandemia mocno nas ograniczała. Teraz powoli staramy się odbudowywać możliwości działania. Na razie wydarzenia festiwalowe będą się odbywać głównie w Katowicach.

TOBIASZ MELANOWSKI: W Jazz Clubie Hipnoza, Kinoteatrze Rialto, Galerii BWA, Teatrze Śląskim, po raz pierwszy będziemy też w Klubokawiarni Wolno. Ale odwiedzimy również na przykład Sosnowiec.

MZ: Pojawią się postaci światowego formatu. Czekają nas trzy intrygujące projekty ze świata sztuk wizualnych. Pierwszy to dzieło artysty z Niemiec Mischy Kuballa. To bardzo ciekawa postać: Mischa skończył psychologię, fascynuje się filozofią starożytną, został artystą i jest związany z Akademią Sztuk Medialnych w Kolonii. W ramach Festiwalu odbędzie się jego wystawa, ale Kuball wygłosi też wykład. Kolejnym punktem festiwalu będzie jubileuszowa wystawa „Sny ze srebra" Wojciecha Prażmowskiego, legendy polskiej ↦

WOJCIECH PRAŻMOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE ARS CAMERALIS

Festiwalowi towarzyszyć będzie m.in. wystawa fotografii Wojciecha Prażmowskiego

fotografii. To przykład inspiracji życiem i twórczością Zygmunta Krasińskiego. Prażmowski pochodzi z Częstochowy, kilkanaście kilometrów dalej znajduje się słynny Złoty Potok Krasińskich. Dla Prażmowskiego literatura, ale także fotografie Zofii Rydet są bardzo ważne. Ekspozycja, niemała, będzie rodzajem podsumowania dorobku artysty. Kolejnym wydarzeniem będzie wystawa fotografii Rogera Deakinsa, a także przegląd jego filmów, spotkanie z nim i jego żoną. We wrześniu ubiegłego roku w wydawnictwie Damiani ukazał się album z jego fotografiami. W ciągu pierwszych miesięcy miał kilka dodruków. Jego nazwisko pojawia się w gronie najlepszych operatorów filmowych na świecie. Wielokrotnie współpracował z braćmi Coenami czy przy takich filmach jak „Blade Runner 2049", „Skyfall", „1917". Deakins zdobył już 15 nominacji do Oscara, a dwa otrzymał. Zdjęcia zaś, które pokażemy na wystawie, będą zaskakujące. Bo to nie są jedynie fotografie z poszukiwania miejsc do planów filmowych.

Gośćmi festiwalu będą pisarze Radek Rak, Wit Szostak, poetki Ewa Świąc i Joanna Oparek. A Justyna Sobolewska z Krystyną Rodowską i Tomaszem Swobodą porozmawiają o twórczości Prousta.

TM: Zapraszamy także na spotkanie z Katarzyną Surmiak-Domańską i Tomaszem Markiewką. Oboje napisali w ostatnim roku książki o pamięci rodzinnej. To będzie spotkanie o tym, czy można pamięć odzyskać, czy można się do niej dogrzebać i czy mówi nam prawdę, czy nas zwodzi, okłamuje. W tym roku za sprawą Radka Raka wprowadzamy do programu literaturę fantastyczną. Obecnie jest on jednym z najbardziej poczytnych u nas pisarzy tego nurtu literatury.

MZ: Wpisywanie go jedynie w ten nurt byłoby etykietowaniem i szufladkowaniem. To jak z twórczością Schulza, nikt nie nazwałby jej kilkadziesiąt lat temu fantastyką. Rak przekracza granice gatunkowe. Jego najnowsza książka „Agla. Alef" mimo anturażu fantastycznego jest nasycona wątkami filozoficznymi, odwołaniami do myśli Jakoba Böhme. Muszę przyznać, że jego twórczość robi na mnie duże wrażenie.

TM: Zaprosiliśmy Wita Szostaka, którego powieść „Szczelinami" napisana jest wierszem. Będą też świetne poetki: Ewa Świąc i Joanna Oparek. Czekam na spotkanie z Krystyną Rodowską i Tomaszem Swobodą, które odbędzie się dokładnie w setną rocznicę śmierci Prousta. Będziemy dyskutować o tym, dlaczego warto tłumaczyć jego prozę na nowo.

Opowiedzcie proszę o planowanych koncertach. W tym roku wystąpi wiele utalentowanych kobiet.

AGATA MOSKA: Festiwal Ars Cameralis zawsze charakteryzował się otwartością na różnorakie gatunki muzyczne. W tym roku usłyszymy muzykę z pogranicza ambientu, futurystycznej elektroniki, wysokiej próby popu, drone'u i jazzu.

TM: Tegoroczny program muzyczny będzie chyba najbardziej eksperymentalnym w historii festiwalu.

AM: Festiwal jest po to, aby edukować, pokazywać nowe zjawiska. Rozpocznie go duet Lea Bertucci & Ben Vida. Saksofony Lei spotkają się z dronowym pejzażem Bena. Ten duet to wiele improwizacji i eksperymentalnych brzmień. Katowice ponownie odwiedzi Jimi Tenor, który ponad dziesięć lat temu dał wspaniały koncert w Jazz Clubie Hipnoza. Gościć będziemy też zespół Zombie Zombie, który zasłynął przeróbkami Carpentera czy Sun Ra. Francuzi trafią w gusta tych, którzy lubią twórczość Kraftwerk.

TM: Zombie Zombie dotychczas eksplorowali przyszłość, ale ich najnowsza płyta cofa nas aż do czasów średniowiecza, teksty są napisane po łacinie.

AM: Posłuchamy także Aleksandry Słyż, polskiej kompozytorki mieszkającej w Sztokholmie, po której na scenę wyjdzie James Ferraro. Niedawno wypuścił muzykę do gry-horroru „Desolation Seed". To będzie uczta zarówno audio, jak i wizualna. Zagra też Młyn, zespół z Wrocławia, który ma przed sobą wielkie perspektywy. A na koniec m.in. występy Lisy Morgenstern (łączącej muzykę klasyczną z eksperymentalną) i Anny B Savage (pogranicze popu i folku).

TM: Nie możemy zapomnieć, że Festiwal ma też swoją filmową odsłonę: pokazy filmów krótkometrażowych BAFTA, „Uncertain Kingdom" i wspomniany wcześniej przegląd filmów Rogera Deakinsa. © Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

MAREK ZIELIŃSKI – dyrektor Instytucji Kultury Ars Cameralis.
TOBIASZ MELANOWSKI i **AGATA MOSKA** – kuratorzy Festiwalu Ars Cameralis.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 45/2022
REDAKCJA: Grzegorz Nurek | PROJEKT GRAFICZNY: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: ALEKSANDRA GRUNHOLZ / STUDIOCHAOTYCZNE.COM
PARTNER
Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

XXXI FESTIWAL ARS CAMERALIS – PROGRAM

07.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Lea Bertucci (US) & Ben Vida (US)

09.11. | 17:30 | KATOWICE | POKAZ FILMU
„Rok 1984” reż. Michael Radford, 1984

09.11. | 19:00 | KATOWICE | SPOTKANIE
Radek Rak, Paulina Małochleb

10.11. | 17:30 | KATOWICE | POKAZ FILMU
„Barton Fink” reż. Ethan & Joel Coen, 1991

10.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Jimi Tenor (FI)

12.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERTY
→ Aleksandra Słyż (PL/SE) + Maks Posio
→ James Ferraro (US)

13.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Młyn

14.11. | 18:00 | KATOWICE | POKAZ FILMÓW
BAFTA 2022 Shorts

15.11. | 17:30 | KATOWICE | POKAZ FILMU
„Jarhead: Żołnierz piechoty morskiej”
reż. Sam Mendes, 2005

16.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Zombie Zombie (FR)

17.11. | 13:00 | KATOWICE | WIĘCEJ ŚWIATŁA! | WYKŁAD
„Mischa Kuball: Przestrzenie referencyjne”

17.11. | 17:00 | KATOWICE | POKAZ FILMU
„Zabójstwo Jesse'ego Jamesa przez tchórzliwego Roberta Forda”
reż. Andrew Dominik, 2007

17.11. | 18:00 | SOSNOWIEC | WERNISAŻ WYSTAWY
„Wojciech Prażmowski: Sny ze srebra”

17.11. | 19:00 | KATOWICE | SPOTKANIE
Wit Szostak, Monika Ochędowska

18.11. | 18:00 | KATOWICE | WIĘCEJ ŚWIATŁA! | WERNISAŻ WYSTAWY
„Mischa Kuball: Przestrzenie referencyjne”

18.11. | 19:00 | KATOWICE | SPOTKANIE
Krystyna Rodowska, Tomasz Swoboda, Justyna Sobolewska

19.11. | 11:00 | KATOWICE | WIĘCEJ ŚWIATŁA! | WARSZTATY
„Dialog zmysłów: Aneta Zasucha”

19.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Lisa Morgenstern (DE)

20.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Anna B Savage (UK)

21.11. | 11:00 | KATOWICE | WIĘCEJ ŚWIATŁA! | WARSZTATY
„Dialog zmysłów: Aneta Zasucha”

21.11. | 18:00 | KATOWICE | POKAZ FILMÓW
„Uncertain Kingdom”

22.11. | 19:00 | KATOWICE | SPOTKANIE
Tomasz Markiewka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Monika Ochędowska

23.11. | 17:00 | KATOWICE | POKAZ FILMU
„Blade Runner 2049” reż. Denis Villeneuve, 2017

23.11. | 18:00–21:00 | KATOWICE | INSTALACJA / KONCERT
„Walk like a ghost”: Søren Siebel (DE), DMKHV, Fabien Zocco (FR)

24.11. | 19:00 | KATOWICE | SPOTKANIE
Joanna Oparek, Ewa Świąc, Jakub Skurtys

25.11. | 18:00 | KATOWICE | WERNISAŻ WYSTAWY
„Roger A. Deakins: Byways / Bezdroża”

25.11. | 20:00 | KATOWICE | KONCERT
Resina x Christina Vantzou (GR/BE/US)

26.11. | 18:00 | KATOWICE | SPOTKANIE
Roger A. Deakins (UK), James Ellis Deakins (US) / Team Deakins, Błażej Hrapkowicz

WIĘCEJ: ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

ORGANIZATORZY:

Ars Cameralis Silesiae Superioris — ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

Województwo Śląskie

PARTNERZY:

MKiDN — DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

PATRONAT MEDIALNY:

TYGODNIK POWSZECHNY

Silesia Film

HOTELE DIAMENT — YOUR COMFORT IS OUR BUSINESS

Polskie Radio Katowice

onet

ultramaryna

BILETY:

ticketmaster®

GDYBY POLSKA

ZIEMOWIT SZCZEREK, PISARZ:

Piszę dużo? Często to słyszę. Ale pisanie jest moją jedyną robotą, nie zajmuję się niczym innym. Nie wyobrażam sobie, żeby wydać jedną książkę na pięć lat.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Kilka lat temu, kiedy powiedziałeś mi: „Mam ochotę rzucić w cholerę robotę i zostać pisarzem", pomyślałam, że zwariowałeś.

ZIEMOWIT SZCZEREK: Pracowałem wtedy w portalu informacyjnym. To nie była zła robota i lubiłem ją, ale miałem naprawdę wielką potrzebę robienia rzeczy, które robić lubię. Powiedziałbym: pójścia na swoje. Nie był to wyrafinowany plan, raczej towarzyszyło mi przekonanie, że muszę coś w swoim życiu zmienić. Uznałem, że mogę podjąć to ryzyko: jeśli się nie uda, po prostu wrócę za biurko. Skorupka niepewności długo mnie otaczała, ale zaczęła powoli pękać, czułem, że czas się wykluć. Nie byłem zresztą debiutantem, publikowałem dużo, m.in. na łamach dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia", w ten sposób przekonałem się, że coś tam potrafię napisać. A moja pierwsza książka „Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian" została doceniona przez krytykę.

To było w 2013 r. Wszystko zaczęło się od podróży do Europy Wschodniej i jej opisywania.

Interesują mnie granice, szybko przekonałem się, że właśnie na Wschodzie są one zarysowane bardzo wyraźnie, często w niezwykle dramatyczny sposób. Mam na myśli nie tylko granice polityczne i polityczno-etniczne, chociaż one także są bardzo istotne, chodzi mi o wszystkie typy granic, także te, według których dzielą się ludzie i otaczająca ich rzeczywistość. One są po prostu fascynujące. Zawsze, gdy przekraczam granicę państwa – niekiedy dzielącą dwie zupełnie odmienne rzeczywistości, a niekiedy właściwie identyczne – doświadczam czegoś chyba najbliższego mistycznemu doznaniu, a takich doznań ja, ateusz, zbyt wiele mieć nie mogę. Tymczasem bum: drzewa te same, trawa ta sama, a rzeczywistość – jak za machnięciem magicznej różdżki – tak szybko się zmienia.

Pisząc o „granicy" często odwołujesz się do swojego rodzimego kraju.

Ciekawi mnie miejsce Polski w całej tej środkowo- i wschodnioeuropejskiej układance. Urodziłem się w Radomiu, stamtąd do jakiejkolwiek granicy jest daleko, dlatego wręcz wydawała mi się ona jakąś aberracją. Ale i ciągnęło mnie do niej. Choćby po to tylko, żeby np. w Tatrach czy Bieszczadach nogę na słowacką stronę wystawić. Albo i czechosłowacką, bo przecież dwadzieścia kilka lat temu istniało takie państwo. A są kraje, które *de facto* w całości składają się z terenów przygranicznych. Albo ta nieistniejąca niby-granica pomiędzy Ukrainą, w której mówiło się po ukraińsku, a Ukrainą, gdzie już mówiono po rosyjsku. Tą, gdzie czuć dawną habsburgię, i tą, gdzie jej nie czuć. Potem zrozumiałem zresztą, że takie granice są też w Polsce, w Serbii, w Rumunii. Na Wschodzie, Południu granice są o wiele bardziej fascynujące niż na Zachodzie. Jednak po wielu latach dochodzę do wniosku, że za wszystkimi tymi zainteresowaniami, eksploracjami i tak zawsze stała Polska. ↦

ZIEMOWIT SZCZEREK jest dziennikarzem i prozaikiem, specjalizuje się w problematyce Europy Wschodniej i Środkowej. Współpracuje m.in. z „Nową Europą Wschodnią" i „Krytyką Polityczną". Laureat Paszportu „Polityki", nominowany do dziennikarskiej nagrody MediaTory oraz dwukrotnie do Nagrody Literackiej Nike i Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus". Właśnie ukazała się jego książka „Wymyślone miasto Lwów".

MIKOŁAJ STARZYŃSKI / FORUM

↦ **To znaczy?**

Przez wszystko, co robię, próbuję sobie wytłumaczyć moje miejsce w świecie jako Polaka. I nawet jeśli bym zaczął tę swoją polskość dekonstruować, upierać się, że Polakiem nie jestem – jak śpiewała Guernica y Luno: „Nie jestem Polakiem, tu się tylko urodziłem, a że mówię tym językiem, to kwestia wychowania" – to jednak tu się urodziłem i mówię tym językiem. I piszę w nim. Jakiś czas zresztą się przeciw tej „polskości" buntowałem, jak wobec wszystkich rzeczy, które zostały mi narzucone, a nie wybrane przeze mnie, ale w końcu pogodziłem się z tym, polubiłem tę polskość, choć właściwie zawsze ją lubiłem, po prostu przeszkadzała mi, bo mnie w jakiś sposób ograniczała. Ale polubiwszy ją tak na serio, poczułem potrzebę wytłumaczenia sobie, kim jestem, i spojrzenia na swoje miejsce w świecie z różnych perspektyw.

Tak na nowo?

Nie chciałem zadowalać się stereotypami na temat swojej polskości, więcej: wciąż jestem ciekaw, czy można o Polsce i otaczającym ją regionie napisać w inny, oryginalny sposób. A jak lepiej zrozumieć siebie, niż patrząc na innych, porównując – choć nie wartościując – wychwytując podobieństwa i różnice? No i jeszcze jedno: Wschód mnie zafascynował, ponieważ stał się dobrym narzędziem do opowiadania o relacjach centrum–peryferia. To mnie najbardziej wciąga. Lubię znajdować paralele. Niedawno odwiedziłem Dominikanę, byłem zachwycony odnajdując tam punkty styczne z Polską i Europą Wschodnią.

Wydane teraz „Wymyślone miasto Lwów" jest książką zupełnie inną od „Mordoru" – Twojej pierwszej opowieści o pograniczu polsko-ukraińskim.

„Mordor" był krytyką wszystkich tych naiwnych polskich wzruszeń, spostrzeżeń i przemyśleń dotyczących „inności" Wschodu. Podczas pierwszych podróży do Ukrainy przekonałem się, że człowiek posiadający pewien *background* kulturowy, rzucony w obce sobie miejsce, ulega dość taniej pokusie wartościowania, przerzucania tej postrzeganej „gorszości" od strony centrum w stronę peryferii właśnie. Idiotyczne powielanie schematu: skoro wielu Niemców gardzi Polakami, to – chociaż mi się ten schemat nie podoba – powielę go i będę opowiadał takie same rzeczy na temat Ukrainy. Będę czuł jakąś nieetyczną, ale dowartościowującą wyższość: „Niemcy mówią, że u nas jest burdel? Na Ukrainie to dopiero jest burdel!". Ta książka była niczym innym, jak próbą zniszczenia tego zjawiska. A „Lwów" napisałem już długo po zdekonstruowaniu tych wzorów. To zupełnie inne spojrzenie na świat.

Rzeczywiście „Mordor" miał sporo szczeniackich wątków. Twój bohater odurzał się balsamem Wigor, czyli lekiem na potencję. We „Lwowie" jest poważniej, sam piszesz w nim: „starzeję się".

No właśnie, to wszystko z wyżej wymienionych powodów. Poza tym, cóż, sam Lwów się zmienił. Z postsowieckiego betonowego trupa, w którym rynek i jego okolice wyglądały po prostu jak kolejne socjalistyczne osiedle, tylko że starsze i sypiące się jeszcze bardziej, zamienił się w coś w rodzaju eurodisneylandu. Teraz jest formą nadrobienia tęsknoty za starą Europą, która gdzieś się w nim przecież gnieździła. Tylko że ta swoiście pojmowana Europa przegięła, przelała się przez miasto, jak Odra w 1997 roku. Przykryła miasto.

A dziś?

Dziś we Lwowie jest o wiele mniej zagranicznych turystów, wiadomo: wojna, przyjeżdżają natomiast wolontariusze z pomocą humanitarną. Miasto czeka na moment, w którym otworzą się granice i znów będzie można się bawić, ale bez przesady: sami lwowianie i ludzie z innych miejsc w Ukrainie, między innymi ci, którzy uciekli przed wojną, też to miasto całkiem nieźle wypełniają. We Lwowie istnieje klasa średnia, wiadomo, że wojna przetrzebiła kieszenie prawie każdego, ale żeby na kawę nie pójść? To nie po lwowsku. Niedawno odwiedziłem Lwów i pomyślałem sobie, że nie wiem, co musiałoby się stać, żeby to miasto się zmieniło, żeby skończył się w nim karnawał.

Lubisz bawić się historią. Zastanawiać się, „co by było, gdyby...". To podejście widać w każdej Twojej książce. Czy pomaga w zrozumieniu opisywanych miejsc?

Absolutnie. Zresztą wiele historii alternatywnych się zdarzyło. Chcesz wiedzieć, jak wyglądałaby Polska, gdyby była częścią ZSRR? Wystarczyło dwadzieścia lat temu pojechać do Mościsk, Lwowa, Drohobycza. Chcesz wiedzieć, co by się stało z językiem polskim w tej samej sytuacji? Jedź na Wileńszczyznę, pogadaj z ludźmi. Chcesz wiedzieć, jak wyglądałaby Polska, gdyby cała tworzyła wspólne państwo z Austrią? Jedź do Galicji, na Węgry i tak dalej... Chcesz zobaczyć, jak wyglądałaby Polska, gdyby nie zawarła unii z Litwą i nie skierowała się na cały ten wschód, który ją przeżuł i wypluł, bo on każdego przeżuwa i wypluwa? Jedź do Czech. Albo choćby do Wielkopolski. Albo na Pomorze.

Jako pisarz wybrałeś esej drogi.

Ten rodzaj literatury najbardziej mnie kręci, również jako czytelnik przyjmuję go w sposób najbardziej intuicyjny. Kiedy pracowałem nad „Chamem z kulą w głowie" (czyli moim debiutem kryminalnym) czy „Siwym dymem", uzmysłowiłem sobie, że ten rodzaj pisarstwa wymaga innego przygotowania. Trzeba o wiele bardziej niż w eseistyce przygotowywać konstrukcję, koncepcję, przemyśleć bohaterów, właściwie to wchodzić w nich, grać ich rolę. Dopiero teraz, niedawno, kończąc drugą część „Chama z kulą w głowie", nauczyłem się konstruować książkę w taki sposób, by odczuwać z niej pełne zadowolenie. Praca nad tym tekstem pomogła mi się rozwinąć, jestem jednak świadom, że wciąż uczę się pisać. Wydaje mi się, że zacząłem używać stylu, który sam lubię czytać. A jako czytelnik chcę, żeby książka mnie podkręciła, zafascynowała, kryła frapującą opowieść.

Sam jesteś fanem Stasiuka, Andruchowycza, Haška, Pielewina. Czyli pisarstwo Europy Wschodniej i Środkowej.

Pewnie też Gombrowicza, a nawet Sienkiewicza. Lubię rzeczy, które „się czytają", a pisarze z naszego regionu świata to potrafią. Owszem, lubię pisarzy z Zachodu, choć często zachodni typ dowcipu wydaje mi się trochę przyciężki, a może to uprzedzenie? Jak każdy gówniarz w liceum czytałem Kurta Vonneguta, jego literatura też w jakimś stopniu mnie ukształtowała, dała mi *background* w postaci konstrukcji tekstu. Nauczyłem się, że powinien on być krótki, mocny, skumulowany jak punkowa piosenka.

Wyjątkowo uwiodła Cię „Moscoviada" Andruchowycza.

Ta książka była napisana w sposób niezwykle wkręcający. Chyba nawet byłem w stanie – na tamtym etapie – wybaczyć Andruchowyczowi jego seksistowski styl. Urzekła mnie historia ukraińskiego poety zagubionego w obcym mieście, takiego trochę anty-Bogarta w anty-Chicago. „Moscoviada" mówi o wyrwaniu się z narzuconej tożsamości i poszukaniu nowej identyfikacji. We wschodniej kulturze każdy dzień potrafi być dla człowieka prawdziwą męczarnią, w Galicji jeszcze można wytrzymać, ale poza nią naprawdę brakuje czegoś, co można nazwać dobrą, jakościową formą codzienności. To zawsze mnie przerażało, bo – podobnie jak Andruchowycz – odkąd pamiętam, szukałem prawa do „własnego szczęścia i własnego piwa".

W równym stopniu ciągnie Cię do Europy Środkowej, na Bałkany. Napisałeś „Międzymorze" i „Via Carpatia".

Bałkany i Europa Środkowa, czyli cały region na południe od Polski, jest najbardziej fascynującym miejscem na świecie. To tu nakładają się na siebie tożsamości, granice, a lokalsi – co też mnie ujmuje – w różny sposób sobie z tymi różnicami radzą. Ukraińcy – na przykład – lubią utulić w sobie tę swoją swojskość, a Polacy – tu upatruję pewnego kompleksu – często jej nienawidzą, wyszydzają, odrzucają. Uwielbiam podróżować do Europy Środkowej, na Bałkany, bo tam odpoczywam. Kiedy jeździ się do Ukrainy, to trzeba trochę czasem zaciskać zęby, w Rosji trzeba bardzo mocno zaciskać zęby, a Południe jest przyjemne. Dla Polaka ten region jest tym samym, czym dla Francuza jest Hiszpania.

Jak udaje się zapamiętać wszystko to, co opisujesz?

Pisanie jest dla mnie bardzo intuicyjne. Zestawiam ze sobą krajobrazy, zjawiska, które czasem nawet przypadkowo wejdą mi w kadr, wpadną w ucho. Umiem syntezować, przekształcać obserwacje w coś na kształt teatralnej sztuki. Wokół nas znajdują się przecież przejmujące obrazy, jest ich cała masa: ktoś wykona jakiś gest, wypowie niepomiernie ważne zdanie. Później należy jednak oddzielić obserwacje od swoich tez i przekonań. Uczciwie zapytać siebie samego: „Co oznacza zauważone przeze mnie zjawisko? Czy to, co zaobserwowałem, jest faktycznie potwierdzeniem jakichś przemyśleń, czy tylko ja sam chciałbym, by takie było?".

> We wschodniej kulturze każdy dzień potrafi być dla człowieka prawdziwą męczarnią, brakuje dobrej formy codzienności.
> **Odkąd pamiętam, szukałem prawa do „własnego szczęścia i własnego piwa".**

A te szczegóły?

Wydaje mi się, że jestem wyczulony na zapachy, obrazy. Ważniejsze jest dla mnie tło opowieści niż ona sama. Żyjemy przecież w czasach, w których opowiedziano już wszystko, zastanawiam się, czy można pewne rzeczy opowiedzieć inaczej. To jest niezwykle fascynujące – jakiego użyć języka, po jaką formę sięgnąć, by stworzyć oryginalną narrację.

Pisząc zostaję sam na sam z komputerem. Chyba nigdy nic nie napisałem pod wpływem alkoholu, może czasem w knajpie gdy pracuję, to jakieś piwo wypiję. Nawet nie palę, bo przecież nie można jednocześnie trzymać papierosa w łapie i pisać. A jak się trzyma w ustach, to dym w oczy wlatuje.

Kiedyś usłyszałam, że praca nad tekstem przypomina świdrowanie na przodku.

Uwielbiam pisać. Kiedy wyobrażam sobie moment, w którym siadam za komputerem i zaczynam pracować, czuję ekscytację. Otwieram plik i jestem najszczęśliwszy.

Tekst układasz w głowie?

Przeglądam notatki. W myślach układam ogólny zarys tekstu, szybko zasiadam do komputera, bo najlepsze frazy powstają w chwili pisania, nie planowania. Biorę pod uwagę fakt, że niektóre rzeczy mogą się zmienić podczas pisania. Często wiele ciekawych myśli przychodzi mi do głowy już na finiszu. Kończąc pracę nad drugą częścią „Chama", wpadłem na genialny zwrot akcji, muszę więc ułożyć na nowo całą fabułę, ale lubię, jak narracja mnie zaskakuje.

Czasem wydaje mi się, że masz sobowtóra albo dar bilokacji.

Bo piszę dużo? Często to słyszę. Ale pisanie jest moją jedyną robotą, nie zajmuję się niczym innym. Ja sobie z kolei nie wyobrażam, żeby wydać jedną książkę na pięć lat.

Jeździsz w miejsca ogarnięte konfliktami, pogrążone w biedzie. Jakie towarzyszą Ci emocje?

Świat jest fraktalem, wszystkie te wojny, problemy mniejszości, rewolucje itd. są w swej formie do siebie podobne. Różnice widać dopiero na miejscu, kiedy przyglądasz się szczegółom, ale te szczegóły rzadko są decydujące. Wiesz, mam już swoje lata, trochę się świata nauczyłem. Wiem, jakim potrafi być podłym skur... Oczywiście – nieco inny rodzaj wykluczenia i biedy można zobaczyć, powiedzmy, w Polsce, a inny w Ukrainie, ale jednak to wciąż są wykluczenie i bieda. Nie odróżniam swojego życia zawodowego od pozazawodowego, cały czas wystawiam się na bodźce, które wysyła świat.

Był moment, kiedy mocno zaangażowałeś się w polskie spory polityczne, potem żałowałeś.

Wezbrała we mnie wściekłość związana z rządem PiS-u. Musiałem to wywrzeszczeć. Kiedy zdajesz sobie sprawę, że rządzą tobą niekompetentni ludzie, na żenująco niskim poziomie moralnym, emocjonalnym i intelektualnym, to po prostu szukasz jakiegoś ujścia dla swoich emocji. Z czasem owa wściekłość zamieniła się w szyderstwo. W pewnej chwili poczułem jednak, że stoję na środku jakiegoś placu boju, ze sztachetą w łapie i po kolana w bebechach, a ja przecież wcale nie chcę, ani też nigdy nie chciałem w tym miejscu być.

A inni są?

Niestety, PiS narzucił swoje standardy – kiedyś trudno było wyobrazić sobie na przykład lewicę, która nie dzieliłaby włosa na czworo, a dziś podstawą dyskursu lewicowego jest prostackie dzielenie na „my" i „oni". Nienawidzę tego. Znów powiem za Guernica y Luno, co ostatnio przypomniał kolega po piórze, Konrad Janczura: faszyzm jest wtedy, gdy świat staje się dla ciebie czarno-biały.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

RINA SKEEL / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ODIN TEATRET X2

Spektakl „Drzewo", Holstebro, wrzesień 2016 r.

Kapitanie, mój kapitanie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Eugenio Barba twierdzi: „Teatr jest nieznośny, jeśli redukuje się go do przedstawień". On sam poświęcił się teatrowi jako dosłownie i precyzyjnie rozumianemu sposobowi życia.

Tak brzmi oficjalna formuła: „Ostatnie przedstawienie założyciela Odin Teatret zrealizowane w Nordisk Teaterlaboratorium z zespołem Odin Teatret". Premiera „Teb w czasie żółtej febry" 86-letniego Eugenia Barby odbyła się 12 września w siedzibie zespołu i laboratorium w duńskim Holstebro, a następnie przedstawienie było pokazywane w Rzymie i w Bari, w rodzinnej Apulii reżysera. Wszędzie towarzyszyły mu komentarze mówiące o pożegnaniu, odchodzeniu.

22 października w Goleniowie, w nowej instytucji kultury Rampa, odbyła się jego polska premiera. Do zachodniopomorskiego miasta zjechali się ludzie, którzy nie tylko i nie tyle pamiętają, jak wiele Eugenio Barba zrobił dla polskiego teatru i polskiej kultury, ile chcieli jeszcze raz spotkać się z tym niezwykłym człowiekiem i artystą. Nie żeby się z nim pożegnać, ale by zaczerpnąć od niego wiary, że żadna zapowiadana apokalipsa nie położy kresu temu, czemu poświęcił swoje życie.

Po niedawnej śmierci Petera Brooka podniosły się głosy wieszczące kres teatru eksperymentujących mistrzów. Ale historia długiego, twórczego życia Eugenia Barby, a także coś niedającego się nazwać, co ją prześwietla i rozjaśnia, nie mówi o końcu – raczej o tym, co wciąż nadchodzi i się zapowiada. Nie o zmierzchu, ale o brzasku.

Diament i popiół

Biografia Eugenia Barby jest niewiarygodna. Urodzony w 1936 r., wychowany w salentyńskim miasteczku Gallipoli, jest synem oficera, który zginął na wojnie. Początkowo szedł śladami ojca i wstąpił do szkoły wojskowej, ale już po jej ukończeniu podjął decyzję o radykalnej zmianie swojego życia, opuszczając nie tylko szeregi wojska, ale i ojczyznę. Z południa Włoch przeniósł się na północ Europy – wyemigrował do Norwegii, gdzie pracował jako spawacz i marynarz, wiążąc się także z lewicowym ruchem związkowym.

Jednocześnie studiował na uniwersytecie w Oslo, zmieniając i mieszając kierunki (francuski, literatura norweska, historia religii). Jak sam po latach wspominał w pasjonującej książce autobiograficznej „Ziemia popiołu i diamentów", po obejrzeniu filmu Andrzeja Wajdy nagle postanowił pojechać do Polski. Przybył tu w marcu roku 1961 na stypendium, by rozpocząć... studia reżyserii teatralnej w warszawskiej PWST. Nie wytrwał na nich długo, bo już w styczniu roku 1962 przeprowadził się do Opola, gdzie został uczniem, asystentem (m.in. przy „Akropolis"), a wkrótce najwierniejszym sojusznikiem i propagatorem twórczości Jerzego Grotowskiego.

Eugenio Barba, 2016 r.

Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że to Barba był w dużej mierze sprawcą międzynarodowego sukcesu Grotowskiego. To on jeździł po teatralnej Europie i usiłował zainteresować ją dziwnym zespołem z nikomu nieznanego polskiego miasta. To on w czerwcu 1963 r. wynajętym za własne pieniądze autobusem zabrał grupę uczestników kongresu Międzynarodowego Instytutu Teatralnego z Warszawy do Łodzi, by mogli zobaczyć pokazywane tam przez Teatr Laboratorium 13 Rzędów „Tragiczne dzieje doktora Fausta". To on opublikował na łamach prowadzonego przez Richarda Schechnera pisma „The Drama Review" opis tego przedstawienia (Schechner pomyłkowo przypisał autorstwo Grotowskiemu). Napisał i opublikował po włosku w roku 1965 pierwszą książkę o Grotowskim, zawierającą rozmowy z nim (nosiła tytuł „W poszukiwaniu straconego teatru"). I to on w końcu wydał najsłynniejszą książkę Grotowskiego „Towards a Poor Theatre". Zapewne Grotowski znalazłby inne sposoby zainteresowania świata swoim teatrem, ale gdyby nie Barba, jego droga byłaby na pewno dużo dłuższa i trudniejsza.

Bogate związki Barby z Polską, nieograniczające się tylko do wieloletniej współpracy z Grotowskim, zostały opisane w przygotowanej przez Zofię Dworakowską i Monikę Blige grubej książce „Tysiąc i jedna noc" (2014). Ale nawet ona tylko w części oddaje niezwykłą więź łączącą Eugenia z polskimi przyjaciółmi. Serdeczność, wdzięczność (wyrażona także oficjalnymi zaszczytami, takimi jak doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego w roku 2003) i wszelkie inne „ciepłe słowa" nie oddają tego, co sprawia, że na sam dźwięk jego imienia wszystko zdaje się rozjaśniać.

Osoby znające go jeszcze z Opola wspominają, jakim niezwykłym zjawiskiem był w szarzyźnie Polski Ludowej serdeczny uśmiech młodego Włocha, którego sama obecność zdawała się surrealistycznym żartem. Polska i świat od tego czasu bardzo się zmieniły, ale Barba, przez lata nawet zimą chodzący w sandałach (po wyjeździe do Norwegii postanowił, że zawsze będzie mieć ze sobą włoskie lato), wciąż jest przybyszem z innego świata. Dziś to wrażenie jest wręcz nieodparte.

Teatr-kultura

W roku 1963 Barba wyruszył używanym samochodem w kolejną nieprawdopodobną podróż – do Indii. Dotarł do Kerali, gdzie poznał techniki klasycznego teatru *kathakali*, rozpoczynając zainteresowanie nim i innymi indyjskimi tradycjami performatywnymi wśród zachodnich praktyków. Po powrocie do Europy założył w Oslo własny zespół, który nazwał Odin Teatret – Teatr Odyna.

Rok później władze małego duńskiego miasta Holstebro zaprosiły grupę do pozostania w nim na stałe. Jak Opole Grotowskiemu, tak wkrótce nikomu dotąd nieznane prowincjonalne jutlandzkie miasto miało zawdzięczać Barbie sławę w całym teatralnym świecie. I choć w jakiejś mierze stało się to też dzięki reżyserowanym przez niego głośnym przedstawieniom, to nie one zadecydowały o znaczeniu Odin Teatret.

U początków był to teatr odrzuconych. Barba jako obcokrajowiec nie został zaakceptowany przez norweskie środowisko teatralne, a młodzi ludzie, których wokół siebie zgromadził, byli odrzuconymi kandydatami do oficjalnych szkół teatralnych. Ich braki okazały się szansami. Ponieważ nie mieli oczywistych, gotowych rozwiązań, byli zmuszeni do poszukiwania. Sam Barba przyznawał po latach, że jako lider bardziej udawał, że coś wie, niż rzeczywiście wiedział. Stosował elementy ćwiczeń i warsztatów podpatrzone u Grotowskiego i w Indiach, sprawdzał swoje pomysły.

Uczyli się sami od siebie, jednocześnie tworząc pierwsze przedstawienia, i na pewno nikt nie przypuszczał, że w ten sposób rozpoczyna się historia zespołu, który istnieć będzie przez ponad pół wieku. Barba wielokrotnie powtarzał lekcję swego warszawskiego profesora, Bohdana Korzeniewskiego – że długość życia zespołu teatralnego jest równa długości życia psa – góra kilkanaście lat. I sam się dziwił, że jego zespół tej zasadzie zaprzeczył.

Warto ten casus przestudiować i przemyśleć właśnie dziś, gdy tyle się mówi o zmianie relacji w kolektywach artystycznych, gdy słowo „mistrz" staje się niemal drwiącą inwektywą, a „lider" – oskarżeniem. Z jednej strony fenomen Odin Teatret był efektem współpracy niezwykłych osobowości, ale z drugiej, chyba ważniejszej – rezultatem świadomego pozostawiania każdej z nich autonomii twórczej, poszanowania dla ich własnych poszukiwań, zgody na niezależną aktywność, a w końcu także przyjęcia ↦

↦ modelu reżyserii, która polega raczej na służeniu cudzemu procesowi twórczemu niż na narzucaniu własnej woli.

Rozumieli teatr nie jako dziedzinę sztuki (a już zupełnie nie jako przedsiębiorstwo), ale – kultury. Barba napisał kiedyś takie zdanie, które często kiedyś cytowałem i chyba zacznę znów powtarzać: „Teatr jest nieznośny, jeśli redukuje się go do przedstawień". On sam poświęcił się teatrowi nie jako zawodowi, ale jako dosłownie i precyzyjnie rozumianemu sposobowi życia.

Rzemiosło teatralne, którego Barba jest w jego rozlicznych historycznych i globalnych wariantach wybitnym znawcą, stanowi rdzeń jego pracy, ale nie jej cel. Stanowi raczej napęd pozwalający na organizowanie życia w nieustannym sprzeciwie wobec tego, co dominuje wokół. Teatr jako „inna scena", „inna przestrzeń" niemal zawsze stanowi alternatywę wobec codzienności, rodzaj „ruchomego święta". Wśród wielu nieprawdopodobnych rzeczy, których dokonał, być może najbardziej nieprawdopodobną jest ta, że udało mu się to „święto" uczynić zasadą swojej codzienności. Choć kontrkultura, której częścią było także jego twórcze życie, poniosła klęskę jako projekt społeczny i polityczny, to on sam nie poległ i nie poddał się.

Poprzez teatr stworzył sobie i osobom z nim związanym życie odmienne, prowadzone według zasad własnych, rozbijające w pył masochistyczne usprawiedliwienia, którymi tak często się posługujemy. To właśnie teatr pozwolił mu nadać banalnemu westchnieniu „takie jest życie" zupełnie nowy sens – nie rezygnacji, ale spełnienia.

Bezgranicznie

Założyciel Odin Teatret jest znany na całym świecie także jako twórca ważnych, kiedyś wręcz modnych koncepcji i teorii związanych z relacjami między odmiennymi kulturami. Antropologia teatru, której międzynarodową szkołę (ISTA) założył w roku 1980, polegała na poszukiwaniu transkulturowych zasad, dających się praktycznie i analitycznie odnaleźć i opisać niezależnie od kulturowych i historycznych różnic oraz uwarunkowań poszczególnych technik i tradycji.

Czytając niezwykle konkretny i zarazem chwilami niemal poetycki słownik antropologii teatru, „Sekretna sztuka aktora", napisany przez Barbę i Nicolę Savaresego, biorąc udział w sesjach ISTA (polska odbyła się w Krzyżowej i Wrocławiu w roku 2005), można i teoretycznie, i praktycznie przekonać się o względności dwóch przeciwstawnych dogmatów dzielących współczesność: kulturowego esencjonalizmu napędzającego nacjonalizm oraz kulturowego relatywizmu sprawiającego, że wszystko, co uważano za stałe i co dawało oparcie, rozpływa się w powietrzu.

Stworzył sobie i osobom z nim związanym życie odmienne, prowadzone według zasad własnych. Teatr pozwolił mu nadać banalnemu westchnieniu „takie jest życie" **nowy sens: nie rezygnacji, ale spełnienia.**

Barba wskazuje trzecią drogę łączącą stałość i ruch – odkrywanie wspólnoty poprzez poznawanie i szacunek dla różnic. To paradoksalne połączenie obecne jest w metaforach, których tak często używa. Gdy pisze o pływających wyspach („Beyond the Floating Islands" to tytuł jego książki z 1987 r.) czy o kanoe z papieru (tytuł książki wydanej w Polsce w 2007 r.), odwołuje się do takiego właśnie rozumienia kultury, które nie znosi różnic, ale znosi granice między nimi, zwłaszcza te strzeżone zakazami wywozu i obłędną polityką rzekomej czystości rodzimego.

Nie przypadkiem jednym z pojęć, które kiedyś Barba wprowadził do praktyki i myśli teatralnej, jest ekonomiczne pojęcie barteru. Pojawiło się ono w jego słowniku po tym, gdy Odin Teatret przebywał wiosną roku 1974 w miasteczku Carpignano, w Salento, niedaleko Lecce. Usiłując usprawiedliwić i uzasadnić swoją obecność w sytuacji nieoczywistej, bez instytucjonalnych ram, zespół oferował mieszkańcom to, co (u)miał – swoją teatralną pracę. Odpowiedzią – jak twierdzi Barba, spontaniczną – były pieśni zaśpiewane aktorom przez mieszkańców. Tak narodził się teatralny barter – kulturowa wymiana dóbr, dialog, którego wartość nie polega na przekazywaniu wpływów czy uleganiu im, ale na tym, co zostaje odkryte i ustanowione jako sfera kontaktu pomiędzy zachowującymi swoją swoistość elementami.

W 1984 r., kiedy Odin po raz pierwszy miał występować w Nowym Jorku, Jerzy Grotowski w rozmowie z Richardem Schechnerem wśród cech charakteryzujących Barbę wymienił jego europejskość. Na pytanie wyraźnie zdziwionego Schechnera, co miałoby to znaczyć, odpowiedział: „Barba nie jest Włochem, Norwegiem czy Duńczykiem. Jest Europejczykiem. Odin Teatret jest zjawiskiem głęboko europejskim. W Odin można zobaczyć, że rzeczywiście istnieje swego rodzaju archetypowa Europa – Europa, która czerpie pokarm z poszczególnych krajów. Barba reprezentuje tę Europę".

Dziś Europa stoi u progu rozpadu. Europejskość Eugenia Barby, podobnie jak jego antropologia teatru, barter, pływające wyspy, a nawet Trzeci Teatr wydają się należeć do wspomnień z przeszłości, budzących jedynie nostalgię u dawnych bojowników. Również język teatralny Odin Teatret wielu wydaje się anachroniczny. Być może właśnie dlatego młode kierownictwo Nordisk Teaterlaboratorium postanowiło przejąć władzę i rozstać się z ojcem założycielem. Może nawet tak stać się musiało i choć rozstanie nie jest łatwe, w sposób zaskakujący sprawiło, że w dziewiątej dekadzie życia Eugenio Barba znów staje niejako na początku, zaczynając od nowa.

Bo ten wieczny chłopiec o słonecznym uśmiechu, mimo metryki młodszy od wielu z nas, także tych, którzy w Goleniowie widzieli go po raz pierwszy, nie zamierza dać się zamknąć w historii. Wielu zdziwiła jego decyzja o pokazaniu w Polsce najnowszego spektaklu właśnie w pomorskim miasteczku, daleko od kulturalnych stolic kraju. Ja czytam ją nie tylko jako dowód uznania i sygnał wsparcia dla pracy, jaką w Goleniowie wykonują Daniel Jacewicz i Teatr Brama (to dzięki nim miasto jest znane w Polsce nie tylko jako miejsce, gdzie znajduje się lotnisko Szczecina i wylot Baltic Pipe).

Czytam ją właśnie jako akces do nieznanej przyszłości, która rodzi się na marginesach, poza centrami, wśród ludzi, którzy nie tworzą kultury, nie zajmują się jej polityką, kontrolą i konsumpcją, ale bezgranicznie nią żyją na swoich pływających wyspach. Eugenio Barba – kapitan papierowej łodzi – właśnie wyrusza z nimi w kolejny rejs.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Obrazy pochodzenia

PIOTR KOSIEWSKI

Coraz częściej artystki i artyści zauważają, że miejsce pochodzenia miało wpływ na ich przyszłe życie. Kluczowe stało się pytanie: skąd jestem? Dużo ważniejsze niż stare: kim jestem?

Karola Palczaka (rocznik 1987) okrzyknięto jednym z największych odkryć artystycznych ostatnich lat. Nic nie zapowiadało, że tak się stanie.

Po ukończeniu studiów w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w 2015 r. powrócił do rodzinnej wsi Krzywcza na Podkarpaciu. Malował, ale niewiele wystawiał. Zmianę przyniósł rok 2019, kiedy otrzymał Grand Prix na cenionym konkursie Bielska Jesień. Rok później został nominowany do Paszportu „Polityki". Jego obrazy zaczęły trafiać do prywatnych kolekcji. Obecna ekspozycja w Fundacji Galerii Foksal, w jednej z najbardziej wpływowych prywatnych galerii w Polsce, z którą na stałe współpracują m.in. Paweł Althamer, Wilhelm Sasnal i Monika Sosnowska, potwierdza pozycję, jaką w ciągu zaledwie kilku lat wypracował sobie w polskiej sztuce.

Dlaczego te prace przyciągnęły tak dużą uwagę? Dzieła Palczaka wydają się skrajnie tradycyjne, dopracowane w najmniejszych szczegółach. Zdają się spełnieniem oczekiwań rozmaitej maści konserwatystów marzących o powrocie do przeszłości. Jego przypadek jest jednak bardziej skomplikowany i ciekawszy.

Obejście

„Będzie się wpatrywała w siebie po to jedynie, aby w sobie odnaleźć świat, pamięć i wyobrażenie minionych dni" – pisała tegoroczna noblistka Annie Ernaux o bohaterce swojej powieści „Lata". Opowiadała o własnym doświadczeniu życia na francuskiej prowincji i przynależności do ↦

MAREK GARDULSKI / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY I FUNDACJI GALERII FOKSAL X3

Karol Palczak, Bez tytułu (Petarda), 2022 r., olej na blasze ocynkowanej na płycie MDF, 53,5 x 26,5 cm

↦ klasy robotniczej. Podobnie, przez swoje własne historie, mówili o francuskiej rzeczywistości ostatnich dekad Didier Eribon czy Édouard Louis, o których książkach dyskutowaliśmy również w Polsce. Poświęcili swoje utwory ludziom, którzy nie odnajdują się w świecie ukształtowanym przez transformacje gospodarcze, społeczne czy kulturowe, od końca lat 80. przeorujące nie tylko zachodnioeuropejskie społeczeństwa. Ale też daleko im do tych wszystkich, którzy w klasach ludowych chcą widzieć nośnik tradycyjnych wartości mający ocalić upadający zachodni świat.

Twórczość Eribona, Ernaux czy Louisa bywa określana mianem „literatury pochodzenia". O obrazach Karola Palczaka można powiedzieć, że to malarstwo pochodzenia, gdyż wieś Krzywcza, gdzie się wychował i nadal mieszka, pozostaje dla niego podstawowym punktem odniesienia. Przestrzenią, o której opowiadają jego obrazy.

„Czasami mi się wydawało, że już nie mam co malować: tu byłem, tam byłem, już nie ma co – mówiłem sobie. Ale potem spojrzałem na rzeczywistość w inny sposób. Na przykład na samym podwórku, w jednej spiżarce czy w garażu można zobaczyć tyle tematów" – mówił w rozmowie z Urszulą Honek opublikowanej na łamach „Tygodnika Powszechnego". I dodawał: „Trzeba tylko to zauważyć".

Pierwsza część wystawy „Śreżoga" w Fundacji Galerii Foksal mówi o podwórku domu artysty, otaczających go zabudowaniach i osobach bliskich. Mamy tu więc szare budynki z psią budą, górę węgla przykrytą folią i kopę zszarzałego śniegu. Palczak maluje gospodarskie pomieszczenie z leżącą w kącie wielką kukłą wykonaną ze słomy i kawałków starej foli, zepsuty bojler, wrak samochodu, przydomowego psa uwiązanego na łańcuchu. W jego obrazach są obecne rzeczy banalne, proste, jak żarówka paląca się u sufitu.

Są też osoby z najbliższego otoczenia: na jednym z obrazów kilku chłopaków robi coś w gospodarczym pomieszczeniu, na innym jeden z nich, ubrany jedynie w szorty, stoi tyłem do widza. Jego sylwetka wyłania się ze strumienia światła padającego poprzez uchylone drzwi.

Karol Palczak „Ogień", 2022 r., olej na blasze aluminiowej przybitej do płyty OSB gwoździmi, 26,7 x 25,5 cm

Niektóre prace utrzymane są w czarno-białej tonacji, a jednocześnie na wystawie pokazano ich barwne wersje, jakby Palczak chciał sprawdzić, który z wariantów będzie mocniej oddziaływał. Ograniczona tonacja szarości, żółcieni i brązów bywa nagle przełamywana jednym-dwoma barwnymi akcentami: a to intensywną, różową wstążką, którą związano zeschnięte kwiaty zawieszone w kącie pomieszczenia gospodarczego, a to błękitem uszczelek starego bojlera. Te skromne obrazy okazują się bardzo wysmakowane, także kolorystycznie.

Uderzające są ich rozmiary: niewiele z nich przekracza 40 na 30 cm – największy liczy sobie 100 na 60 cm. Ten format sprawia, że odbiorca ma kontakt z malarstwem bardzo kameralnym, wręcz intymnym, co nie jest dzisiaj częstym doświadczeniem. Nietypowy jest wreszcie materiał, na którym powstały: to blacha ocynkowana, która wydobywa kolory i nadaje im lekko metaliczny poblask.

Głosy stąd

Technika, materiały, a przede wszystkim przywiązanie do malarstwa dopracowanego w najmniejszych szczegółach sprawiają, że Karol Palczak bywa porównywany do dawnych holenderskich mistrzów. On sam podkreśla, jakie znaczenie mają dla niego Rembrandt czy Vermeer. Przede wszystkim jednak wydaje się on kontynuatorem tradycji XIX-wiecznych realistów: barbizończyków, Gustave'a Courbeta i Jeana-François Milleta, ale także polskich przedstawicieli tego nurtu: Józefa Szermentowskiego czy Józefa Chełmońskiego. Artyści rzadko dziś odwołują się do tego doświadczenia, chociaż przed paru laty właśnie w Fundacji Galerii Foksal zaprezentowano płótna Wilhelma Sasnala, które były nawiązaniem do francuskich realistów sprzed dwóch stuleci.

Palczak nie proponuje jednak utopijnego powrotu do przeszłości. Jego malarstwo zostało przefiltrowane przez doświadczenie ubiegłowiecznych realizmów, z zapomnianą dziś twórczością amerykańskich hiperrealistów, ale też przez fotografię i film. Ale nade wszystko jest głęboko osadzone w konkretnej rze-

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

Karol Palczak „Kukła w stajni", 2022 r., olej na blasze ocynkowanej naklejonej na sklejkę, 57,5 x 35 cm

czywistości. I jest to spojrzenie ogromnie krytyczne.

„Tutaj wszyscy mają tak samo. Nikt nie ma pracy i wszyscy za nią wyjeżdżają. Nie ma perspektyw" – mówił w rozmowie dla „Tygodnika". Tu nie można mówić, że komuś „powiodło się w życiu", bo, jak dodawał, „nie ma co się powieść".

Didier Eribon z rodzinnego Reims wyjechał do Paryża. Podobnie jak Édouard Louis z Hallencourt. Annie Ernaux na wiele lat opuściła Yvetot. Karol Palczak wracając do Krzywczy dokonał innego wyboru. Niezależnie od decyzji, jaką każde z nich podjęło, kluczowe dla wszystkich stało się pytanie: skąd jestem? W ogóle dziś staje się ono ważniejsze od innego, przez lata stawianego: kim jestem?

Coraz częściej artystki i artyści zauważają, że miejsce pochodzenia, to, skąd się wywodzą, miało wpływ na ich przyszłe życie. Pytają zatem o znaczenie, jakie dla naszego indywidualnego losu mają uwarunkowania społeczne, kulturowe czy ekonomiczne, w których dorastaliśmy. I jednocześnie upominają się o obecność w sferze publicznej, w literaturze, w sztuce tych społeczności czy regionów, z których się wywodzą. I które przede wszystkim z powodów ekonomicznych są deprecjonowane, lekceważone, uważane za „gorsze" czy niezasługujące na uwagę, a nawet – o czym mówi sam Karol Palczak – traktowane z pogardą. Jego malarstwo jest próbą udzielenia głosu mieszkańcom podkarpackiej wsi.

Co ciekawe, nie on jedyny podejmuje próbę. Urodzony w 1992 r. Patryk Różycki w swych obrazach, ale też w nagrywanym regularnie podkaście, opowiada o dorastaniu w wielkopolskiej wsi Dąbrowice Stare, o zabiegach rodziny o awans społeczny, o niepowodzeniach, biedzie. O wiejskiej społeczności mówi także młodsza od niego o rok Małgorzata Mycek, pochodząca z bieszczadzkich Radoszyc. Ich twórczość – podobnie jak twórczość Daniela Rycharskiego – to nowe, ważne zjawisko w polskiej sztuce.

Nagły mróz

W drugiej części ekspozycji znalazły się prace namalowane na podstawie krótkich filmów kręconych przez artystę oraz wspomniane filmy. To zapisy akcji, zaskakujących, chwilami absurdalnych, jak palenie wraków samochodowych, zabawy z petardami, rzucanie kamieniami do wody czy tworzenie wielkich kukieł i ich podpalanie. Wszystkie te działania pojawiają w obrazach Palczaka: w efektownych, wręcz wirtuozerskich przedstawieniach wzburzonej wody, przybierającej fantazyjne formy, w widokach płonących kukieł czy pni drzew w świetle kończącego się dnia.

Prace te wyglądają, jakby autor starał się sprawdzić własne możliwości oddania skomplikowanych gier barw, światła i cienia, lub słońca przedzierającego się przez warstwę mgły lub dymu. Tytułowa śreżoga to chwila, w której nagły mróz ścina żywe jeszcze liście i kwiaty. Nie chodzi jedynie o techniczne umiejętności, lecz o to, by w obrazach zawrzeć cząstkę własnych emocji, uczuć i stanów duchowych. By malarstwo stało się opowieścią o własnym doświadczeniu.

© PIOTR KOSIEWSKI

Karol Palczak **ŚREŻOGA**
Warszawa, Fundacja Galerii Foksal, wystawa czynna do 19 listopada 2022 r.

Obcy pod parasolem

ANITA PIOTROWSKA

Twórca „Baby Brokera" opowiada o tym, jak trudno czasem ocenić czyjeś decyzje, bo człowiek na ogół bywa lepszy od swej historii.

Czy ktoś, kto handluje dziećmi bądź je porzuca, może być bohaterem pozytywnej opowieści? Hirokazu Kore-eda zdążył już nas przekonać, że czasem po jasnej stronie mocy spotkamy drobnych oszustów udających rodzinę i żyjących z kradzieży po sklepach. Japoński reżyser i scenarzysta tworzy bowiem współczesne bajki o ludziach, które poszerzają etyczną szarą strefę, a nawet, jak w tym przypadku, potrafią rozświetlić zakamarki czarnego rynku. Pozwala nam bezpiecznie się w nich umościć i jednocześnie prowokuje mniej wygodne pytania – o granice, normy czy role i zrodzone gdzieś poza nimi prawdziwe więzi.

Od kilku lat szuka swego miejsca poza ojczyzną, jakby nie mieścił się już w niszy uznanej przez zagraniczną publiczność za esencję sympatycznej japońskości. Grunt dla nowych pomysłów i przemyśleń znalazł w doskonale prosperującej kinematografii południowokoreańskiej. Istnieją też powody obyczajowe tej przeprowadzki: inaczej niż w Japonii, tzw. okna życia nie są dziś u Koreańczyków czymś wyjątkowym i jest na nie większe moralne przyzwolenie. Stąd akcja najnowszego filmu Kore-edy, „Baby Broker", toczy się głównie w Busan, w roli tytułowego handlarza obsadzony został wyborny Song Kang-ho (grał ubogiego ojca w „Parasite"), młodą matkę odtwarza zaś Lee Ji-eun, gwiazda K-popu. I dobrze Kore-edzie zrobiła ta odmiana. Ze swadą i większą śmiałością opowiada o tym, jak trudno czasem ocenić czyjeś decyzje, bo człowiek na ogół bywa lepszy od swej historii.

Na przykład złamany życiem Ha Sang-hyeon, właściciel pralni, który po godzinach zajmuje się sprzedażą niechcianych maluchów. Albo Moon So-young – dziewczyna, która pozostawiła swoje dziecko w przykościelnym oknie. I zrobiła to na tyle niefortunnie, że zamknęła niemowlakowi drogę do adopcji, a „baby broker" zdążył już go sobie przywłaszczyć. Wraz z młodym pomocnikiem mężczyzna rozpoczyna nielegalne poszukiwania nowych rodziców, za co można zainkasować sporą sumkę. Rozwiązałoby to problem haraczu, jaki Ha Sang-hyeon jest winien miejscowym gangsterom. Do akcji wkracza jednak matka dziecka, gdyż nagle zapragnęła je odzyskać i, odkrywszy szwindel, chciałaby uszczknąć coś dla siebie. Lub przynajmniej mieć wpływ na to, w czyje ręce trafi jej synek.

Tutaj rozpoczyna się zwariowana „wycieczka rodzinna", podczas której charakterystyczna dla Kore-edy łże-familia przemierza kraj w celach dość niecnych, lecz po drodze doświadcza istotnych przeobrażeń i przewartościowań. A częścią tej przygody staną się również dwie policjantki w cywilu, które ruszają za przestępcami i gotowe są na wszystko, włącznie z podsłuchami, szantażem i kiepską prowokacją. Do rodzinki dołącza także siedmioletni uciekinier z sierocińca. Chciałby wreszcie trafić do adopcji, aczkolwiek w jego wieku jest to jeszcze mniej realne niż wielka kariera futbolowa. Zresztą w „Baby Brokerze" wszyscy są jakoś osieroceni, znajdują się w jakimś potrzasku i każdy z nich coś bolesnego dźwiga. Co ich łączy, aczkolwiek sporo czasu upłynie, zanim sami zaczną to dostrzegać.

Oglądamy więc karkołomną komedię, w której inkryminowany proceder, czyli handel żywym towarem, polega na... karmieniu, przewijaniu i usypianiu dziecka oraz domalowywaniu mu bujnych brwi, bo takie ponoć szczególnie sobie cenią koreańscy rodzice adopcyjni. I tak się składa, że owymi czynnościami zajmują się tu głównie mężczyźni. Gdyby oczekiwać u Kore-edy historii kryminalnej, a niektórzy z bohaterów mają za uszami sprawy jeszcze grubsze niż sprzedaż niemowląt, natychmiast zostajemy rozbrojeni absurdalnymi scenkami rodzajowymi w duchu braci Coenów. Chociażby z udziałem znudzonych strażniczek prawa, które czekając w aucie na „gorący uczynek", non stop się czymś objadają i z pełnymi ustami komentują amoralność tego świata.

Na przekór realiom reżyser wierzy, że na tym świecie jeszcze nie wszystko jest towarem. Rzuca swoim bohaterom pod nogi rozmaite kłody, wbija im w serce szpileczki, lecz stara się nikogo nie przekreślać. Ha Sang-hyeon, szukając desperatów gotowych słono zapłacić za posiadanie dziecka, bywa chciwym dilerem, godnym kary przestępcą i zarazem dobroczyńcą dającym szansę podrzutkom skazanym na dorastanie w domu dziecka. Moon So-young, postrzegana jako matka wyrodna i lekkomyślna, pozostaje też ofiarą swej sytuacji, okazuje się w dodatku bardziej odpowiedzialna, niżby mogło się zrazu wydawać. Pośród szemranych akcji i asekuranckich kłam-

BEST FILM / MATERIAŁY PRASOWE

BABY BROKER
– reż. Hirokazu Kore-eda. Prod. Korea Południowa 2022. Dystryb. Best Film. W kinach.

Hirokazu Kore-eda od lat przekonuje, że współczesna rodzina niejedno ma imię – nie tylko japońska. Tak było w filmach „Jak ojciec i syn", „Nasza młodsza siostra", „Złodziejaszki" (Złota Palma w Cannes), ale i we francuskiej „Prawdzie" oraz w tytule najnowszym, „Baby Broker", nakręconym również poza Japonią.

stewek, ocierając się z wdziękiem o sentymentalny kicz, rozpoczyna się walka o dobrostan dziecka.

Ten film, uhonorowany na festiwalu w Cannes przez Jury Ekumeniczne oraz Złotą Palmą za rolę Songa, ma działać niczym zawieszona nad niemowlęcym łóżeczkiem pozytywka. Czasem coś w niej zaskrzypi, coś przeskoczy, acz w końcu przebije się kojąca melodia. Ponieważ historia dotyka najbardziej brutalnych stron rzeczywistości, Kore-eda nakłada na nią zmiękczający filtr czy raczej rozłożysty parasol, który młodszy z handlarzy chciałby kupić dysfunkcyjnej matce, by uchronić ją przed dalszym cierpieniem i błędami.

Ze swą wiarą w człowieka i poczciwym humorem „Baby Broker" wydaje się rewersem sarkastycznego, drapieżnego „Parasite" Bonga Joon-ho – trudno jednak porównywać oba tytuły. Kore-eda konsekwentnie pozostaje w kręgu społecznych wyrzutków i przegrywów, funkcjonujących na granicy przetrwania, bez rewolucyjnego zapłonu, za to w otulinie subtelnych, często niewyrażonych wprost emocji. „Baby Broker" stanowi kontynuację i rozwinięcie „Złodziejaszków", gdzie samozwańczej familii również nie trzeba było stosownych dokumentów ani genetycznych powiązań, żeby razem czuć się bezpiecznie. W obliczu kryzysu tradycyjnej komórki społecznej reżyser fantazjuje na temat szczęśliwej rodziny – tej z wyboru, choć na bakier z prawem. To w niej szuka bliskości i lojalności, wybaczenia i zrozumienia, pamięci i, kiedy trzeba, także zapomnienia.

Ów model realizuje się w „Baby Brokerze" bez pośpiechu, w wielkich i małych sekretach, zaskoczeniach, nieoczywistościach. „Ukrywasz swoją miłą stronę" – mówi młodsza policjantka do chmurnej przełożonej, i tak można by podsumować wielu bohaterów Kore-edy, których losy przeglądają się w sobie nawzajem. Stąd łatwo filmowi zarzucić skłonność do symetryzowania, naiwność czy życiowe nieprawdopodobieństwo. Ale jeszcze raz przekonamy się, że w dobrej opowieści prawdopodobieństwo i emocje rządzą się swoimi prawami. ©

Lektor:
Wskrzeszenie czarodzieja

▪ *Colm Tóibín*
CZARODZIEJ
Przeł. Jerzy Kozłowski. Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2022, ss. 432.

Gdy w wiele lat po śmierci Thomasa Manna zgodnie z jego wolą udostępniono prowadzone przez całe życie jego dzienniki, a w 1995 r. także u nas pojawił się trzytomowy ich wybór w przekładzie Ireny i Egona Naganowskich, obejmujący okres do 1936 r., moraliści mieli używanie. Oto wielki pisarz okazywał się małostkowym egocentrykiem, czasem domowym tyranem, w dodatku o niejasnej orientacji seksualnej...

Pamiętam rozmowę z Wisławą Szymborską, wielbicielką autora „Buddenbrooków" – poświęciła mu piękny wiersz w tomie „Sto pociech" – którą wyjątkowo irytowali ludzie podbudowujący własne ego krytyką geniusza. Teraz, sięgając po powieść znanego irlandzkiego pisarza, opartą na biografii Manna, trochę się obawiałem, że znajdę w niej podobne tony. Jednak nie: w „Czarodzieju" Tóibín jest wobec swojego bohatera raczej pełen podziwu i pokory, choć nie próbuje retuszować epizodów zaiste czasem zdumiewających. Jak historia opowiadania (znakomitego!) „Z rodu Wälsungów", w którym Thomas skarykaturował swoją żonę Katię oraz jej brata-bliźniaka, nie bez antysemicko brzmiącej aluzji do pochodzenia rodziny Pringsheimów. Jak nieobecność Katii i Thomasa na pogrzebie ich syna Klausa, zmarłego śmiercią samobójczą – choć pogrzeb odbył się we Francji, a oni podróżowali właśnie po Europie...

Tóibín w ogóle nie zajmuje się ocenianiem, zamiast tego próbuje odtworzyć motywacje swojego bohatera i przebieg jego procesu twórczego. Pisarza, który sam jest gejem, intryguje sposób, w jaki Thomas Mann spożytkował własne homoseksualne fascynacje w swojej prozie, jak borykał się ze swoją tożsamością seksualną. Intryguje go też funkcjonowanie rodziny, w której w gruncie rzeczy nie ma tajemnic, są tylko sprawy, o których się nie mówi, milcząco je akceptując. Pewnie dlatego tak ważną i tak sympatyczną postacią jest w tej powieści właśnie Katia Mann, wrażliwa, wszechrozumiejąca i lojalna.

Przed lekturą miałem jeszcze jedną wątpliwość – czy formuła powieści biograficznej (nie biografii!) nie jest już przestarzała? Wydaje mi się, że Tóibín szczęśliwie wybrnął z pułapki, jaką tworzy konieczność wkładania w usta postaci, które nie są jedynie literacką kreacją, wymyślonych kwestii. Jego narracja ujmuje prostotą i przejrzystością, brzmi wiarygodnie. Książka o Thomasie Mannie bardziej mnie przekonała niż wcześniejszy „Mistrz" Tóibína, poświęcony Henry'emu Jamesowi. ©℗

OLGA

Drenda:
Na uszko

Ostatnio poczułam się tak, jakbym zrobiła istotny cywilizacyjny krok do przodu, a przynajmniej uczestniczyła w czymś ważnym, może tak, jak kiedyś mogli czuć się ludzie oglądający lądowanie na Księżycu w telewizji – niewiele mnie to kosztowało, bo wystarczyło, że spożyłam pizzę przywiezioną mi przez kotka robota (kto się dobrze rozejrzy, ten wie, że kotki nie tylko promują chipsy w markecie, ale również pracują w gastronomii). Na niektóre zjawiska, stopniowo zmieniające nasze codzienne relacje z technologią, zdarza mi się załapać z dużym poślizgiem, a wręcz bywam ostentacyjnym grzybem (np. wciąż podpinam sobie stary komputer kablem do telewizora i nigdy nie oglądam niczego z telefonu), czasem bywam „rannym ptaszkiem" i wskakuję na popkulturowy czy technologiczny pokład szybciej niż inni (jak z moją stroną o latach 80. i 90., która wkrótce będzie obchodzić dziesiąte urodziny; bardzo wcześnie polubiłam również przebój „Dragostea din tei"), a czasem zależy mi, żeby zdążyć w porę z jakimś doświadczeniem, które potencjalnie wydaje mi się ważne. Tak właśnie było w przypadku spotkania z Kerfusiem (bo to imię chyba przywarło już do robokotka na dobre, niezależnie od miejsca zatrudnienia), znalazłam się w środku zeitgeistu.

Tak, jestem podatna na efekt UwU. To emotikonka oznaczająca coś milutkiego i uroczego (taki pyszczek z przymkniętymi oczami), która wywodzi się ze środowiska fanów anime, ale obecnie funkcjonuje jako jeden z wielu internetowych skrótów, które można również wymówić, podobnie jak dawno, dawno temu „LOL". Na „milusizację" rzeczywistości, również w świecie reklamy, okazuję się w ogóle nieodporna i wychodzi na to, że dorobienie sympatycznej kociej mordki do dowolnego interfejsu od razu umieszcza mnie w potencjalnej grupie docelowej.

OLGA DRENDA

I śpiewamy: „Piesek, piesek, uszy, łapki!" (hit z TikToka)

Zapewne niejeden zawodowy malkontent miałby tu wiele do powiedzenia o powszechnym zdziecinnieniu, bo dorosłym ludziom nie godzi się przecież okazywać wzruszeń animowanym pyszczkiem (co innego oczywiście inne niedojrzałe zachowania, jak cynizm, wredota lub odmrażanie uszu na złość babci, co z pewnością czynić wypada, zwłaszcza na Twitterze). To również wspaniały pretekst dla każdego zapalonego komentatora, by napisać kolejną jeremiadę o upadku cywilizacji i wartości, a także o tym, że w Japonii winna epidemii samotności musi być Hello Kitty. W końcu w Sparcie na pewno nie było miejsca na UwU!

Najwięcej domorosłych analiz zbiorowej psychiki społeczeństwa sprowokowały memy nawiązujące do znanej internetowej „zasady 34", głoszącej, że jeśli coś istnieje, to powstanie na ten temat porno – bo, oczywiście, błyskawicznie rozpowszechniły się memy sugerujące, że Kerfuś jest obiektem erotycznych fantazji, co wprawiło niejednego poczciwca w konsternację. Zapomniał wół, jak cielęciem był – prawem młodości jest postrzegać seksualność jako sferę z pogranicza fascynacji, żenady i żartu, i gdzieś na przecięciu tych zjawisk powstają właśnie memy z Kerfusiem. Bynajmniej nie tak obleśne, jak erotyczny „chómorek" młodzieży z dawniejszych lat (nawet z czasów Gangu Albanii). Może to dobrze, że także w seksualnie naładowanych treściach pojawia się potrzeba milutkości? A w wyobraźni wolno wiele, kto dłużej siedzi w świecie komiksu, ten dobrze wie, jakie emocje budziły kocie uszka kosmitki Lum z dzisiaj już prastarej wręcz serii „Urusei Yatsura". Nie ma powodów do niepokoju. Lokowanie pragnień w robokotku nie oznacza symptomu kryzysu w relacjach międzyludzkich. To tylko „zawieszenie niewiary".

Miewamy z milutkością niejednoznaczne relacje. W rankingach najbardziej nielubianych słów od lat prowadzą w końcu „pieniążki", a to tylko jedno z wielu zdrobnień, które zwykle trafiają na takie niechlubne listy. Podobno dlatego, że ktoś, kto mówi „pieniążki", wydaje się nieszczery i skrywa swoje zamiary, mówiąc o pieniądzach. Pamiętającym PRL mogą kojarzyć się z lizusostwem i dziedzictwem kombinowania i załatwiania: ktoś dostanie sumkę, a nie sumę, a inny posadkę miast posady, co ma czynić te praktyki błahymi, mniej szkodliwymi w oczach słuchacza. Sama długo żyłam w wyuczonej awersji do zdrobnień, właśnie przez to cwaniackie echo; wyczuwałam w nich niecny zamiarek. Zauważyłam jednak, że młodsze pokolenia albo radośnie korzystają z dobrodziejstw niepamięci, albo postępują zgodnie z zasadą *embrace the cringe* – „pogódź się z żenadą". Im Kerfuś przywiózłby już nie pizzę, lecz pickę.

To dało mi do myślenia i nieco nadkruszyło moje uprzedzenia. Być może da się oderwać zdrobnienia od ich niemiłego czy dwuznacznego balastu, przynajmniej trochę, i potraktować je jako akt czynienia rzeczywistości nieco sympatyczniejszą. Obserwuję już pierwsze symptomy: niedawno zakupiłam CHLEBEK. ©

PAWEŁ

Bravo: *Olej lśni*

Z PIERWSZEGO NA TRZECIE MIEJSCE SPADNIE w tym sezonie Ukraina w światowej tabeli producentów nasion słonecznika. To i tak nie najgorzej w sytuacji, kiedy wschód kraju zadeptują od miesięcy moskiewskie orki. Oglądaliśmy niedawno bezsilni serie zdjęć i nagrań pokazujących, jak nowy wódz tej hordy konsekwentnie potwierdza słuszność swojego przydomka „rzeźnik z Aleppo". Mało się jednak przebiły do szerszej świadomości obrazy z Mikołajewa, gdzie irańskiej roboty drony zniszczyły portowy terminal przeładunku oleju, powodując pożary, a także kolosalny wyciek w stronę miasta. Struga oleju płynąca środkiem ulicy – przy całej mojej miłości do „Mistrza i Małgorzaty" – trzęsie mnie jednak z gniewu, nie tylko z powodu zmarnowanej żywności. To co prawda nie żadna ropa naftowa czy inne chemikalia, ale gdy cały ten złocisty tłuszcz wsiąknie i zaschnie, przyroda może mieć spory problem z jego przetrawieniem.

Otóż Annuszka, właśnie, olej rozlany na bruku, tylko czy po Mikołajewie jeździ tramwaj? Zdziwiło mnie, że nikt nie podjął – w sferze dostępnych mi mediów zwyczajnych i społecznościowych – tego skojarzenia. Czy to z powodu coraz słabszej znajomości Bułhakowa w rocznikach kodujących swoje doświadczenie językiem memów i jeszcze nowszych, nieznanych mi z nazwy formatów migawkowej komunikacji? Poza tym to, jak by nie było, powieść rosyjska. No i te obszerne wstawki o procesie żydowskiego proroka i innych jerozolimskich sytuacjach sprzed 2 tysięcy lat! Pachnie to wiarą w życie nadprzyrodzone oraz niewłaściwym podejściem do praw terytorialnych narodu palestyńskiego.

A może nikt nie wypuścił olejowego mema, żeby nie zapeszać, bo po tylu miesiącach wyczerpują nam się pokłady humoru i śmiechu jako odtrutki na strach i obawy? Za dużo szarości i „tak, ale" w tych wszystkich mądrych i potrzebnych analizach, za dużo niewiadomych, które lubią rozwiązywać swoje równania na minus. Może lepiej nie liczyć na Wolanda i nie tworzyć z tłustej kałuży na jezdni kolejnej nieskutecznej przepowiedni. Może lepiej odseparować się od wiadomości, tym bardziej że z innych, ekonomicznych stron gazet dowiadujemy się, że zbiory oliwek (a zatem potem produkcja oliwy) w Hiszpanii będą znacznie niższe niż w zeszłych, już i tak chudych latach. A Hiszpania to znaczy my, cała Europa, bo poza najwyższą półką cenową taka normalna oliwa w naszych domach, także ta z niby włoską nalepką, pochodzi stamtąd. Zresztą włoscy gajownicy (tak się mówi na właściciela gaju, przez analogię do sadownika?) też zapowiadają o jedną trzecią gorszy wynik.

„Spokojne przechodzenie jesieni w zimę wcale nie jest przykrym okresem. (...) Przyjemnie jest zebrać wszystko, co się ma, tuż przy sobie, możliwie najbliżej, zmagazynować swoje ciepło i myśli i skryć się w głębokiej dziurze, w samiutkim środku, tam gdzie bezpiecznie, gdzie można bronić tego, co ważne i cenne, i swoje własne" – głosi na wstępie narrator „Doliny Muminków w listopadzie", najmądrzejszej znanej mi instrukcji przetrwania tego miesiąca (w perspektywie jeszcze ciemniejszych). Jej lektura zajmuje tyle, co wypicie dwóch herbat z miodem i zjedzenie dużej porcji *comfort food*, np. ciepłego budyniu ze świeżo otwartym sokiem z tegorocznych malin. Muminków jako takich w tej książeczce, absurdalnie przypisanej do dziecięcej półki, wcale nie ma, ale ich dom i dolina służą za miejsce, w którym inni bohaterowie, bardzo podobni do nas, mają czas pobyć inaczej niż zwykle ze sobą, choć raczej żadnego z nich to doświadczenie nie odmieni. Chyba przesadnie ulegamy kultowi zmiany (rzecz jasna na lepsze, na prawdziwsze). Gdyby wszystko miało się zmieniać i odtąd „już nigdy tak samo", to przecież Włóczykij w zielonym kubraku, który właśnie ruszył w daleką drogę, nie wróciłby za parę miesięcy. Jak co roku. Tak samo.

Jak co dwa lata, tak samo, drzewa oliwne rodzą owoce raz obficie, raz słabo. Podobnie jak nasze jabłonie czy grusze przed mutacjami. Ich cykl owocowania jest dwuletni i nic na razie nie zapowiada, by się to zmieniło. Tegoroczna mizeria zbiorów po części wynika z niebywałej suszy (za ciężkiej nawet na te odporne rośliny) i upałów, ale w wielu regionach po prostu jest oczywistym, fizjologicznym dołkiem, z którego za rok drzewa się podniosą. Jeśli ich jeszcze gorsza susza nie przyciśnie albo zły człowiek nie spali. Ale o tym zbyt wiele nie myślmy. Olej już lśni na bruku. Może nie całkiem na próżno. ©℗

PAWEŁ BRAVO

Oto dobry na listopad, mało pracochłonny makaronowy comfort food. Topimy na patelence z grubym dnem 5 łyżek masła, dodajemy 10 listków szałwii, rumienimy powoli na małym ogniu parę minut, uważając, żeby nie zwęglić. Wyjmujemy listki, włączamy ponownie ogień, wsypujemy 5 łyżek bułki tartej, rumienimy ją, ciągle mieszając, studzimy. Obieramy i kroimy w centymetrową kostkę ok. 400 g dyni piżmowej (łatwo się obiera, jeśli przekroimy ją wpierw na grube poprzeczne plastry). Zagotowujemy gar wrzątku, solimy, wrzucamy dynię. Po 4 minutach do tego samego gara dorzucamy 400 g krótkiego makaronu, najlepiej świderków. W tym czasie na dużej patelni (tak dużej, by potem łatwo było mieszać), szklimy na oliwie drobniutko posiekaną szalotkę lub czerwoną cebulę. Gdy makaron będzie gotowy, przekładamy razem z dynią na patelnię, zwiększamy ogień, intensywnie mieszamy, by część dyni się rozpadła. Żeby było mocno kremowe, podlewamy wodą z gotowania. Możemy na koniec zaostrzyć płatkami chili lub gałką muszkatołową albo zrównoważyć słodycz łyżką soku z cytryny. Na wydaniu posypujemy szałwiową zasmażką, dekorujemy paroma listkami szałwii lub natką.

ENTRESSANGLE / E. DAYNES / EAST NEWS

ZMYSŁY

PRADUSZKI

W budce fotograficznej wykonałem autoportret,
który miał podpowiadać,
jak wyglądałbym jako neandertalczyk.
Nie dostrzegłem żadnych różnic.
Obsługa poinformowała mnie,
że widocznie mam neandertalską urodę.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Wszystko zaczęło się od fabularyzowanego filmu dokumentalnego „Odyseja rodzaju ludzkiego" Jacques'a Malaterre'a z 2003 r. Pokazano w nim z bliska życie ludzi przed setkami tysięcy i milionami lat. Wrażenie realizmu było dojmujące. Nie mogłem oderwać wzroku od ekranu, bo od dzieciństwa mieszkam w kolebce ludzkości na ziemiach polskich – w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Ale prehistoria była dla mnie przez lata abstrakcją, treść zapisana na tablicach informacyjnych przy jaskiniach w Jurze wydawała się napisana obcym, hermetycznym językiem. Nie sądziłem, że do ich zrozumienia jest mi potrzebne narzędzie, którym posługuję się codziennie – wyobraźnia.

Po obejrzeniu tego dokumentu zacząłem zaglądać do jaskiń, czytać fachową literaturę. Podjąłem też pracę nad książką inspirowaną tą tematyką pt. „Dom ojców". Znalazłem w sieci fotografie rekonstrukcji prehistorycznych postaci. Były wykonane z dużą wrażliwością przez francuską paleoartystkę Élisabeth Daynès na podstawie aktualnej wiedzy naukowej. Po raz pierwszy zamiast karykatury ujrzałem człowieka, wielu ludzi. Na przykład „chłopca z Turkana", z gatunku *Homo erectus*, który żył około 1,5 miliona lat temu, i jak dla mnie, niewiele różni się od tych, których spotkałem w podróży. Wtedy też przypomniałem sobie scenę z wczesnej podstawówki. Zapytałem na korytarzu księdza, co z ludźmi, którzy żyli długo przed Chrystusem: na jakiej podstawie będą sądzeni, i co ze zbawieniem. Jego odpowiedź mnie nie przekonała. Poza tym w szkole historia Polski zaczynała się od Mieszka I.

Rekonstrukcja wizerunku kobiety z epoki paleolitu oparta na szczątkach ze stanowiska Abri Pataud w południowo-zachodniej Francji. Autorką rekonstrukcji jest Élisabeth Daynès.

Przez dwa lata pracy nad książką najczęściej pytano mnie, po co to robię. Wyczuwałem nieufność, jakby prehistorii mojego gatunku nie dało się traktować serio. Te reakcje rozmówców mówiły o współczesnym człowieku więcej niż próba syntezy kilku milionów lat ludzkich dziejów. Wielu z nich oczekiwało szczególnego zysku intelektualnego: „Poświęcając tyle czasu na tak abstrakcyjną tematykę, chcesz pewnie dowiedzieć się czegoś odkrywczego o nas, istotach współczesnych". Ale nie, nie sądziłem tak. Odpowiadałem: „Robię to z czystej ciekawości i w poczuciu piękna tej opowieści".

W gruncie rzeczy kierowałem się podobną motywacją, która wiodła *Homo sapiens* przez świat, czyli chęcią poznania. Później, kiedy praprzodkowie stali mi się zwyczajnie bliscy, dołączyło współczucie dla ich losu, bo sami, przed powstaniem sztuki i pisma, nie mogli osadzić się w zbiorowej wyobraźni. Widziałem w nich wówczas, zupełnie niesłusznie, tylko nieme ofiary, których poświęcenie pozwoliło przyszłym pokoleniom *homo* zapanować nad naturą, zostać „koroną stworzenia".

Kwestia, która wyłoniła się na marginesie tych dyskusji, sięgała więc samej istoty. Czy chcemy pamiętać o zmarłych, bo byli, czy ze względu na ich zasługi?

Problem skali

Sukces *Homo sapiens*, poza innymi czynnikami, opiera się na unikalnej zdolności skutecznych działań lokalnych, wspartych darem oceny zjawisk w szerszej perspektywie. Troszczymy się bardziej o to, co bliżej, inaczej ↦

↦ byśmy nie przetrwali. Wszelkie współcześnie nośne postulaty „czułości" i „uważności" dotykają przecież głównie tej sfery.

Zaskoczeniem, a nawet szokiem dla laika, który po raz pierwszy przyswaja wiedzę o prehistorii, jest fakt, że do Europy pierwszy wkroczył nie *Homo sapiens*, lecz około miliona lat temu *Homo erectus*. To on postawił pierwszy stopę na kontynencie. Wiele wskazuje na to, że komunikował się, troszczył o swoich, budował szałasy. W chłodnym klimacie Europy jego ciało ewoluowało – pojawił się *Homo heidelbergensis*, który dotarł na ziemie polskie. Dopiero po nim nastąpiła epoka neandertalczyka. Znajoma archeolożka pokazała mi współczesną grafikę, która ilustruje spotkanie neandertalczyka z *Homo sapiens*. Antropocentryzm dotknął nawet tę dziedzinę. Widzimy skruszonego neandertalczyka odzianego w obdarte zwierzęce skóry, którego mierzy wzrokiem pewny siebie biały *Homo sapiens*. Tymczasem, jak powiedziała archeolożka, było raczej na odwrót. To neandertalczyk był wtedy królem Europy. *Homo sapiens*, pewnie jeszcze ciemnoskóry, musiał być na tym etapie migracji przerażony jej dzikimi puszczami i zimnem. Na dobre wkroczył do Europy około 50 tys. lat temu, mógł wtedy spotkać tu neandertalczyka.

Wiedza o prehistorii jest stale aktualizowana. Niewiele można tu stwierdzić z całkowitą pewnością. Najdawniejsza przeszłość jest dynamiczna, w ciągłym ruchu, opowiadana wciąż na nowo. Wczorajsze rewelacje mogą być dziś bez znaczenia.

Kilka tygodni temu media obiegła wiadomość, iż narzędzia znalezione kilkadziesiąt lat temu w jaskini Tunel Wielki niedaleko Krakowa pochodzą nie sprzed około 50 tys. lat, jak wcześniej sądzono, ale sprzed pół miliona lat. To norma w pracy archeologów – największą sztuką nie jest wykopać artefakty z ziemi, tylko trafnie je sklasyfikować. Znalezione w jaskini narzędzia znajdowały się przez lata w kartonach podobnie jak wiele innych, które nie zostały zbadane. Udało się ostatnio zespołowi polskich naukowców. To ważne odkrycie dotyczy epoki przed neandertalczykiem. Europę zasiedlał wówczas jego ewolucyjny poprzednik z gatunku *Homo heidelbergensis*. Polskich naukowców zaskoczyło, że narzędzia *Homo heidelbergensis* zostały znalezione w jaskini. Podobno bardziej preferował on wtedy otwarte stanowiska. Jaskinia Tunel Wielki położona nad Doliną Sąspowską dawała jednak dobre schronienie tym pierwszym eksploratorom. Być może dalsze badania doprowadzą do odkrycia w jaskini ich szczątków. Byłyby najstarszymi na ziemiach polskich.

Dolina Sąspowska jest długa i słoneczna, ze stromymi łąkami porośniętymi modrzewiami. Często tam bywam. Zimą przemierzam ją na biegówkach. Jest pusto, o zmierzchu w oknie samotnego domu pełga gęste światło. Wtedy lepiej myśli się o niecodziennych sprawach. Wyobrażam sobie, jak pół miliona lat temu odważni pionierzy odkrywali tę dolinę. Nigdy wcześniej nie było tu człowieka. Za nimi długa droga zza Beskidów. Noclegi na wzgórzach, by trafnie wybrać trasę wędrówki. Poranione nogi. Chrypa. Ale też radość, bo to miejsce jest jak naturalny dom. Jaskinie są wysoko, ponad dnem doliny, czysty strumień, światło. Dzieci wskazują palcem na fantazyjne kształty wapiennych skał. Przebierają nogami z radości. Z jaskini Tunel Wielki niesie się już twardy dźwięk uderzeń tłuka o kamień. Urwiska strącają go na kwieciste polany. Z lasu wyłaniają się trzy postacie. Ich krągłe ciała lśnią. Matka niesie na ramieniu mokry drąg.

Wyobrażam sobie, jak pół miliona lat temu odważni pionierzy odkrywali tę dolinę. **Nigdy wcześniej nie było tu człowieka.** Za nimi długa droga zza Beskidów. Noclegi na wzgórzach, poranione nogi. Chrypa.

Czym był raj?

Prehistoria częściej występowała w literaturze *fantasy* niż jako materia realistycznej prozy. Próbował tego Joseph Henri Rosny w „Walce o ogień" czy Jean Marie Auel w cyklu „Dzieci Ziemi". Noblista William Golding za swoją najlepszą powieść uznawał „Spadkobierców" wydanych w 1955 r. Książka opowiada o spotkaniu klanu neandertalczyków z *Homo sapiens* z perspektywy tych pierwszych. Z opinią autora nie zgadzało się wielu krytyków, ale ja całkowicie podzielam jego zdanie. Golding wykonał gigantyczną pracę w języku, by odmalować jedno z największych wydarzeń w dziejach ludzkości. To w gruncie rzeczy karkołomne zadanie, bo nie mamy wciąż pewności, kiedy zrodził się język, choć istnieje szereg przesłanek, by uznać, iż znacznie wcześniej, niż sądziliśmy do tej pory, przypisując ten wynalazek *Homo sapiens*.

Już około 500 tys. lat temu *Homo erectus* na wyspie Jawa wyrył zębem rekina na muszli geometryczny ciągły znak, w którym znać jego intencjonalność. Ale nie znamy logiki, jaką posługiwały się inne gatunki ludzkie. Ich świat pozostanie w dużej mierze tajemnicą.

Zapewne zdawali sobie z tego sprawę nasi poeci, Wisława Szymborska czy Zbigniew Herbert. W ich utworach wątek paleolitu jest wszak obecny. Herbert w pewnym okresie życia był zafascynowany prehistorią, poszukując w pierwszych ludzkich symbolach źródła naszych tożsamości i klęsk. Zawsze intrygowało mnie, dlaczego nie zechcieli w swojej twórczości wyruszyć w odległą przeszłość zdominowaną przez biologię, której język był pierwotnym źródłem tychże symboli. Prehistoria, tak jak przyroda, jest wyzwaniem dla języka literatury. Częściej szukamy w niej znaków podatnych na interpretację – rytu, malowidła, wzoru, dzięki którym możemy utożsamić się z pierwszymi ludźmi.

Dwa lata temu podczas wyprawy z grupą polskich archeologów wysoko w uzbeckim Tien-szanie, w trakcie samotnej wędrówki natknąłem się na ryty pochodzące prawdopodobnie z epoki brązu. To niezapomniane przeżycie – raz w życiu poczułem się jak prawdziwy odkrywca. Jeden z rytów na stromej płycie skalnej przedstawiał małą, chyba

JACEK TARAN

Andrzej Muszyński i jedna z zamontowanych przez niego kapliczek: Żyłem 1,5 miliona lat temu. Chłopiec z Turkana. Kraków, 26 października 2022 r.

dziecięcą dłoń. Wiadomość sprzed epoki pisma: hej, byliśmy tu. Czarny ryt na jasnej skale wydawał się przetarciem na powierzchni rzeczy, pod którą skryli się zmarli. Przyłożyłem do niego swoją rękę.

Żyjąc w domu praprzodków, codziennie poruszam się ich śladami. Skalny labirynt Jury nie pozwala obumrzeć wyobraźni. Przemierzam go od ćwierć wieku, a wciąż odkrywam coś nowego. Często czuję się jak w podstawówce, kiedy eksplorowałem ją na rowerze. Niewykluczone, że na pewnym etapie ewolucji te pół miliona lat temu przy jaskini Tunel Wielki jej lokatorzy też widzieli świat jak duże dzieci, które już świadomie wybierają, ale rzeczywistość była wciąż tak bliska ich ciał i wzbudzała tak intensywne poczucie piękna, że może to bywał raj? Mimo strasznej nocy.

Szlakiem prehistorii w Niemczech

Tego lata jechałem autem przez Niemcy. Zaplanowałem trasę tak, by zobaczyć m.in. Bilzingsleben w Turyngii, jedno z najstarszych stanowisk w Europie Centralnej. W końcu dotarłem na miejsce. Jest to samotny budynek w środku pól w harmonijnym pofalowanym krajobrazie, małe muzeum. Czułem się podekscytowany. Nadrobiłem sporo drogi, żeby tu dotrzeć, ale pracownik w kasie biletowej poinformował mnie, że akceptują tylko gotówkę. Chyba dostrzegł zawód na mojej twarzy, bo od razu powiedział: „Proszę się nie martwić, jest pan moim gościem".

Prócz mnie była tam, u schyłku wakacji, rodzina z dziećmi. Pod szybą widać wykop, w gablotach parę rekonstrukcji artefaktów, kilka tablic informacyjnych. Atrakcją jest filmowa wizualizacja odtwarzana na wielkim ekranie. Zobaczyłem jezioro i osadę, która znajdowała się w tym miejscu około 4 tys. lat temu. Rodzinę. Ogień. Wspólny posiłek. Aż tyle. Budzi podziw profesjonalizm i troska, z jaką traktuje się u naszych sąsiadów miejsca naszych pramatek i praojców. Ich obecność w zbiorowej świadomości może być jedną z miar dojrzałości kultury.

Następnie wybrałem się do kolebki archeologii w Europie: słynnej doliny Neandertal na zachodzie Niemiec. Muzeum Neandertalskie w Mettmann jest tłumnie odwiedzane. Nowoczesne, starannie zaprojektowane robi wrażenie. W nim po raz pierwszy ujrzałem oryginalne rekonstrukcje wykonane przez Élisabeth Daynès. Twórcom muzeum udało się kluczowe przesłanie: to byli ludzie, nasi poprzednicy, krewni. Mieszaliśmy krew z neandertalczykami. Nosimy w sobie ich geny. Błękitne oczy. Rude włosy. W specjalnej budce fotograficznej wykonałem autoportret, który podpowiada, jak wyglądałbym jako neandertalczyk. Poszedłem do obsługi, bo sądziłem, że coś nie działa: nie dostrzegłem żadnych istotnych różnic. Pracownik ↦

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Rekonstrukcja neandertalskiej dziewczyny, La Quina 18, w Muzeum Neandertalskim. Erkrath, Niemcy, lipiec 2022 r.

poinformował mnie, że wszystko w porządku, widocznie mam neandertalską urodę.

Przy jednym ze stanowisk przystanąłem zdumiony. Oglądałem rekonstrukcję kobiety z gatunku pierwszych hominidów sprzed około 3 milionów lat. Nie byłem świadomy, jak byli niscy i drobni. Tylko, co to znaczy „niski i drobny"? Kto tu jest anomalią? To pytanie, które stawia Frank Westerman w książce „My, człowiekowate". Niektóre postacie mogą przerażać. Ludzki umysł słabo toleruje pogranicza, światy, które trudno skategoryzować. Taki jest *Homo habilis*, który żył ponad 2 miliony lat temu w Afryce. To pierwszy hominid, który regularnie wytwarzał kamienne narzędzia. Poprzedzający go australopitek przypomina bardziej małpę, wzbudza raczej ciekawość i uśmiech. Gatunki po *Homo habilis* są już bliższe współczesnemu człowiekowi. *Homo habilis* jest natomiast jak hybryda – to, co w nim ludzkie, wydaje się nieudane i dzikie, bo nieprzewidywalne. W innym miejscu uśmiecha się do nas neandertalska dziewczynka. W ubraniu, z ozdobami na ciele. Około 50 tysięcy lat temu Ziemię zasiedlało jeszcze kilka gatunków ludzkich. *Homo sapiens*, neandertalczyk, denisowianin, na wyspie Flores *Homo floresiensis*, słynny hobbit z Flores, prawdopodobnie skarlały następca *Homo erectus*, który dotarł na wyspy, pokonując akweny. Czy musieli wyginąć? Czy te gatunki były mniej zaborcze niż *Homo sapiens*? Czy pragnienie podboju, którego nie wykorzeniła kultura, naprawdę leży w naszej naturze?

Takie wątki przychodzą do głowy, kiedy jedzie się przez niemiecką prowincję. Dawno nie podróżowałem po Zachodzie bocznymi drogami. Nigdy nie widziałem tak wyludnionych miejsc jak wtedy, w Niemczech. Wyglądały jak opuszczone bez pośpiechu. Każdy zdążył uporządkować podwórko. Dziesiątki wsi, w których nie spotkałem człowieka. Pejzaż stawał się coraz bardziej nieruchomy. W miasteczku, w którym zatrzymałem się na nocleg, na próżno szukałem otwartego sklepu. Na ławce przez telefon rozmawiał w swoim języku *gastarbeiter*. Jego głos niósł się pustą ulicą, jak w jaskini. Pół miliona lat temu pod dzisiejszym Bilzingsleben było więcej życia.

Kapliczki

Mieszkam blisko miejsc użyźnionych prochem praprzodków. Miejscowi chłopi wywozili z jurajskich jaskiń namuliska i nawozili nimi pola. Kończąc pracę nad swoją książką, odczułem niedosyt. Czułem, że jestem winny coś ekstra dziesiątkom tysięcy pokoleń. Chciałem przywrócić im twarz ze świadomością, że ma to wymiar wyłącznie symboliczny. Najpierw poprosiłem wydawnictwo, by umieścić w książce fotografie rekonstrukcji prehistorycznych postaci. Powiesiłem je też na ścianie we własnym domu. Pragnąłem, by były obecne w przestrzeni publicznej. Zaprojektowałem drewniane konstrukcje, które przypominają wiejskie kapliczki. Znajdą się w nich prehistoryczne portrety. Sądzę, że Matka Boska się nie obrazi. Należy im się choć to, zepchniętym na margines opowieści o historii. Zależało mi, by instalacje pojawiły się właśnie teraz.

Dziś wyjątkowo potrzeba bodźców, które nie pozwolą nam się odczłowieczyć w trudnej walce o przetrwanie. Pierwsze cztery instalacje, ze wsparciem finansowym Fundacji Dzielna, pojawią się w Krakowie. Następnie planuję umieścić je poza miastem, w lasach czy na rozstajach dróg. Ufam, że nie trafią na wandali. Jestem ciekaw reakcji ludzi, którzy się na nie natkną. Ci, którzy je już widzieli, zwracają uwagę na spojrzenie, jakim obdarzyła figury francuska artystka. Trudno obok nich przejść obojętnie. Są dla nas niezwykłym lustrem. Reprezentują realne postaci, do których mamy jednak dostęp głównie dzięki wyobraźni. Istnieją na pograniczu fikcji.

W czasach kryzysu wspólnoty są dla mnie jak klan, który mogę wizualizować z wiarą, że mógłbym na niego liczyć. Dla wielu ich wizerunki, moim zdaniem niesłusznie, symbolizują zagrożenie dla postępowego myślenia, regres ku plemienności i patriarchalnym wartościom. Te obrazy mogą też słusznie prowokować pytanie o granicę poznania. Świadomość, kim byliśmy, może wywołać uzasadniony niepokój. W ostatnim czasie, pełnym przemocy, strzałka ewolucji drży, jakby miała zawrócić. Niewykluczone więc, że to również podświadomy lęk przed tym, kim moglibyśmy się na powrót stać. Kim zatem? Dzikimi? A może jednak łagodnym gatunkiem? Kto nam wmówił postęp?

Jeśli traficie kiedyś na prehistoryczną „kapliczkę", zapalcie, proszę, świeczkę za duszki najdawniej zmarłych.

© ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Autor poszukuje osób bądź instytucji gotowych wesprzeć finansowo projekt opisanej wystawy plenerowej.

REKLAMA

NOWA KSIĄŻKA WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

W czasach chaosu i dezinformacji potrzebujemy wiarygodnej opowieści o świecie

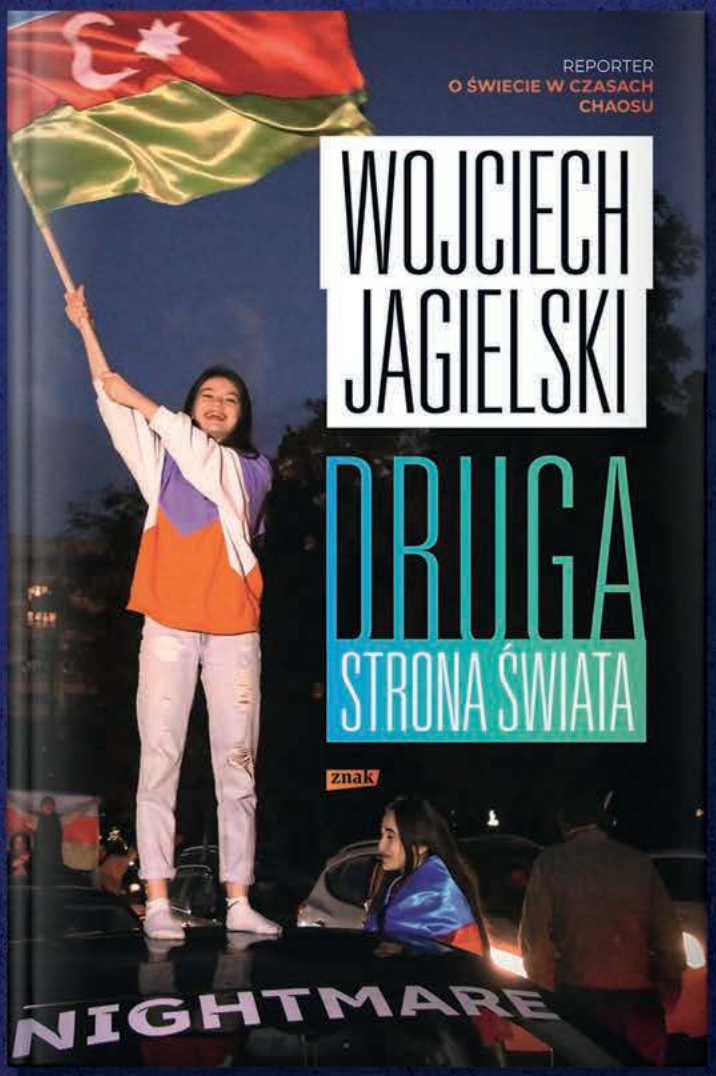

40% rabatu dla czytelników "Tygodnika Powszechnego"

kod: stronaswiata

Do wykorzystania na stronie znak.com.pl

TYGODNIK POWSZECHNY znak KSIĘGARNIA znak

STANISŁAW

Mancewicz:
O kropkach

Rzec by się chciało na początek: chwała wielkiej technologii. Oto dzięki niej wiemy z zegarmistrzowską dokładnością, kiedy i gdzie w ciągu ostatniego półrocza Gospodarz spotykał się z obywatelami miast bądź wsi. Nie tylko zresztą on, ale też cała wierchuszka partyjna z A. Macierewiczem włącznie. Nie musimy już – jak dawniej – chodzić z kosturkiem po siedzibach PiS-u, pukać, zderzać się z odźwiernymi, czekać, prosić, a tym samym narażać się na nieprzyjemności bądź dostawać ochłapy informacji.

To wie każdy w Polsce, że pukanie, czekanie i pytanie zamieniają człowieka w petenta. Petent, proszę zważyć, jest w naszym imperium jakby pańszczyźnianym chłopem. Jest to oczywiście temat szerszy i nie będziemy go rozwijać. Dziś ważny jest fakt, że w przypadku mniej lub bardziej natrętnego dowiadywania się o plany Gospodarza czyniący to obywatel staje się petentem podejrzanym, a więc niebezpiecznym, na garnuszku niemieckim bądź żydowskim, bądź wiadomo czyim. To wystarczy, by znaleźć się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Dzięki technologii nic z tych przykrych rzeczy nas nie czeka, istnieje bowiem w internecie wspaniała interaktywna mapka, na której np. czerwone kropki nałożone na miejscowości znaczą, że Gospodarz już tam był i tamże raczył publiczność swą tzw. refleksją. Jaka to jest refleksja, już wiemy, co to są za treści, też wiemy. Zajmiemy się zatem nie tym, ale zarówno fizyką, jak i metafizyką podróży, nie tylko p. J. Kaczyńskiego.

Strona, o której mówimy, znajduje się w oficjalnych, partyjnych przestrzeniach internetowych i składa się z przesuwanej myszką mapy Europy oraz domontowanego boczku, na którym widać listę działaczy PiS-u. Każdy z nich ma operacyjną kropkę w innym kolorku, i po naciśnięciu owej kropki kropkują, jak powiada poeta w pieśni: „Piękną naszą Polskę całą / Piękną, żyzną i wspaniałą”. Każda kropka to miejscowość, którą można rozwinąć w tzw. dymek, gdzie jest wszystko: kto, kiedy i o której spotkał się z miejscowymi. Oczywiście – tego dodawać nie trzeba – poza Polską nikt z PiS-u z nikim się nie spotkał, bo po co, a obecność całej mapy Europy jest niejako wymuszona przez wiadomo kogo i za czyje pieniądze.

Każdy eukariot – choćby to była palma kokosowa – zwraca uwagę na hierarchie, na ustawienie osobników swego gatunku. Jedne palmy rosną wedle ważności, a czasem którejś odbija palma i rośnie jakby i bardziej, i ważniej, i poważniej. Małpy człekokształtne mają podobnie, ale posiadają takoż odruch obserwacji hierarchii rozwinięty. Mamy nadzieję, że nasze spostrzeżenia nie napotykają tu sprzeciwu behawiorystów polskich i zagranicznych. A więc popatrzmy: na szczycie listy podróżujących jest Gospodarz – był niemal wszędzie. Z wyjątkiem dawnych Prus oraz województw przyniemieckich. Jak by rzekł klasyk: „Przypadek? Nie sądzę”. Gospodarz jest wyposażony w kropkę czerwoną. Jest na szczycie, bo jest najważniejszy, a kolor czerwony jest, jak wiemy, najważniejszy. Zwłaszcza w PiS-ie.

Powinno paść teraz pytanie rezolutne: czy ktoś jeszcze, prócz Gospodarza, ma czerwoną kropkę? Ma. To R. Terlecki, P. Czarnek i M. Pęk. Ten zestaw ułatwia nam orientowanie się w polskiej polityce i jest to orientacja prawidłowa. Lepsza niż opinie komentatorów, lepsza niźli ta, którą ma palma kokosowa w centrum Warszawy, czyli wiedząca teoretycznie wszystko. Kto jest potem? M. Morawiecki, też prezes – ale zaledwie Rady Ministrów. Ma kropkę fioletową. Ktoś jeszcze ma taką? M. Maląg, minister rodziny, co jest dla nas szokująco śmieszne, ale nasze poczucie humoru uważane jest za osobliwe. Po prostu uważamy, że rodzina nie musi mieć ministerstwa. Tak czy owak, kropka fioletowa nie wróży niczego dobrego, a kolorek fioletowy był, jest i będzie śmieszny. Potem idą inne kropki, różową kropkę – to zaskakujące – ma J. Brudziński, beżową – to też szok – A. Macierewicz, a niebieską J. Sasin. W sumie mamy pełne dossier podróżnicze 18 postaci i na podstawie ich kropek jesteśmy w stanie powiedzieć o polskiej rzeczywistości absolutnie wszystko. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie! ...szeleści

mogę kolekcjonować i zabrać do lasu

* można czytać wspólnie

przyciąga wzrok

czytam bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

#JESZCZEBĘDZIENORMALNIE

nowe horyzonty
Internationale Filmfestspiele Berlin
sundance
siff

OFICJALNY UKRAIŃSKI KANDYDAT DO OSCARA

FILM MARYNY ER GORBACH

KLONDIKE

W KINACH 4.11.2022

REŻYSERIA MARYNA ER GORBACH WYSTĘPUJĄ OKSANA CHERKASHYNA, EVGENIY EFREMOV
PRODUKCJA SVYATOSLAV BULAKOVSKIY, MEHMET BAHADIR ER, MARYNA ER GORBACH
ZDJĘCIA SVYATOSLAV BULAKOVSKIY MUZYKA ZVIAD MGEBRY MONTAŻ MARYNA ER GORBACH
KOSTIUMY VIKTORIA FILIPOVA

TRT КЕДР mayfly

TYGODNIK POWSZECHNY wysokieobcasy.pl krytyka polityczna filmosfera teatr powszechny KOMITET OBYWATELSKI SOLIDARNOŚCI Z UKRAINĄ tkk WARSZAWA kontakt ECS ALL ABOUT FREEDOM FESTIVAL

WSPIERAMY DZIECI Z UKRAINY W RAMACH CARITAS ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ I WARSZAWSKIEJ SZKOŁY UKRAIŃSKIEJ